

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/465

1986



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

CZ. MIŁOSZ: **SZEŚĆ WYKŁADÓW WIERSZEM**

P. ZNAWCA: **LEKCJA KATASTROFY**

LEOPOLITA: **SPRAWY WAŻNE**

I OKOLICZNOŚCI DODATKOWE

A. ŚWIEYKOWSKI: **FUNDACJA ROLNICZA - PRÓBA
BILANSU**

J. KARPIŃSKI: **PRAWICA-LEWICA**



SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Sześć wykładów wierszem</i>	3
P. Znacwa:	<i>Lekcja katastrofy</i>	9
Adam Michnik:	<i>Różne głosy (dok.)</i>	17
Jerzy Giedroyc:	<i>Wyjaśnienia</i>	27
M. Broński:	<i>Wokół religii</i>	29
Henryk Czarny:	<i>Wakacje 41. — W soczewce pamięci</i>	34
Mariusz Maszkiewicz:	<i>Tyle piwa za darmo...</i>	43
WIERSZE		
Wasył Stus:	<i>Jeziro Kisegacz. — Kosmonaucie. — Skończyły się... — Już ognisko...</i> ..	48
K R A J		
Leopolita:	<i>Sprawy ważne i okoliczności dodat- kowe</i>	50
Aleksander Świekowski:	<i>Fundacja rolnicza — próba bilansu</i> ..	54
(ja):	<i>Notatki z Polski</i>	62
SPRAWY I TROSKI		
Czytelnik z Warszawy:	<i>Omyłka czy coś więcej?</i>	69
—	<i>Sprawa prof. Normana Daviesa</i>	70
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	72
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	78
Jurij Czornomorskiy:	<i>Kronika ukraińska</i>	80
KRONIKA KULTURALNA		
Marek Artur Abramowicz:	<i>Hitlerowska ustawa o szkołach wyż- szych</i>	82
Krzysztof Rutkowski:	<i>44-ch w galerii Bernanos</i>	92
Jose de Los Llanos:	<i>Wystawa „Grafika”</i>	94
Renata Gorczyńska:	<i>Anty-nekrolog Simone de Beauvoir</i> ..	96
Władysław Bartoszewski:	<i>List do Redakcji</i>	101
KORESPONDENCJA Z RZYMU		
Dominik Morawski:	<i>Historyczne spotkanie w rzymskiej sy- nagodze</i>	106
KSIĄŻKI		
Renata Gorczyńska:	<i>Miłosz</i>	111
Marek Nowakowski:	<i>O Brychcie</i>	116
Hanna Świdarska:	<i>Eldorado-dolorado</i>	118
Ewa Maria Slaska:	<i>Kaszuby i inne utopie</i>	122
Adam Kruczek:	<i>Sułtan-Galijew wczoraj i dziś</i>	128
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	133
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca i kroniki: amery- kańska, australijska i nowozelandzka, francuska i kanadyjska</i>	135
WOLNA TRYBUNA		
Jakub Karpiński:	<i>Prawica — lewica</i>	144
◆		
J. Lewandowski, J. Mondry, J. Pomianowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	153
Andrzej Koraszewski:	<i>Podziękowanie</i>	155
DOKUMENTY		
Czesław Bielecki:	<i>List do arcybp. Bronisława Dąbrow- skiego</i>	156

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1986

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

S. M. Bala, San Rafael, CA (USA) — \$ 48,00	F. 335,00
Jan Basik, Pierrefonds, P.Q. (Kanada), po raz 2-gi — \$ c. 20,00	F. 101,00
Krystyna Karasińska (Kanada) — dla uczczenia pamięci zmarłej dnia 24 marca bież. roku w Montrealu śp. Ryszard Basik — \$ c. 100,00	F. 505,00
Prof. Jerzy R. Krzyżanowski, Columbus, OH (USA) — w 10-tą rocznicę śmierci Ojca prof. Juliana Krzyżanowskiego — £ 34,00	F. 355,00
Kazimierz J. Logay, Sarasota, FL (USA), po raz 11-ty — \$ 42,00	F. 294,00
W. Łuszczak, Thunder Bay, Ontario (Kanada), po raz 12-ty ..	F. 86,93
M.I., Michigan, USA — dla uczczenia czterdziestej rocznicy utworzenia Instytutu Literackiego i ukazania się pierwszego numeru <i>Kultury</i> — \$ 1.000,00	F. 7.200,00
Zbigniew Okołowicz, Millebrook, N.Y. (USA) — \$ 30,00	F. 210,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00	F. 700,00
Kazimierz J. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 10-ty — \$ 72,00	F. 504,00
Anna Skibińska, Edinburgh (Wielka Brytania) — zamiast kwiatów na grób Przyjaciela — Zygmunta Hertza	F. 210,00
Ignacy Święcicki, York, PA (USA) — zamiast kwiatów dla uczczenia pamięci śp. Janiny Miłoszowej — \$ 145,00	F. 1.015,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż — wobec śmierci Mamerta Miż-Miszyna, serdecznego Przyjaciela, żarliwego Polaka z Infant	F. 200,00
Bezimiennie z Berlina	F. 344,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

B.B. z N.Y.C. (USA) — \$ 30,00	F. 210,00
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA) — \$ 10,00	F. 70,00
Członkowie „Pomostu” — Grupa Pomocy „Solidarności”, Cleveland, OH (USA) — sumę zebraną na dwóch mszach św. za Ojczyznę (23 marca i 27 kwietnia 1986) przekazują na: — prasę podziemną „Solidarności” — \$ 90,00	F. 630,00
— dla rodzin aresztowanych członków „Solidarności” — \$ 90,00	F. 630,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Sześć wykładów wierszem

WYKŁAD I

Jakże wam opowiedzieć? Do jakich odesłać was kronik?
 Wyobraźcie sobie młodzieńca, który idzie brzegiem jeziora
 W upalne przedpołudnie. Szklą się panny wodne
 Nad sitowiem, jak zawsze. Ale jeszcze nie ma
 Niczego co miało być. Zrozumcie: niczego.
 Czy też może jest, ale niedokonane:
 Ciała wyznaczone dla ran, miasta dla zniszczenia,
 Ból nieobjętej liczby, każdy inny,
 Cement na krematoria, państwa do podziąłu,
 Mordercy wylosowani — ty, i ty, i ty.
 A tak. I odrzutowiec. Transistor. Video.
 Ludzie na księżycu. Ten idzie i nie wie.

Zbliża się do zatoczki, niby to plaży.
 Opala się tam towarzystwo z dworku-pensjonatu,
 Panowie i panie, nudzący się,
 W rozmowie o kto z kim, brydzu i nowym tango.
 Ten młody człowiek to ja. Byłem nim, może jestem
 Choć minęło pół wieku. Pamiętam i nie pamiętam
 Jego i ich oddzielenie. On inny, obcy, obcy.
 Zamknięci w jego umyśle odjeżdżają, giną,
 On nimi gardzi, sędzia, obserwator.
 Tak oto chorobliwość wieku pokwitania
 Odgaduje chorobę historycznej fazy,
 Która nie skończy się dobrze. Czego nieświadomi
 Zasługują na karę: chcieli żyć, nic więcej.

Fala, okruchy trzciny na żwirach, obłoki.

Za wodą dachy wioski, las, i wyobraźnia,
W niej żydowskie miasteczka, pociąg na równinie.
Abyssus. Ziemia się chwieje. Czy to tylko teraz
Kiedy tutaj otwieram labirynty czasu,
Tak jakby wiedzieć znaczyło rozumieć
A za oknem kolibry odprawiają taniec?

Powiniem był. Co powiniem był, pięćdziesiąt pięć lat temu?
Żyć w radości. W harmonii. W wierze. W pojednaniu.
Jak gdyby można było. A później zdziwienie:
Czemu nie byli mądrzy? Niby się układa
Gra przyczyny i skutku? Nie, to też wątpliwe.
Odpowiedzialny będzie każdy kto oddychał.
Powietrzem? Nierozumem? Ułudą? Ideą?
Niejasny, tak jak każdy, kto żył tam i wtedy,
Spowiadam się przed wami, moja młoda klaso.

WYKŁAD II

Czułe matki i siostry, żony i kochanki.
Pomyślcie o nich. Żyły i miały imiona.
Widziałem na gorącej plaży Adriatyku
Wtedy, między wojnami, dziewczynę tak piękną,
Ze chciałem ją zatrzymać w niepowrotnej chwili.
Jej wysmukłość opięta kostiumem z jedwabiu
(Przed erą tworzyw sztucznych), koloru indygo,
Czy też ultramaryny. Oczy, fiołkowe,
Włosy blond, lekko rdzawe: córka patrycjuszki,
Rycerskich rodów może, pewnie stąpająca.
Jasnowłosi młodzieńcy, równie urodziwi,
Byli jej światą. Sigrid albo Inge,
Z domu gdzie zapach cygar, dobrobyt, porządek.

„— Nie odjeżdżaj, szalona. W rzeźby hieratyczne
Schroń się, w mozaiki katedr, złotobarwne zorze,
Zostań echem na wodach o zachodzie słońca.
Nie gub siebie, nie ufaj. Nie wzniosłość i chwała,
Małpi cyrk ciebie wzywa, twój obrzęd plemienny”.

Tak mógłbym jej powiedzieć. Esencja? Osoba?
Dusza niepowtarzalna? A dzień urodzenia
I miejsce urodzenia, niby układ gwiazd,
Kontrolują kim będzie? Żeby ją uwiodła
Miłość do obyczaju, posłuszeństwo-cnota?

Mylił się jednak Dante. Nie tak się odbywa.
Wyrok jest kolektywny. Wieczne potępienie
Musiałoby ich spotkać wszystkich, tak jest, wszystkich.
Co chyba niemożliwe. Jezus ma przed sobą
Imbryki w kwiaty, kawę, filozofowanie,
Landszaft, bicie zegara na wieży ratusza.
Nikogo nie przekona, nędzny, czarnooki,
Z garbatym nosem, w niechlujnej odzieży
Jeńca czy niewolnika, jeden z tych włóczęgów
Których słusznie wyławia i usuwa państwo.
Teraz kiedy wiem dużo, własne moje winy
Muszę sobie wybaczać, do ich win podobne:
Chciałem dorównać innym, być zawsze jak oni,
Zamknąć uszy, nie słyszeć wezwania proroków.
Dlatego ją rozumiem. Zaciszny dom, zieleń,
I z głębin piekła fuga Sebastiana Bacha.

WYKŁAD III

Biedna ludzkość koczuje na dworcowych płytach.
Uszate czapki, chustki, waciaki, tołuby.
Śpi pokotem, czeka na pociąg. Zawiewa mrozem od drzwi.
Wchodzą nowi, strząsają śnieg, przybywa błota.
Wiem, że nie dla was wiedza o Smoleńsku czy Saratowie.
Co i lepiej. Kto może, niech unika
Współczucia, tego bólu wyobraźni.
Więc nie będę dokładny. Ledwo urywki, zarys.

Ukazują się. Jest ich czworo. Trzech mężczyzn i kobieta.
Skóra ich długich butów miękka, pierwszej klasy,
Kurty z drogiego błamu. Ruchy pewne, zwinne.
Prowadzą na smyczy wilczury. Spójrzcie na nią,
Szeroką, trochę senną, dobrze wykochaną,
Spoglądającą wzgardliwie spod czapki bobrowej.
Czyż nie dowodzi jasno do kogo należy władza,
Kto bierze tu nagrodę? Ideologiczną,
Jeżeli kto tak woli. Bowiem nic tu nie jest
Jawne, zawsze w przebraniu rytualnej frazy,
Chociaż strach jest prawdziwy, ludzie pokorni,
I tam skąd jedzie tych czworo, w śnieżnej zawieli,
Prawdziwy drut kolczasty, wyszki obozu.

Na Kongresie Obrońców Kultury w Paryżu,
Wiosną 1935, mój kolega student
Wędrujący po Europie, Günther z Marburga
Śmiał się. Wielbiciel Stefana George,
Pisywał wiersze o rycerskich cnotach
I nosił kieszonkowe wydanie Nietzschego.
Miał następnie zginąć, może pod Smoleńskiem.
Od czyjej kuli? Jednego z tych śpiących?
Nadzorcy z wilczurami? Więźnia zza drutów?
Tej Nadi albo Iriny? Nic nie wiedział o nich.

WYKŁAD IV

Z rzeczywistością co zrobimy? W słowach gdzie ona?
Ledwo mignie, już znika. Niepoliczony żywoty
Nigdy nie wspomniane. Miasta na mapach
Bez twarzy na pierwszym piętrze w domu przy rynku,
Bez ich dwojga w krzakach koło gazowni.
Sezony powracające, górskie śniegi, morza,
Obracająca się niebieska kula ziemi,
A milczą, którzy biegli w artyleryjskim ogniu,
Przypadali do grudy, żeby uchroniła,
I ci, których wywożono z domu o świcie,
I ci, którzy wypęzli spod stosu krwawiących ciał.
A ja tutaj, instruktor od niepamiętania,
Pouczam, że ból mija (bo jest bólem innych),
Dalej ratując w myślach pannę Jadwigę,
Małą garbuskę, bibliotekarkę z zawodu,
Która zginęła w schronie tamtej kamienicy
Uważanej za pewną, a zapadła się,
I nikt nie mógł dokopać się przez płyty muru,
Choć wiele dni słyszano stukania i głosy.
Więc na wieki, na zawsze, zagubione imię,
Jej ostatnie godziny nieznane nikomu,
I czas ją unoszący, w warstwie Pliocenu.
Prawdziwy wróg człowieka jest uogólnienie.
Prawdziwy wróg człowieka, tak zwana Historia,
Zaleca się i straszy swoją liczbą mnogą.
Nie wiercie jej. Podstępna i zradliwa,
Nie jest anty-Naturą, jak Marx nam zalecał,
A jeżeli boginią, to ślepego Fatum.
Szkielecik panny Jadwigi, miejsce
Gdzie pulsowało serce. To jedno kładę
Przeciw konieczności, prawu, teorii.

WYKŁAD V

Jezus Chrystus zmartwychwstał. Ktokolwiek w to wierzy
Nie powinien zachowywać się tak jak my,
Którzy straciliśmy górę i dół, prawo i lewo, niebiosą, otchłanie,
A próbujemy jakoś przebrnąć, w autach, w łóżach,
Mężczyźni chwytając się kobiet, kobiety mężczyzn,
Zapadając się, podnosząc, stawiając kawę,
Smarując chleb, bo znów jeden dzień.

I jeden rok. Powraca czas prezentów.
Choinki rozjarzone, girlandy, muzyczność,
Dla nas, prezbiterian, katolików, luteranów.
Słodko w ławce kościelnej śpiewać z innymi,
Dziękować za to, że dalej razem jesteśmy,
Za dar wtórzeńcia Słowu, teraz, od wieków.

Radujemy się, że ominęło nas nieszczęście
Krajów o których czytamy, tam gdzie niewolni
Kłęczą przed państwem-idolem, z jego imieniem na ustach
Żyją i umierają, nie wiedząc, że są niewolni.
Jakkolwiek by to było, z nami zawsze Księga,
A w niej cudowne znaki, rady i nakazy
Niehigieniczne, prawda, i z rozsądkiem sprzeczne
Ale dosyć że są, na niemej ziemi.
To jakby ognisko grzało nas w jaskini
Kiedy na zewnątrz stoją zimne ognie gwiazd.

Milczą teologowie. A filozofowie
Nie odważą się nawet spytać: „Cóż jest prawda?”
I tak, po wielkich wojnach, w niezdecydowaniu,
Prawie że dobrej woli ale niezupełnie,
Pracujemy z nadzieją. A teraz niech każdy
Wyzna sobie. „Zmartwychwstał?” „Nie wiem czy zmartwych-
[wstał?”

WYKŁAD VI

Bezgraniczna historia trwała w tym momencie
Kiedy przełamał chleb i wypił wino.
Rodzili się, pragnęli, umierali.
Takie tłumy, na Boga! Jak to jest możliwe
Że wszyscy chcieli żyć, a nie ma ich?

Nauczycielka prowadzi sznurek pięciolatek
 Marmurowymi salami muzeum.
 Sadowi grzecznych chłopców i dziewczynki
 Na posadzce przed wielkim obrazem.
 Objasnia, mówi: szyszak, miecz, bogowie,
 Góra, obłoki, orzeł, błyskawica.
 Umie, a oni widzą pierwszy raz.
 Jej gardło nietrwałe, jej organy żeńskie,
 Kolorowa suknia, kremy i świecideła
 Objęte przebaczeniem. Co nie jest objęte
 Przebaczeniem? Brak wiedzy, beztroska niewinnych
 Wołałyby o pomstę, wzywały wyroku
 Gdybym to ja był sędzią. Nie będę, nie jestem.
 W chwale odnawia się biedna chwila ziemi.
 W równoczesności, teraz, tu, i co dzień
 Chleb zamienia się w ciało, wino w krew.
 A to, co niemożliwe i nie do zniesienia
 Zostaje znów przyjęte, rozpoznane.
 Pewnie, pocieszam was. Pocieszam także siebie.
 Niewiele pocieszony. Drzewa-kandelabry
 Niosą zielone świece. I magnolie kwitną.
 To też jest rzeczywiste. Wielki zgiełk ustaje.
 Pamięć zamyka swoje ciemne wody.
 A tamci, jak za szkłem, patrzą, milczą.

Czesław MIŁOSZ

Lekcja katastrofy

I. Co nie jest dziwne

Nic dziwnego, że Rosjanie usiłowali ukryć przed własną ludnością i przed światem czernobylską katastrofę. Skrywanie klęsk naturalnych i spowodowanych awarią techniczną ma poważną tradycję w tym ustroju. Komunistyczne Chiny Mao Tse-tunga przemilczały przez lata straty ludności rządu co najmniej ćwierć miliona, po wielkim trzęsieniu ziemi, które z szeregu kopalni uczyniło masowe groby. Ten ustrój, o ideologii opartej rzekomo na skrajnym materializmie, w samej rzeczy pokrył władzę nalotem mistycznej odpowiedzialności „za wszystko”. Przy racjonalnym podejściu żaden ustrój i żadna władza nie może odpowiadać za klęski żywiołowe w rodzaju wybuchów wulkanów albo trzęsień ziemi. Ale ustrój totalitarny w sowieckim wydaniu obiecał ludzom raj na ziemi, więc czuje się zobowiązany do sporządzenia choćby jego skłamaney makiety. Wkład irracjonalnego czynnika w funkcjonowanie tego ustroju jest zmienny. Największy był za Stalina, który postanowił wybawić Ukrainę od nawiedzającej jej dalsze, wschodnie połacie suszy od gorących wiatrów z południa, zwanych suchowiejem, za pomocą leśnych przegród. Odkąd je utworzono, susze powracają z niezminiejszą destrukcyjnością, ale póki żył Stalin, nie wolno było o suchowieju wspomnieć. Nie tyle mistyczny, ile magiczny charakter ma oficjalnie podtrzymywana ideologia. Jednostki, także na szczytcie partii, mogą się mylić — partia nie myli się nigdy. Dlatego składniej i foremniej jest, kiedy nie ma żadnych klęsk czy katastrof, ani sztucznych ani naturalnych. Skwapliwość, z jaką na Zachodzie podaje się informacje o podobnych katastrofach, jest w Sowietach niedopuszczalna. Kiedy spadają pasażerskie samoloty, wiadomości o tym poja-

wiąją się w prasie tylko jeśli na pokładzie znajdowali się cudzoziemcy. Koło 1956 czy 1957 roku w okolicach Uralu zimą doszło do wybuchu źle składowanych odpadów radioaktywnych, lecz minęło kilkanaście lat, zanim na Zachód dotarły wiarygodne informacje o tej katastrofie, która pochłonęła niewiadomą liczbę ofiar i obróciła szereg wsi w cmentarną pustkę, przez którą tylko pociągi biegły nie zatrzymując się na wymarłych stacjach. ZSSR jest wybitną potęgą w produkowaniu i ukrywaniu ludzkiego nieszczęścia, w konsekwencji zatem i trupów. Gdyby wiatry nie pchnęły czernobylskiej chmury radioaktywnej nad Szwecję i Finlandię a potem na resztę Europy, też zapewne rzecz pozostałaby tajemnicą. Słoneczko atomowe ma upiększać życie, a nie zabijać, toteż nic dziwnego i w tym, jak NRD-owska propaganda skomentowała wybuch reaktora: prasa Zachodu rozdmuchuje go w sensację by odwracać uwagę od propozycji pokojowych ZSSR!

Nie jest też dziwne, że RFN-owskie periodyki, hołdujące postępowi, w rodzaju *Die Zeit* hrabiny von Dönhoff, komentowały katastrofę słowami „Fałszywa ufność w moc techniki wystawia oba supermocarstwa na niebezpieczeństwo”. Chodziło o zestawienie katastrofy Challengeera z katastrofą pod Kijowem, jakby jedna była warta drugiej, jakby można je zestawić w mechanizmie i w skutkach. Ponieważ nie tylko nazwane pismo kłamie jak najęte dla dobra odprężenia, współlistnienia i likwidowania efektu słów Reagana, który nazwał ZSSR „imperium zła”, ponieważ za forpocztę tego przodującego ustroju uznać można inne milionownikowe pisma jak *Der Spiegel* czy *Stern*, nie warto tracić czasu na dementowanie czerwonej propagandy, serwowanej na kredowym papierze przez niemieckich żurnalistów.

Nie jest dziwna sama katastrofa reaktora, przeciwnie, dziwne jest raczej to, że się nie zdarzyła dużo wcześniej, ponieważ niskie standardy projektowania, wykonawstwa, obsługi i kontroli atomowej energetyki ZSSR były fachowcom dość dobrze znane. Eksportowane reaktory w Finlandii i w NRD poddawano dodatkowemu zabezpieczeniu, wcale kosztownemu z którego Sowiety wolały przez oszczędność zrezygnować.

Nie jest dziwne, że święta pierwszomajowe obchodzono nie tylko w Moskwie i w innych miastach ZSSR, ale i w Kijowie, aczkolwiek na rozśpiewane i roztańczone szeregi paradującej młodzieży z nieba sypał się niewidzialnie radioaktywny pył. To nie bezpodstawne pomówienie: angielscy studenci zostali w tym właśnie czasie ewakuowani z Kijowa do Anglii i chociaż dawki promieniowania, jakie zdążyły wchłonąć ich organizmy, nie były jeszcze groźne, wskazywały na obecność nieustającej radiacji. Niewinnym i nieszczęsnym przyjdzie — chociaż nieprędko, ze względu na sposób powstawania choroby popromiennej — drogo zapłacić

zdrowiem, a może i życiem. Lecz jak powiedziało się, nie ma w tym nic dziwnego.

Parlament europejski w Strasburgu, który jak mógł najprędzej potępił prezydenta Reagana za odwetowe zbombardowanie miast libijskich, nie uczynił Moskwie najłżejszego zarzutu z tytułu przemilczenia katastrofy, kiedy jej skutki dawały się już we znaki państwu sąsiadującym z ZSSR. I to milczenie nie może dziwić. Pretensje zgłosiła na własną rękę i odpowiedzialność tylko Szwajcaria — oczywiście bez sowieckiej odpowiedzi. (Pretensji, żali i postękiwań pod adresem Kremla nie było brak w zachodniej prasie, lecz nie miały charakteru not czy innych oficjalnych wystąpień rządowych).

Nie jest nawet dziwny sposób, w jaki na sowiecką katastrofę zareagowała opinia publiczna, a przynajmniej jej zawodowi aktywiści, czyli różni protestowicze, zieloni, tak zwana alternatywa, pacyfiści i lewicowcy różowo-karmazynowej barwy. Powołują się na sowiecką katastrofę żeby wzmocnić nacisk na swoje rządy, dla rezygnacji z rozbudowy energetyki atomowej.

W podsumowaniu powstaje raczej osobliwy obraz: oto cokolwiek uczynią Sowiety, chcący czy niechcący, zestrzelując za błąkane pasażerskie samoloty, czy robiąc pierwszomajowy spęd mas ludzkich pod niebem otwartym na radioaktywność, Zachód traktuje to niczym zjawiska przyrody, do których o nic nie można mieć pretensji, nie można wysuwać pod ich adresem jakichkolwiek roszczeń ani uważać ich za stronę ponoszącą odpowiedzialność za swoje postępowanie. To już stało się normą, więc nie może nas dziwić.

II. Co jest dziwne

W kilkunastu dziennikach europejskich i amerykańskich można było ostatnimi czasy znaleźć artykuły, kwestionujące wiarygodność ZSSR jako kontrahenta i partnera w negocjacjach rozbrojeniowych ze względu na sposób, jakim to supermocarstwo usiłowało zakłamać największą w dziejach atomowych siłowni katastrofę, o nie dających się jeszcze przewidzieć destrukcyjnych skutkach. Zapewniam, że żadnego śladu po tych artykułach nie będzie, że nie wpłyną one ani ta katastrofa na stosunek Zachodu do ZSSR. Logicznie podchodząc do sprawy, należałoby bowiem uznać, że państwo, tak wszechstronnie i tak bezwzględnie zakłamate, które jednym tchem oświadcza, że katastrofę już opanowało i zlikwidowało w skutkach, a zarazem wprowadza blokadę informacyjną dla zachodnich dziennikarzy, nie może być uznane za godne zaufania w pertraktacjach rozbrojeniowych. Wprawdzie wszystko, co obiecywał i opowiadał Gorbaczow, okazuje się ma-

lowaną w gołąbki dekoracją, czczym pozorem, ale dla Zachodu nie ma alternatywy. Już szykuje zboże, mięsiva, konserwy oraz inne dary, które będzie sprzedawał Sowietaom głównie na kredyt, jako dalszy ciąg tego sznura, na którym mimo wszystko kapitalizm zostanie podług słów Lenina powieszony. Gotowość dopieszczenia nie jest wcale dziwna.

Dziwne wydaje się coś innego. Zbieg okoliczności pozwolił nam przypatrzeć się Związkowi Sowieckiemu w trakcie wielkowiarymowej katastrofy atomowej, która była jak gdyby silnie złagodzoną wersją trafienia atomowym pociskiem. Złagodzoną dlatego, ponieważ największa możliwa awaria największego nawet reaktora atomowego nie może doprowadzić do atomowego wybuchu, który zachodzi w bombie. Aby nastąpił wybuch, podnoszący temperaturę do milionów stopni i tworzący słoneczną ognistą kulę, której promieniowanie cieplne, podmuchowe działanie oraz radioaktywność obracają wszelkie przedmioty i ciała w gaz, podkrytyczne segmenty ładunku uranowego bądź plutonowego muszą zostać zestrzelone w masę nadkrytyczną. Do takiego zestrzelenia nigdy w reaktorze nie może dojść. Temperatura nie przekroczy kilku tysięcy stopni, doraźne efekty niszczące są więc znacznie słabsze i mniej „spektakularne”, aniżeli przy eksplozji jądrowej. Natomiast długodystansowa produkcja zabójczych izotopów radioaktywnych oraz promieni gamma może trwać i będzie trwać bardzo długo — znacznie dłużej, aniżeli w wypadku powietrznej eksplozji jądrowego ładunku.

Związek Sowiecki jak mógł, zakłamał katastrofę wobec świata i milczał o przyczynach, rozmiarach i skutkach przed własną ludnością. Za powłoką tych kłamstw i tego przemilczania należało się jednak spodziewać tyleż sprawnej, dobrze zorganizowanej, co szybkiej działalności, skierowanej na ugaszenie pożaru, zatamowanie wypływu dalszych mas radioaktywnego materiału, i — co nie najmniej chyba ważne — terapeutycznego i profilaktycznego ratowania okolicznej ludności. Podjęcie takich kroków wydawało się rzeczą oczywistą dla całego świata, który uznaje ZSSR za supermocarstwo przede wszystkim militarne, zdolne i gotowe prowadzić wojnę atomową. Taka wojna musi być jednocześnie zaciepna i odporna: ten, kto ją prowadzi, musi być przygotowany nie tylko do zadawania, ale i do przyjmowania atomowych ciosów. Wiadomo, że ZSSR posiada wielki potencjał ofensywny w postaci wiadomych rakiet, chronionych w utwardzonych silosach podziemnych i pod pokładami łożysk podwodnych. Natomiast reakcja czernobylska zdaje się demonstrować, że ZSSR w ogóle nie jest przygotowany na PRZYJMOWANIE odwetowych ciosów atomowych. Gdyby był, miałby w dyspozycji znaczne i należycie rozlokowane na swoim terytorium zasoby środków, przeciwdziałających promiennym skażeniom, dobrze eszelonowane ze-

społy służb antyradiacyjnych, rozpoznawczych, ewakuacyjnych, farmakologicznych, sanitarnych i medycznych. Tymczasem Sowiety tuż po katastrofie zwróciły się do Zachodu nie tylko prosząc o ekspertów ale i o lekarstwa! Samo wyliczenie wszystkich środków, nieodzownych przy strategicznym planowaniu ewentualności wojennych działań atomowych — co jest jakoby sowiecką specjalnością — zajęłoby parę grubych tomów. Tymczasem okazało się, że „król jest nagi”. Do ewakuacji ludności w trzydziestokilometrowym promieniu wokół punktu „zero” wzięła się najpierw nie armia ze swymi specjalnymi transporterami, lecz zwykłe ciężarówki i autobusy z Kijowa. Po tygodniu zaś, kiedy nie tylko w państwach Zachodu, ale nawet w PRL zostały wprowadzone liczne środki ostrożności i profilaktyki (np. zakaz wypasów bydła na otwartej przestrzeni, bo głównie w organizmach krów koncentruje się wtedy radioaktywny jod i przechodzi wzmożonymi ilościami do mleka; zalecenie podawania preparatów nieradioaktywnego jodu dzieciom i kobietom w ciąży, itp.) w Sowietach władze ani o niczym w ogóle ludności nie ostrzegły, ani żadnych środków zalecanej ostrożności nie opublikowały. Z punktu widzenia politycznego jest to może zrozumiałe, ponieważ do świetlanej przyszłości ustrój ten zawsze szedł po trupach. Z punktu widzenia praktycznego i rzeczowego jest to jednak zbrodnicza głupota, ponieważ efekty promiennego porażenia będą dawały o sobie znać przez całe lata, a dawki napromieniowania, wchłonięte w krótki czas po katastrofie, muszą być szczególnie znaczne, zwłaszcza dla ludzi przebywających na otwartej przestrzeni i podczas opadów deszczu. Trzeba się więc było spodziewać uruchomienia takiej służby meteorologiczno-radiacyjnej, jaką sobie wrychle zaimprovizował Zachód, lecz nie było jej w Sowietach ani śladu.

Nawet o istnieniu wojskowych jednostek, wyspecjalizowanych w dziedzinie atomowej defensywy, przypomniła sobie propaganda sowiecka dopiero w piątym czy szóstym dniu po katastrofie.

To, że ani władze cywilne, ani wojskowe nie były przygotowane na śmiertelnie groźne skażenie znacznego obszaru własnej ziemi w lasach i atomami, nie ulega wątpliwości. Powstałe zatem pytanie, czy mieszanina faktycznej niezdarności i propagandowego bełkotu osłaniała prawie-pustkę obronną, czy też raczej szczególną strukturę sowieckiego ustroju?

To, co można było obserwować można bowiem tłumaczyć dwójako. Albo tak, że atomowa moc militarna Sowietów jest rozbudowana przede wszystkim jako broń czysto ofensywna i nie tyle służy zastosowaniu w wojnie, ile stanowi instrument polityki zastraszania, szantażu, „finlandyzacji”, przedstawia masę, stosowaną do rozmaitych nacisków, przetargów, do psychicznego porażania publicznej opinii Zachodu, jednym słowem — do blefów, które rozmiękczą atlantycki alians, wbiją klin między zachodnią

Europę i Amerykę i na koniec przyniosą Sowietaom plony zwycięstwa bez wojny. Wówczas brak środków obrony, jakością i ilością proporcjonalnych w stosunku do środków ataku, daje się doskonale zrozumieć. Takiej możliwości nigdy jednak nie uwzględniali żadni kremlinologowie. Przeciwnie, od lat podkreślali, że tworząc ogromne przeciwiatomowe schrony, plany decentralizacji przemysłu, opancerzone przeciwiatomowo spichlerze, wypełnione zbożem na wypadek wojny (głównie amerykańskim, rozumie się) — Sowiety już aktualnie są zdolne osłonić swoją ludność przed atomowymi uderzeniami daleko bardziej skutecznie, niż mogą to uczynić Europa zachodnia (z wyjątkiem Szwajcarii) oraz Stany Zjednoczone. Brak środków defensywnych może jednak mieć alternatywę niejako czynnościową, uwarunkowaną szczególną strukturą społeczno-ustrojową ZSSR. Cornelius Castoriadis określił ten ustrój (w książce „W obliczu wojny”) jako nadzwyczaj „twardy” i „kruchy”. Dodajmy: jest on też niezwykle sztywny. Jako tako może działać i reagować tylko na takie wypadki, które uprzednio wziął w rachubę i tym samym przewidział. Kiedy natomiast zachodzi coś niespodziewanego, coś, czego nie przewiduje sztywna struktura zaprogramowanych z góry poczynań, ten olbrzym zachowuje się jak rażony zniecka, na wpeł sparaliżowany ślepiec. Doraźna obrona lokalna, doraźna ratownicza inicjatywa miejscowych władz, improwizująca samodzielność ratunku jako samoobrony — to wszystko jest wykluczone w systemie, który obawia się wszelkiej spontaniczności i samodzielności jak diabeł wody święconej. Nie po to, żeby obrzucać obelgami obywateli ZSSR, ale po to, żeby unaocznić stan, w jakim żyją, trzeba powiedzieć że ponad sześćdziesiąt lat Gułagu, KGB, czystek, mordów oraz reszta „pracy ideologicznej” doprowadziły zbiorową mentalność tego społeczeństwa do zbydlenia.

Korespondentów zachodnich, którzy próbowali przeprowadzić krótkie wywiady uliczne z ludźmi, udającymi się, po katastrofie, na Ukrainę, przed moskiewskim dworcem kijowskim, zdumiewała niechętna mrukiwość odpowiedzi, zbywających pytania o zagrożenie wzruszeniem ramion lub pogardliwym odzewem, że skoro w gazetach nic o tym nie ma, to i nie ma o czym gadać. Tłumaczyłbym sobie ową powściągliwość tylko częściowo strachem, zaszczepianym od dziecka każdemu, kto może się zetknąć z cudzoziemcem, a bodaj jeszcze stać się zarazem filmowanym i indagowanym przedstawicielem opinii publicznej „najbardziej przodującego ustroju”. Strach strachem, ale przeciętny obywatel ZSSR w sposób czysto odruchowy uznaje, że powinien wiedzieć tyle, ile *położono*, ile wiedzieć zezwoliły mu władze.

Taki stan umysłów nie jest — a przynajmniej nie musi być — poważną słabością w wojnie konwencjonalnej, czyli w wojnie z frontami i ich zapleczem, nie musi nawet być słabością w obliczu

wojny lotniczej z jej bombardowaniami głębokich tyłów. Natomiast wojna w swoim straszliwym aspekcie całkiem niewidzialna, jako śmierć, którą przynosi wiatr wiosenny, zapach kwiatów, babki z piasku, jakimi bawią się dzieci w piaskownicy — taka wojna MUSI być doprowadzona do świadomości społeczeństwa, w przeciwnym bowiem razie okaże się ono opuszczone przez własną władzę, całkowicie bezbronne, wydane na zdradliwe porażenia i powolne konanie bez wiedzy, skąd i jak przychodzi zagłada. Czy ekipa Gorbaczowa wyciągnie należyte wnioski z lekcji podkijowskiej katastrofy? Wątpię, bo przemilczenia, kłamstwo, radosne tańce mas i ukrywanie gór trupów są nieodłączną składową częścią sowieckiego życia.

Poza wyżej powiedzianym można tłumaczyć chaotyczną niezadadność pierwszych dni po katastrofie czynnikami, które nazwalibyśmy strukturalnymi. Mniejsza o powszechną niewiedzę: armia, zarówno w jej części zaczepnej, jak w odpornej, nie jest integralnie wtopiona w obywatelskie społeczeństwo, ale jest wyizolowanym dokładnie pasożytem, któremu cywilna ludność służy jako żywiciel. Taka armia podlega więc tylko centralnemu dowództwu i od jej lokalnych przedstawicieli rażona ludność nie może się spodziewać pomocy. Tę musi pierwej zadekretować Moskwa. Jednak i ten aspekt centralizacyjny sowieckiego potencjału militarne go kryje w sobie nieobliczalne zagrożenia w przypadku niekonwencjonalnie prowadzonej wojny. Cała nadzieja Moskwy w tym, że o żadnej wojnie nie może być nawet mowy, ponieważ politycy Zachodu, zgodnie z postawą swoich społeczeństw, umierają ze strachu na samą myśl o konfrontacji z sowieckim kolosem. Lekcja katastrofy da tylko materiał do przemyśleń skromnej mniejszości intelektualistów czy politologów, którzy nie skapitulowali jeszcze przed Sowietai. Tymczasem w ślad za katastrofą będzie się długo ciągnął przypływ coraz nowych a zawsze trudnych do sprawdzenia wiadomości z ciężko rażonej, niewinnej Ukrainy.

III. Podzwonne

Zapytany o własne zdanie — autor tych uwag odpowiada: pomiędzy zaczepnym i odpornym potencjałem atomowym Sowietaów panuje gigantyczna dysproporcja. Tym samym można uznać, że ZSSR nadaje się bardzo dobrze do pokonania w wojnie atomowej, wszczętej strategią pierwszego uderzenia. Okropne te słowa można wyrazić spokojnie, ponieważ jeżeli w ogóle istnieje ewentualność całkiem niemożliwa, jest nią atomowy atak USA, skierowany w ZSSR. W krwawe i wojenne zamiary Ronalda Reagana wierzą wyłącznie miłujący pokój i jego sowieckie forpoczty inte-

lektualiści, dziennikarze, politycy, którzy chętnie określają prezydenta Ameryki przezwiskiem „Rambo” — podług niedawnego, dość sadystycznego i bardzo głupiego filmu *made in USA* — a także kowbojem, itp. Zajęciem, które pochłania wiele czasu i wysiłku zachodnich komentatorów, karykaturzystów i znów polityków, jest wzajemne „dostraszanie się”, które osiągnęło już takie natężenie, że kiedy Reagan zagroził militarnym odwetem Syrii i Iranowi w zamian za akty terroru, przygotowywane na ich terenach, natychmiast spadł na niego na Zachodzie deszcz potępień, a jego sekretarz Stanu musiał wyjaśniać, że prezydent mówił to, co mówił tylko całkiem abstrakcyjnie, nie mając bynajmniej zamiaru dotrzymania groźby.

Dotąd głównym przeciwnikiem Reagana był jego kongres wraz z europejskimi sojusznikami, natomiast ZSSR żadnych przeciwników, gotowych do działania (poza prośbami i daniem kredytów) nie miał. Obecnie okazało się, że ZSSR ma przeciwnika w samym sobie, to jest w samozagrażalnej rozbudowie niezabezpieczonych siłowni atomowych (których nie ostatnim zadaniem jest produkcja plutonu do bomb). Czy i jakie zmiany polityki wewnętrznej lub nawet zewnętrznej pociągnie za sobą ujawnienie się tego nieoczekiwanego przeciwnika, który może siać śmierć — zobaczymy.

P. ZNAWCA

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Różne głosy (dok.)

(Z DZIENNIKA WIĘZIENNEGO)

VIII

Charakterystyka poglądów politycznych Borsuka nie jest zadaniem łatwym. Gdyby mnie spytano, czy są to poglądy prawicowe, czy lewicowe — byłbym w kłopotcie. On sam pewnie też byłby w kłopotcie.

Dlaczego? Po prostu: on nie jest ani z lewicy, ani z prawicy — jest z „Solidarności”.

Piszę „Borsuk”, ale mógłbym to z powodzeniem odnieść także do Zbyszka Bujaka i Zbyszka Janasa, do Konrada Bielińskiego i Janka Lityńskiego, do wielu, wielu innych. Nieprzypadkowo wszyscy oni unikają deklarowania się w takich kategoriach, dostrzegają ich ubóstwo i nieadekwatność do polskich realiów. Przecież w sposobie rozumowania Borsuka — inteligenta i działacza robotniczego — obecne są nie tylko wartości klasycznej lewicy. Przecież unika on „lewicowej” etykiety nie tylko z powodów pragmatycznych — po prostu wpisane ma w swój styl myślenia także wiele wartości tradycyjnie przynależnych do kanonu demokratycznej prawicy. Styl działania korowskiego — zauważmy marginesowo — wykazywał wiele podobieństw do myśli politycznej narodowych demokratów z początku naszego stulecia; system korowskich wartości bliższy był jednak tradycjom Polskiej Partii Socjalistycznej.

Jest więc może Borsuk członkiem „centrum”? Nie przypuszczam. Pojęcie „centrum” ma sens tylko ze względu na punkty krańcowe układu. Wobec jakich punktów krańcowych polskiego

układu byłby Borsuk usytuowany w „centrum”? Kto byłby prawicą, a kto lewicą?

Czytałem niedawno historiozoficzne wywody publicystów z kręgu *Polityki polskiej*, że dla myślenia lewicowego charakterystyczne jest przekonanie o naturze ludzkiej jako pochodnej systemu społecznego, podczas gdy myśl prawicowa oznajmia, że „pojedynczy ludzie też wpływają na kształt społeczeństwa, a nie tylko odwrotnie”. Otóż jeśli na tym polega myślenie prawicowe, to w ten sposób prawicowo myślą w Polsce *wszyscy*.

Albo też czytam, że dla lewicy charakterystyczne jest rozumowanie „rewindykacyjne”. Znow nic nie rozumiem. Dopóki bowiem nie wytłumaczy mi ktoś mądry, jak myślenie antytotitarne może *nie* być oparte o plan działań rewindykacyjnych, widzieć będę w tych sformułowaniach jedynie językową ekwilibrystykę.

Nie, to po prostu nie jest ten podział. Fenomen Borsuka jest dla mnie argumentem wielce wymownym w tej materii. Jeśli uznać bowiem — zgodnie ze zdrowym rozsądkiem — że ten przywódca podziemnej „Solidarności” o tak bogatej już politycznej biografii nie da się zamknąć w pojęciowej klatce podziału na prawicę i lewicę, to zapytać wypadnie: czy w tej klatce dadzą się zamknąć inni ludzie? Wyczuwam u niektórych publicystów tendencję do wciśnięcia naszych realiów w gorset podziałów z innej epoki i innej rzeczywistości. Trudno mi na to przystać. Twierdzą bowiem, że klasyczne syndromy lewicy i prawicy uległy dezintegracji w rządzonej przez komunistów Polsce.

Złożyło się na to wiele przyczyn, od przeobrażeń w sferze stosunków własności poczynając: lewica jako wróg wielkiej własności prywatnej utraciła rację bytu w tym samym stopniu, co prawica jako tej własności obrońca. W świecie cywilizacji totalitarnej, która jest przecież formą cywilizacji więzienniczej, podział na prawicę i lewicę jest równie egzotyczny, jak podział na frankofilów i anglofilów.

Zastanówmy się bowiem: tradycyjna prawica przywiązywała wielkie znaczenie do rozwijania wartości narodowych, wierzyła w ciągłość procesów społecznych i opowiadała się za ograniczonym charakterem zmian. Dziś są to wartości powszechnie akceptowane — przestały być jakimkolwiek wyróżnikiem. Z kolei lewica akcentowała potrzebę rozwijania demokratycznych instytucji, równości wobec prawa, sprawiedliwości społecznej, troski o upośledzonych. Także i te wartości przestały być już wyróżnikiem, znakiem odrębności.

Prawica oskarżała lewicę o skłonności kosmopolityczne i fobię antyreligijną, o prymitywny egalitaryzm i wiarę w wykoncypowane utopie. Nie ma dziś w Polsce znaczących środowisk opozycyjnych, którym można by z dobrą wiarą przypisać te cechy.

Lewica zarzucała prawicy ksenofobię i szowinizm, obronę in-

teresów klas posiadających i ich przywiejów, odrzucanie reform społecznych i kwestionowanie praw świata pracy. Trudno byłoby dziś powtórzyć te zarzuty nawet pod adresem tych środowisk, które same siebie prawicowymi nazywają,

Przeciwnie: cnoty i przywary wykryły się w nowych konglomeratach i stereotypach. Fobii antyreligijnej może dziś towarzyszyć skrajny konserwatyzm deklarujący się jako „prawdziwa lewica”, ale może jej też towarzyszyć liberalizm; demagogia egalitarna łatwo sprzęga się z narodową ksenofobią, a szowinizm z myśleniem utopijnym. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy przeciwnicy totalitarnej dyktatury myślą to samo i tak samo. Twierdzą tylko uparcie, że wszystkie różnice są wtórne wobec totalitarnego podziału na więźniów i nadzorców oraz, że linie podziałów przebiegają i przebiegać będą wedle nowych kluczy.

Nie jest to stwierdzenie odkrywcze. Pomyślmy tylko: czy tak wybitni politycy polscy jak Jerzy Giedroyc i Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański) dadzą się jednoznacznie przypisać prawicowej bądź lewicowej opcji? Czy w tych podziałach zmieści się Lech Wałęsa? Szczerze w to powątpiewam.

IX

Myślę, że jest całkiem odwrotnie. *Kultura* paryska — ośrodek myśli politycznej i kulturalnej o randze trudnej do przecenienia — wymykać się będzie uparcie tak prostym kwalifikacjom. Jerzy Giedroyc w swym przedwojennym wcieleniu redaktora *Buntu młodych* i *Polityki*, kwalifikowany był — także ze względu na książęcą kondycję — jako rzecznik klasowego interesu kół ziemiańskich. Troską o odzyskanie majątków ziemskich na kresach tłumaczono sobie jego jagiellońską orientację, zainteresowanie ideą federalizmu, stawkę na porozumienie polsko-ukraińskie. Nie wiem, na ile oceny te były prawdziwe. Natomiast orzec mogą z całym przekonaniem, że jagiellońska orientacja księcia Jerzego nabrała w post-jałtańskiej rzeczywistości całkiem nowego sensu: stała się drogą do otwartego stylu myślenia o polityce. Ów styl otwarty to rachuba na sojusz z ruchami wolnościowymi innych narodów poddanych totalitarnemu dyktatowi, to bezwzględna krytyka megalomanii i ksenofobii w polskim myśleniu. Nie bez przyczyny wizytówką duchową *Kultury* są książki Gombrowicza i Mieroszewskiego, Czapskiego i Herlinga-Grudzińskiego, Jeleńskiego i Miłosza. Wszystkie te książki — najświetniejsze przecież dokonania współczesnej kultury polskiej — składają się na to niezwykle i przemyślane dzieło duchowej architektury. Twórcą tego dzieła, architektem tej budowli jest Jerzy Giedroyc.

W swych historycznych sympatiach jest książe Jerzy piśsudczykiem. W jednym z wywiadów bronił nawet tak kontrowersyjnych posunięć jak sprawa brzeska. Cóż z tego? Dla mnie oświadczenie obrona sprawy brzeskiej trudna jest wprawdzie do pojęcia, ale spór na ten temat — w świetle stosunku Giedroycia do spraw współczesnych — uważam za całkowicie bezprzedmiotowy. Obrona polityki wewnętrznej piśsudczyków jest prywatnym hobby redaktora, natomiast wkładem w edukację polityczną Polaków jest linia pisma. W ramach tej linii nie było mowy o aprobacie dla współczesnych praktyk wykorzystywania prawa karnego do ułatwiania politycznych porachunków. Określenie tej czynności oryginalnym mianem „obrony państwa” nie da się uzasadnić linią polityczną *Kultury*. Z jednym wyjątkiem: pomieszczone w *Kulturze* komentarze po przewrocie wojskowym w Chile uświadomiły mi ostro istnienie różnic w emocjonalnym stosunku do dyktatury: dla mnie przewrót pinochetowski był od początku ohydą.

Książę Jerzy, dość odległy w latach II Rzeczypospolitej od ruchu robotniczego, popierał na łamach *Kultury* wszystkie protesty robotnicze i lansował ideę integracji międzyśrodkowej. Czy postępował tak dla racji taktycznych? Nie wiem. Być może. Wcale mnie to jednak nie interesuje. Zajmując określone stanowisko — obojętne dla jakich powodów — Giedroyc kształtował w jego duchu sposób myślenia swoich czytelników. I tylko w taki sposób mogła obiektywizować się myśl polityczna pisma.

Niedawno wszakże przeczytałem w jednym z periodyków opozycyjnych zajadły atak na *Kulturę*, której przypisano „typowy dla lewicy laickiej antyklerykalizm”. Nie czuję się powołany do obrony redaktora *Kultury* w materii jego stosunku do Kościoła. Własne poglądy na ten temat wykladałem kilkakrotnie, zazwyczaj zresztą na łamach *Kultury*. Redaktor nie wykazywał pokusy cenzurowania opinii jawnie Kościołowi przychylnych, choć nieraz dawał wyraz własnemu krytycyzmowi. Wszelako przypisywanie Giedroycowi antyreligijnej czy antykościelnej fobii jako elementu składowego jego lewicowej myśli politycznej jest nonsensem. Można nie aprobować linii *Kultury*, ale po co zaraz pisać głupstwa? Aż wstyd przypominać takie oczywistości: można przecież żywić krytycyzm do politycznej linii Episkopatu i być katolikiem nader odległym od lewicowej opcji.

Albo inny przykład: Jan Nowak, autor znakomitego pamiętnika „Kurier z Warszawy”, długoletni dyrektor polskiej sekcji RWE. Nie umiałbym roztropnie scharakteryzować jego poglądów wedle „prawicowo-lewicowych” kryteriów. Jako autor „Kuriera...” skreślił portret polskiej wielkości i polskiej miserii; jako twórca linii propagandowej RWE ma wielką zasługę w konsekwentnym wspieraniu najbardziej świątłych i nonkonformistycz-

nych elementów polskiego społeczeństwa. Czynił to w sposób wolny od fobii i uprzedzeń. W wizji politycznej Jana Nowaka mieściło się i harmonijnie zespalało poparcie dla linii zawartej w kazaniach kardynała Wyszyńskiego i dla myśli krytycznej pomieszczonej w esejach Leszka Kołakowskiego, dla krakowskich katolików z *Tygodnika* i dla racjonalistów spod znaku Antoniego Słonimskiego. Wiara w sensowność takiej politycznej syntezy bynajmniej nie była powszechna — Nowak należał do tych, którzy świetnie wyczuwali sens dokonujących się w Polsce przeobrażeń. Interesowali go żywi ludzie i ich konkretne dokonania, a nie martwe doktryny i abstrakcyjne zaklęcia wiary politycznych lewicy czy prawicy.

Mimo rozlicznych różnic — godnych skądinąd szczegółowego studium — widzę w opcjach Jerzego Giedroycia i Jana Nowaka wspólny mianownik: przekreślenie anachronicznych kryteriów. Zastąpiła je troska o kontakt z polską rzeczywistością, z tą rzeczywistością podskórna, zbuntowana, szukająca języka i tożsamości. U obu wybitnych polityków widzę ten sam nieustanny wysiłek wspierania realnych dążeń wolnościowych. Nieprzypadkowo to oni właśnie bezwzględnie rozszyfrowali sens orientacji politycznej „mocarowców”, który polegał na dążeniu do ustanowienia policyjnej dyktatury pod hasłami antyinteligentycznej i antysemickiej ksenofobii. Nie zwiódł ich biało-czerwony sztandar, którym te hasła przyozdobiono, choć zwiódł on przecież niedźwiedzi obserwatora w kraju i na emigracji. Bo też obaj — rezygnując z anachronizmu dawnych kategorii — szukali podmiotu zmian demokratycznych wśród więźniów, a nie wśród nadzorców. To ich łączyło.

Różnicy głównej szukałbym w perspektywie, z której spoglądali na konstytuującą się opozycję demokratyczną. Nowak był tym, który z fal eteru bronił poszkodowanych i popularyzował ich idee, kleił, łączył i szukał tego, co jednoczy. Czy zwracając się do milionów ludzi w Polsce mógł czynić inaczej?

Mógł natomiast czynić inaczej Giedroyc. Będąc redaktorem pisma dbającego o wysoki poziom intelektualny, pisma elitarnego, chciał być czynnikiem umysłowego fermentu, źródłem inspiracji i sporów, azychem dla polemiki politycznej i krytycznej auto-refleksji. Uporczywa pasja prowokowania opinii publicznej i programowa przekora budziły często wśród krytykowanego protest niechęci, wszelako nikt rozsądny nie poddaje dziś w wątpliwość, że *Kultura* stała się doniosłym czynnikiem procesu kształtowania się nowej tożsamości Polaków. Jaka to tożsamość?

Z pewnością różna od schematu „prawica-lewica”. Kiedy Leszek Kołakowski zastanawiał się — nieco żartobliwie — „jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą?”, dotykał rdzenia kon-

stytuującej się nowej tożsamości. Skoro bowiem totalitaryzm zaatakował rozmaite twarze ludzkiej wolności, to i antytotalitarny opór musiał na owe twarze — wczoraj konfliktowe — spojrzeć z nowej, totalitarnej perspektywy. Antytotalitarna krytyka płynęła z różnych inspiracji ideowych, formułowana była w różnych językach, a jej finalny efekt — „Solidarność” — następczał nie mały kłopot pochopnym klasyfikatorom. Tenże Leszek Kołakowski zanotował w lipcu 1981 roku, że „brak nam jak gdyby języka, by cały ów proces, jaki się na oczach naszych odbywa, należycie opisać”; że „wszystkie zwyczajne wyrażenia, do jakich siłą bezwładności sięgamy, gdy opisujemy osobliwość polskich wydarzeń, okazują się nieodpowiednie lub mylące”. „Polska — pisze dalej — która wyłania się z tych wydarzeń, jest mutantem, jedynym na razie egzemplarzem nie istniejącego gatunku politycznego”.

Nic tedy dziwnego, że niektórzy, sięgając umysłem ku początkom naszego stulecia, szukają analogii. Jedną z nich jest porównanie z obozem niepodległościowym skupionym wokół Józefa Piłsudskiego. Rzecznicy tej analogii definiują swoją opcję polityczną jako „niepodległościową”.

Inaczej mówiąc: podział „prawica — lewica” byłby zastąpiony podziałem „niepodległość — ugoda”. Także ten styl rozmowy — choć bliższy polskim realiom — zasada się na błędnej diagnozie. Jest bliższy, bowiem odwołuje się do kategorii, która w istotny sposób opisuje polskie aspiracje. Jednak analogia jest chybiona. Nieporozumienie polega na tym, że nikt dzisiaj nie sformułował programu polityki „niepodległościowej” tzn. polityki zmierzającej — jak w przypadku Piłsudskiego — do bezpośredniej walki o niepodległość. Ów brak nie bierze się z polskiego oportunizmu i braku wyobraźni, lecz z poprawnej diagnozy sytuacji. Sytuacja obecna — twierdzą — każdy taki program czynić musi papierowym i iluzorycznym. Koncepcja Piłsudskiego wyodrębniła się wśród wszystkich innych programów nie tyle wyznawaniem idei niepodległościowej — to było udziałem wszystkich niemal obozów — lecz określoną koncepcją walki o realizację tej idei, koncepcją zrodzoną z analizy układu sił na politycznej mapie świata. Istota różnicy tkwiła więc w diagnozie i taktyce, a nie w doktrynie czy ideologii. Diagnoza warunkowała różną praktykę polityczną: jedni szukali miejsca i sojuszników w rosyjskiej Dumie, drudzy organizowali załóżki polskiego wojska w Galicji. Bez Związku Walki Czynnej idee niepodległościowe Piłsudskiego byłyby tylko ornamentem innego programu działania.

Czy Jerzy Giedroyc i Jan Nowak są prekursorami współczesnego obozu niepodległościowego? Nie, gdyż taki obóz nie istnieje. Są natomiast z całą pewnością prekursorami współczesnej myśli politycznej Polaków, która zмага się z problemem formuły poli-

tyki niepodległościowej, tak jak byli prekursorami demokratycznej opozycji, jej stylu myślenia i działania.

Uprzedzając rutynowe komentarze Urbana i Lobmana oraz Passenta i Machejka precyzuję: ani Giedroyc, ani Nowak nie byli inspiratorami ani też organizatorami demokratycznej opozycji. Byli — moim zdaniem — prekursorami tej syntezy, która dokonała się w Polsce. Dokonuje się ona wciąż, nadal, na naszych oczach, łącząc cnoty dawniej konfliktowe: rozumną zachowawczość ze śmiałą myślą o technikach społecznego oporu i o Polsce zreformowanej, narodowe z uniwersalnym, emigracyjne z krajowym, tradycję Polaka-katolika z tradycją Polaka-radykała, wierność własnym korzeniom z umiejętnością szyderczej i krytycznej samoanalizy.

Tę właśnie syntezę odnalazłem w słowach i uczynkach Borsuka, Władka Frasyniuka i innych przywódców „Solidarności”.

X

Schemat „prawica-lewica” należy do klasycznych tematów polskiej myśli politycznej. Pytanie o jego aktualność wiedzie do problematyki szerszej, do namysłu nad relacjami pomiędzy tradycją a dzisiajszą rzeczywistością. Słynne polskie dylematy: romantyzm — realizm, nacjonalizm — uniwersalizm, podziemie — praca organiczna, ugoda — opozycja, szlachta — lud, katolicyzm — racjonalizm, Rosja — Europa; czy te dylematy znajdują odzwierciedlenie w dzisiejszych sporach?

Zaryzykujmy tezę, że wszystkie są zarazem anachroniczne i współczesne. Anachroniczne przez swe osadzenie w innym konkretnym, przez związek z innymi realiami; współczesne przez rdzeń swej problematyki, który nie utraci żywotności, póki istnieć będzie polskie dążenie do wolności i niepodległości. Dlatego warto analizować tamte spory. Warto śledzić ukryte w nich racje i motywacje. Warto rozumieć duchowość ludzi, którzy z rosyjskich oficerów stawali się przywódcami niepodległościowej konspiracji (Dąbrowski, Sierakowski, Traugutt), z organiczników — insurekcjonistami („biali” w 1863 r.), z konspiratorów — legionistami (Smolka, stańczycy), ze zwolenników orientacji prorosyjskiej — organizatorami polityki polskiej na Zachodzie (Adam Czartoryski).

W każdej z tych dróg tkwił fragment rzetelnej troski o sprawę polską. Dlatego tak ciekawe i instryktywne bywają analizy ówczesnych polemik: studium polskich rachunków sumienia więcej nam mówi o Polsce i Polakach, niż analiza programów i doktryn. Z tych rozrachunków — myślę — wyłania się pewien szczególny rys polskiego myślenia i pewien szczególny typ Polaka. Ów rys to niekonwencjonalne zespolenie uczuć wierności dla „na-

rodowej potrzeby" z krytycznym i ironicznym dystansem do ich wcieleń zdeformowanych w programy polityczne i rytualne narodowe obrzędy. Zaś ironii tej towarzyszyło przeświadczenie, że ludzi należy klasyfikować nie wedle doktryn, które okresowo wyznają, lecz wedle tego, czym żyją, jak żyją i jakich wartości w życiu poszukują.

Taki jest sens dziedzictwa po Polakach z ubiegłego stulecia. Cenne to dziedzictwo. Łatwiej przecież — także w naszej epoce — o dobrą koniunkturę międzynarodową, niż o twardy charakter, wrażliwość moralną i jasną myśl.

Oczywiście bywa, że nie pomaga myśl jasna i nieugięte charaktery przy uporczywym braku koniunktury. Bywa, że szczęśliwy zbieg okoliczności jest ważniejszy niż odwaga i mądrość, cenniejszy niż sprawiedliwość. Wszelako na szczęśliwe „zbiegi okoliczności” mają Polacy wpływ nader znikomy. Natomiast kształt polskich charakterów wykuwać można ciągle, niezależnie od koniunktury i na przekór jej kapryśnemu biegowi. Ten kształt, to także zdolność prawdziwego widzenia samych siebie. Zapytajmy przeto: co nas dzieli?

Stefan Kisielewski odpowie zapewne, że o podziałach stanowi stosunek do kapitalizmu. Dzielimy się — powie — na tych, co to wierzą w jakieś bzdurne socjalistyczne utopie i tych, którzy pragną, by w Polsce funkcjonował normalny system kapitalistyczny, tzn. system oparty na indywidualnej wolności w sferze inicjatywy gospodarczej, na prywatnej własności i konkurencji zrodzonej z mechanizmów rynkowych. System ten — dorzuci Kisielewski — zrodził liberalizm i cywilizację zachodnią, parlamentarną demokrację i prawa człowieka.

Nie podzielam tej opinii. Wszelako daleko bardziej obcy jest mi pogląd, który w oparciu o takie deklaracje zakwalifikuje Stefana Kisielewskiego jako zakamieniałego pravicowca. Dlaczego?

Dlatego, że wizja wolnokonkurencyjnego kapitalizmu we współczesnej Polsce jest równie prywatnym hobby Stefana Kisielewskiego, jak w przypadku Jerzego Giedroycia obrona sprawy brzeskiej. Nie wynika z niej nic poza powtarzaniem, że kapitalizm jest lepszy od komunizmu oraz że należy zaprzestać gnębienia prywatnej inicjatywy nadmiernymi podatkami. Kisielowa miłość do kapitalizmu jest nieprzetłumaczalna na język codziennych politycznych zachowań. Wszelako broniąc werbalnie kapitalizmu abstrakcyjnego, wdał się Kisielewski w wojnę z całkiem konkretną totalitarną dyktaturą.

Interesuje mnie to, co w trakcie tej wojny powstało: Kisielowa filozofia indywidualnego oporu, styl myślenia o polskich kompleksach i cnotach, o politycznej utopii i ludzkiej samotności, bowiem te właśnie „produkty uboczne” stały się propozycją realną

w polskim życiu umysłowym. Czy da się ona ująć w „prawicowo-lewicowym” schemacie? Z pewnością nie. Natomiast stanowić może — i stanowi — składnik różnych praktycznych opcji, co dowodzi, że wbrew swej woli i niezależnie od swych intencji, Stefan Kisielewski stał się jednym z ojców chrzestnych demokratycznej opozycji. Kisielową inspirację odnaleźć można u ludzi o nader różnych biografiiach i postawach, tak u zwolenników „Solidarności”, jak i u jej krytyków.

Bowiem dzielić musi polską opinię nie stosunek do kapitalizmu, lecz pogląd na rolę „Solidarności”. Pytamy dzisiaj: czy jest to forma samoorganizacji przestarzała już i anachroniczna? Czy — jak Armia Krajowa w 1945 roku — „Solidarność” wyczerpała swój historyczny sens w chwili wprowadzenia stanu wojennego, czy też — przeciwnie — wtedy właśnie nabrała nowego sensu, stwarzając szansę zupełnie nowej formuły antytotalitarnego oporu? Czy — przeto — zmierzać dziś należy do bezkrwawej likwidacji podziemnych struktur czy też raczej do ich umocnienia i doskonalenia?

Z różnic w tym przedmiocie wynikają pozostałe: czy rachować na nowe porozumienie z władzą komunistyczną i jak o nie zabiegać? Czy przebijać się do jawnej egzystencji jako „Solidarność” czy też porzucając związkowy symbol, szukać zaczepienia w ramach instytucjonalnej oficjalności narzuconej przez generałów? Wobec Kościoła: czy widzieć w Kościele duchowy autorytet, nauczyciela prawd moralnych czy też politycznego sojusznika? Wobec Rosji: czy widzieć w niej odwiecznego wroga, czy też szukać potencjalnych przyjaciół w obozie rosyjskiej demokracji? Wobec sytuacji międzynarodowej: czy rachować na rewizję Jałty i pozytywnej ewolucji polityki sowieckiej, czy też uznać wieczystą niezmiennność obecnego stanu rzeczy i traktować sowiecki ład totalitarny jako nieusuwalnego gwaranta totalitarnych porządków w Polsce?

Nie myślę tu odpowiadać na te wszystkie pytania. Częstkowo czyniłem to już wielokrotnie. Intencją tej listy problemów jest unaocznienie, że żadna z odpowiedzi nie przesądza o opcji tradycyjnie uznawanej za pravicową bądź lewicową. Świat podzielił na prawicę i lewicę nie jest już polskim światem. Nie jest światem Borsuka. Próbując zrozumieć fenomen ludzi takich jak on, sięgam do biografii Jarosława Dąbrowskiego i Romualda Traugutta, do „ludzi podziemnych” Struga i „Przedwiośnia” Zeromskiego, do „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego i książek Konwickiego o akowskim lesie. Nade wszystko jednak pochylam się nad doświadczeniem epoki stalinizmu: „Zapiski więzienne” kardynała Wyszyńskiego i „Zapiski” Strzeleckiego, „Dziennik” Gombrowicza i felietony Kisielewskiego. Z tych książek usiłuję odczytać wizerunek polskiego społecznika-niepodległościowca,

którego współczesnym wcieleniem jest dla mnie Bogdan Borusewicz.

Wiem — to byli bardzo różni ludzie. I różne pozostawili świadectwa tamtej epoki. Atoli ta różnorodność właśnie sprawia, że tak fascynującym zajęciem jest ponowne ich odczytanie. Okazuje się bowiem wtedy, że — nawet wbrew autorom — sytuacja graniczna, usuwając ornamentykę, wydobywa wspólne rysy świadectw. Oni sami mogli wierzyć, że kontynuują wcześniejsze podziały — współczesny czytelnik widzi kształtowanie się zarysu nowej epoki.

Po ponownym przeczytaniu tych książek stwierdzić mi wypada: świat podziału na prawicę i lewicę nie jest również moim światem. Mój świat to „Solidarność” i Kościół katolicki, to totalitaryzm i walka o wolność. Nie jest to świat prosty: pełno w nim podziałów, trudnych konfliktów i dalekich od doskonałości syntez. Ale jest za to realny, zakorzeniony w konkretności, pulsujący życiem.

Wiem: egzystując w tym świecie poruszam się nieco po omacku. Jest on bowiem światem kształtów prowizorycznych. Dlatego tak trudno nam o precyzyjną diagnozę — zwykle tak bywa w trakcie kształtowania się nowych form, a my żyjemy w samym sercu wielkiego tygla przemian. W tej sytuacji różnice zdań i podziały są nieuchronne — mogą być one wszakże zarówno źródłem słabości, jak siły. Jeśli powtarza się dzisiaj za Romanem Dmowskim, że naród nie ma kilku polityk do wyboru, to chce się zrealizować utopiijny cel zaprzęgnięcia Polaków w rydwan jednej tylko koncepcji politycznej. Wtedy zwolennicy innych koncepcji jawić się muszą jako wrogowie interesu narodowego, ze wszystkimi konsekwencjami takiego widzenia. Ale nie jest to jedyna perspektywa: w pluralizmie postaw i idei można widzieć także element duchowego bogactwa, fragment ładu demokratycznego. Konflikty mogą zubażać, gdy brutalizują życie umysłowe, ale mogą też to życie pogłębiać, gdy ich uczestnicy mają świadomość wzajemnej nieusuwalności.

Łatwo pozostać w sferze pobożnych życzeń, formułując tak ogólnikowe postulaty. Sprezycujmy przeto: uważam, że „Solidarność” winna postrzegać pojawianie się nowych formuł w kategoriach nowej szansy dla polskiej kultury demokratycznej, a nie zagrożenia dla swej egzystencji. Uważam też, że polemika ze stanowiskiem Chrzanowskiego i Micewskiego, Halla i Dorna winna brać takie przeświadczenie za punkt wyjścia. Pluralizm ma swoją cenę, ale jeśli jest wartością samoistną, to nie można żądać go tylko dla siebie.

Zwracamy wzrok wstecz, by odnaleźć podobne ludzkie doświadczenie. To także musi nas dzielić. Każdy z nas odmiennie odczytuje znaki przeszłości i teraźniejszości, samodzielnie zmagając

się z ukrytym szyfrem dziejów, na własną rękę oddziela to, co zagasłe, od żywotnego przesłania. Wszelako różniąc się nieuchronnie, szukajmy wspólnie istoty tych różnic, by nie pograżyć się w sprawach zastępczych i jałowych. I wspólnie chrońmy pluralizm polskiego życia, a wraz z nim — prawdę.

Różniąc się tedy, pamiętajmy, że każdy z nas ma dobrą wolę i każdy niesie w sobie jakąś część tej prawdy — polskiej i ludzkiej.

Adam MICHNIK

WYJAŚNIENIA

Omówienie ostatniej pracy Adama Michnika — bardzo ciekawej i kontrolerskiej — odkładamy do chwili, kiedy całość ukaże się w druku. Ponieważ jednak Adam Michnik parokrotnie pisze w niej o mojej działalności — nie tylko jako redaktora *Kultury* ale i przedwojennej — przedstawiając ją nieścisłe — więc niektóre jego twierdzenia chcę sprostować.

1) Adam Michnik pisze o „mojej orientacji jagiellońskiej”, że nie jest pewien czy zarzuty — że było to spowodowane jedynie troską o „odzyskanie majątków ziemskich na kresach” — były prawdziwe.

Gdyby takie zarzuty wysunął ktoś inny uważałbym reagowanie na nie za poniżej mojej godności. Pod piórem Michnika jest to o tyle dziwne, że choć zapewne nie miał możliwości zapoznania się z publicystyką *Buntu Młodych*, to przecież zna książkę swego przyjaciela, Marcina Króla pt. „Style politycznego myślenia”, książki Adolfa Bocheńskiego — nie mówiąc już o swoich własnych ocenach mojej działalności, publikowanych w prasie niezależnej.

2) Michnik wyraża zdziwienie, że broniłem „sprawy brzeskiej”. Michnik jest historykiem, ale ten okres zna tylko z jednostronnej publicystyki i nie zdaje sobie sprawy jakim zagrożeniem i jakimi konsekwencjami mogło grozić powstanie Centrolewu. Są chwile, które wymagają nielegalnych środków dla ratowania zagrożonej niepodległości państwa. Nawiasem mówiąc *Bunt Młodych* bardzo ostro potępiał traktowanie więźniów brzeskich, co powodowało liczne konfiskaty pisma.

3) Sprawa Chile. — Nie popierałem przewrotu gen. Pinocheta, ale komentowałem, że przewrót ten nastąpił głównie na skutek obłędnej polityki Allende, która doprowadziła kraj do katastrofy. Pisaliśmy o tym na podstawie materiałów dostarczonych nam z Chile przez naszych czytelników o bardzo „lewych” poglądach. No, ale to jest jednym z tabu, którego Michnik nie może widocznie przełamać.

4) Michnik pisze, że byłem „dość odległy w latach 2-jej Rzeczypospolitej od ruchu robotniczego”. To nie jest ścisłe: we wczesnych latach trzydziestych organizowałem w Warszawie koła młodzieży robotniczej. Eksperyment był bardzo pouczający. Rozbił się gdy natrafiłem na problem bezrobocia, z którym nie mogłem sobie dać rady. Prowadziłem również prace wśród młodzieży wiejskiej, organizując m.in. kursy przysposobienia rolniczego. To także skończyło się niepowodzeniem, aczkolwiek mniejszym niż z młodzieżą robotniczą. Dało mi to jednak dużo doświadczenia, którego chyba zabrakło polskim intelektualistom po roku 1945, a specjalnie po 1949. Z litości nie wymieniam ich nazwisk.

5) Michnik stwierdza, że nie jesteśmy wraz z Janem Nowakiem „prekursorami współczesnego obozu niepodległościowego, gdyż taki obóz nie istnieje”.

Niewątpliwie nie jesteśmy i nie możemy być prekursorami rzeczy, która zawsze istniała od zakończenia wojny tak w kraju, jak i na emigracji. Nawet w KOR-ze, do którego Adam Michnik należał, reprezentantem tego obozu był zmarły niedawno Józef Rybicki, co zapewne może potwierdzić ks. Zieja. A kogo reprezentują Zbigniew Herbert czy Bogdan Borusewicz, o którym pisze Michnik ze słusznym entuzjazmem? A „Solidarność Walecząca”? A KPN?

6) I uwaga ostatnia: Michnik pisząc o mnie ze smakiem używa tytułu, którego ja nie używam. Czyżby dla zaznaczenia mojej „obcości klasowej”, czy też dla dania do zrozumienia, że jestem „retro”? Jestem dumny ze swego nazwiska, ale jest ono dla mnie jedynie jeszcze jednym zobowiązaniem dla kontynuowania linii życiowej, którą sobie wytyczyłem.

Piszę o tym wszystkim z ogromną przykrością, gdyż dla Michnika mam wiele przyjaciół i szacunku, które nadal zachowuję.

Jerzy GIEDROYC

ś. † P.

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

Czołowy współpracownik i przyjaciel, wybitny publicysta, który przyczynił się do krystalizowania współczesnej myśli politycznej, zmarł przed 10 laty w Londynie 21 czerwca 1976 roku.

REDAKCJA „KULTURY”

Wokół religii

Cztery lata temu ukazała się po angielsku książka Leszka Kołakowskiego „Religia”* i zdobyła sobie duży i przychylny rozgłos. Warto zwrócić na nią uwagę polskich czytelników choćby dziś jeszcze, ponieważ stanowi ona rodzaj podsumowania wieloletnich i — jeśli tak można powiedzieć — wieloksiążkowych eksploracji tego filozofa, poświęconych najdziwniejszemu obszarowi ludzkiej kultury. Praca stanowi część serii *Fontana Masterguides*, prezentującej ogólne stanowiska takich dyscyplin jak psychologia, socjologia czy językoznawstwo wobec ich przedmiotów badań; założeniem jest tu więc nie tyle popularyzacja określonego quantum wiedzy, ile raczej określenie zasięgu danej dyscypliny i dyskusja najważniejszych jej założeń. Spośród wszystkich autorów tej serii — z reguły specjalistów o światowej renomie — Kołakowski miał przypuszczalnie zadanie najtrudniejsze, ponieważ jak sam to podkreśla, termin „religia” obejmuje zagadnienia operujące takimi wszystkoobejmującymi pojęciami jak bóstwo, ludzkość i kosmos, dotyczy więc właściwie wszystkiego, co może pojawić się w ludzkim mózgu. Co więcej, różnorodność zjawisk objętych tym ogólnym terminem jest tak ogromna (wystarczy rozważyć spektrum kultów z punktu widzenia czczonych w nich bóstw: od monoteizmu judaizmu czy islamu poprzez nieskończony panteon hinduistyczny aż po „zeroteizm” buddyzmu!), że nie jest jasne, o co myśl filozofa religii może się w ogóle zahaczyć. Dla Kołakowskiego punktem wyjścia jest wprowadzone przez Mircea Eliade pojęcie „doświadczenia *sacrum*”, czyli aktu czci wobec jakiejś zaziemskiej rzeczywistości; autor „Religii” podkreśla przy tym, że interesuje go bardziej sama wiara w tę rzeczywistość, niż rytuały jakimi jest wyrażana.

Obok tekstu właściwego książka zawiera parę dziesiątków

* *Religion. If there is no God... On God, the Devil, Sin and other Worries of the so-called Philosophy of Religion*. Fontana Paperbacks 1982, 235 p. (Hardback edition: Oxford University Press).

urywków wybranych z filozoficzno-religijnej literatury świata od Rigwedy poprzez św. Tomasza po Wittgensteina; wyjątki te — rozrzucone po całej książce — pełnią rolę swoistych ilustracji, ponieważ wiążą się zazwyczaj z jakimś punktem dyskutowanym w tekście, a równocześnie „uniwersalizują” go, nadając zagadnieniu apokaliptycznej przepaścistości. Jest to szczególnie wyraźne w wypadku wypowiedzi mistyków lub postaci egzotycznych, por. np. urywek z Lao Tse na stronie 95: „Miriady stworzeń w świecie rodzą się z Czegoś, a Coś z Niczego” lub cytaty z Mistrza Eckharta na str. 89: „...bo w wieczności nie ma wczoraj ani jutro, lecz tylko Teraz”. Wypowiedzi te, mające w sobie coś z nieuchwytnych horyzontów Salvadora Dali, uwypuklają odwagę autora podejmującego się usystematyzowanie dziedziny myśli ludzkiej, w której wyrażenia potoczne, metafory, fragmenty logicznego rozumowania, abstrakcje i byty postulowane tworzą rodzaj mgły, dopuszczającej — zdałoby się — dwa jedynie wybory: roztopić się w tym całkowicie albo uciekać jak najdalej! Kołakowski stara się zająć trzecią postawę: neutralnego choć przychylnego obserwatora, zakładającego, że to co ludzie mówią o religii mówią serio, czyli że dziedzina ta w jakiś sposób istnieje, tak jak np. istnieje topologia, mimo że poza matematykami mało kto wie, o co w niej chodzi. Religia jest dla niego czymś „danym” i zamkniętym w sobie w tym sensie, że nie wierzy on ani w możliwość wykrycia pragmatyki kultów z danych etnograficznych, ani też w jej „odczytanie” *à la Lévi-Strauss*, uprawiający rodzaj socjologicznego freudyzmu (mój termin — M.B.).

Swą analizę zjawiska religii Kołakowski skupia wokół czterech impulsów ludzkich, jakie w niej się najwyraźniej przejawiają: oburzenia na zło świata, próby racjonalnego objęcia całości bytu, miłości do istot(y) z wyższego porządku istnienia i refleksji nad śmiercią. Odpowiadają temu cztery pierwsze rozdziały, zatytułowane: 1. Bóg skrachowanych: teodycja; 2. Bóg rozumujących; 3. Bóg mistyków. Eros w religii; 4. Sacrum i śmierć. Pierwszy rozdział rozważa znaną trudność połączenia wiary w boską wszechmoc z istnieniem zła i cierpienia w świecie; autor przychylił się do koncepcji Leibniza, w myśl której aktualny stan świata jest „najlepszym z możliwych” — innymi słowy, że jest „globalnie pozytywną” wypadkową kolidujących ze sobą konieczności. Kołakowski podkreśla, iż twierdzenie to jest niesprawdzalne, ale że stanowi ono filozoficzne sformułowanie zaufania w boską mądrość i sprawiedliwość. Na pytanie, dlaczego mielibyśmy tę ufność żywić nie ma odpowiedzi z wyjątkiem przekonania wierzących, że tak właśnie trzeba: innymi słowy trzeba być już wierzącym, by z wiary swej wyprowadzić argumentację. Rzecz sprowadza się więc ostatecznie do przeciwstawienia dwóch postaw ludzkich: racjonalistycznej (*vel* „scjencyistycznej”) postawie fideistycznej, odrzucającej częściowo lub całkowicie kryteria stosowane przy kwestiach bardziej przyziemnych. Na zarzut, że takie stawianie sprawy przypomina nieco sytuację, w której przepis na otwarcie puszki (czyli wyjaśnienie pozycji intelektualnej wierzących) znajduje się w samej puszcze (czyli: że trzeba wie-

rzyć, by to zrozumieć) Kołakowski mógłby odpowiedzieć — i właściwie czyni to przez zakwestionowanie uniwersalnej ważności sądów opartych na podstawach empirycznych i logicznych. Na retoryczne pytanie na str. 50: „*jakie racje można przytoczyć na rzecz twierdzenia, że reguły normalnie stosowane przy sprawdzaniu i tymczasowym akceptowaniu hipotez naukowych definiują... granice tego co jest znaczące czy też akceptowalne? Czyli: jakie są podstawy naukowego racjonalizmu?*” odpowiedź autora „Religii” jest zdecydowana: nie ma absolutnych racji tego rodzaju, podstawy te są li-tylko konsekwencją naszego wyboru, który nie jest zdeterminowany czymkolwiek.

Wtrącę w tym miejscu, że trudno mi to stanowisko zrozumieć, bo prowadzi ono do sytuacji, w której — przejaszkawiając nieco — musimy uznać, iż dwa objaśnienia sposobu funkcjonowania zegarka: (a) że jest napędzany systemem sprężyn i kółek, lub też (b) że siedzi w nim niewidzialny krasnoludek popychający wskazówki, mają równorzędną pozycję, ponieważ koniec końców opierają się na dowolnej „opcji”. Trawestując pewne słynne powiedzenie: gdy nie ma Logiki, to wszystko wolno... Nie potrafię mego sprzeciwu przeciw tej wolności wyrazić filozoficznie, ale mam wrażenie, iż chodzi tu o coś podobnego jak w maszynach liczących: pewne odchylenia od reguł na których opiera się matematyka mogą doprowadzić do ich zniszczenia (na przykład: próbując podzielić jakąś liczbę przez zero uruchamiam niekończący się cykl operacji — maszyna „wariuje”). Powinno się więc takich odchyżeń unikać.

Trzy dalsze rozdziały (z czterech wspomnianych powyżej) umacniają tę postulowaną przez Kołakowskiego dwudzielność czy wręcz *apartheid* epistemologiczny. Po krytycznej analizie tzw. dowodów na istnienie Boga, wykazującej, iż nie są one logicznie bezbłędne, rozdział „Bóg rozumujących” przeradza się w wywód, że bez uznania Jego istnienia zanika też pojęcie prawdy w sensie absolutnym. Rozdział „Bóg mistyków” sugeruje, iż tradycja mistyczna wielu religii w jakiś sposób wskazuje na istnienie „czegoś”, jakiegoś szczególnego przedmiotu szczególnego poznania [poręczam str. 141: „...*najbardziej skomplikowane konstrukcje ontologiczne spekulatywnych mistyków są zakorzenione w elementarnym i powszechnym doświadczeniu sacrum (the Sacred)*”]. Rozdział czwarty, dyskutujący wiarę w życie pozagrobowe, odrzuca hipotezę, że jest to *wishful thinking* zrodzone ze strachu przed śmiercią; autor raczej przychylił się do poglądu, iż chodzi tu o swoistą konsekwencję wiary w całościowy sens świata i że z tego punktu widzenia koncepcja nieśmiertelnej duszy jest rodzajem uzasadnionej opcji: inaczej ludzkie życie byłoby bezsensowne czy też (termin spopularyzowany przez egzystencjalistów) „absurdalne”.

Rozdział piąty pt. „Mówienie o czym nie da się mówić: język i to co święte. Potrzeba istnienia tabu” jest polemiką ze stanowiskiem empiryków, którzy traktują wypowiedzi posługujące się terminami bez wyraźnych desygnatów jako bezsensowne; jest to też próba określenia przez autora własnego stanowiska w tej spra-

wie. Mały wybór cytatów powinien dać pewne pojęcie o zawartości tej ważnej części książki Kołakowskiego:

Nie ma nic złego ani nielogicznego w uznaniu, że cokolwiek ludzie mówią z poczuciem iż to rozumieją, a inni to odbierają z podobnym uczuciem — ma znaczenie. Nie oznacza to kwestionowania faktu, że formowanie znaczenia w życiu religijnym różni się pod wieloma względami od sposobu w jaki tworzy się i utwierdza znaczenie w języku potocznym i języku nauki doświadczalnej (przy czym ten drugi stanowi przedłużenie i kodyfikację pierwszego) [str. 164]. ... Twierdzą, że istnieje specjalny rodzaj postrzegania charakterystyczny dla dziedziny *sacrum*. W dziedzinie tej moralne i poznawcze aspekty aktu percepcji tak są ze sobą stopione, iż są nierozróżnialne: dopiero analiza 'z zewnątrz' pozwala na takie rozróżnienie. ... religia nie jest zbiorem twierdzeń, jest to dziedzina kultu, w której rozumienie, wiedza, poczucie uczestnictwa w ostatecznej rzeczywistości... i wybór moralny jawią się jako jednolity akt, którego dalszy podział na osobne klasy twierdzeń metafizycznych, moralnych i innych może być użyteczny, ale też siłą rzeczy wypacza sens oryginalnego aktu czci. [str. 175-176] ... Ludzie wprowadzani są w rozumienie języka religijnego i w kult bardziej poprzez uczestniczenie w życiu wspólnoty religijnej, niż przez perswazję racjonalną. [str. 182].

Innymi słowy: istnieją grupy ludzkie indukujące (by nie rzec: indoktrynujące) w psychice swych członków pewne stany myślowo-uczuciowe, w których granica pomiędzy świadomością tego co jest (rzeczywistego stanu rzeczy) i tego jak być powinno (nakazów i zakazów moralnych) jest zatarta przez dominujące uczucie adoracji wobec Najwyższego Autorytetu. W tej płazmie pojęciowo-emocjonalnej zdania normatywne (to wolno, a to jest tabu) nabierają charakteru sądów o rzeczywistości (to jest prawdą, a to fałszem) i *vice versa*; trywializując nieco można powiedzieć, iż w tym ujęciu zdanie „nie wolno jeść wieprzowiny” nabiera charakteru uniwersalnej prawdy logicznej. Kołakowski nazywa to procesem uprawomocnienia (*validation*) norm etycznych i w tym sensie podpisuje się pod stwierdzeniem Dostojewskiego „jeśli nie ma Boga, to wszystko wolno”. Zgodnie ze swą predykcją do norm „ufundowanych w micie” Kołakowski stara się zrelatywizować jedynie racjonalnego konkurenta tej dostojewszczyzny, czyli pojęcie imperatywu moralnego wprowadzone przez Kanta.

Jest to punkt bardzo dla książki istotny i chcę się nad nim chwilę zatrzymać. Wpierw porcja cytatów z Kołakowskiego:

Prawomocność słynnego postulatu formalnego Kanta — powinienem postępować wyłącznie według zasady, którą zyczyłbym sobie widzieć jako prawo powszechne — była uzasadniona tym, że nie mogę być konsekwentny postępując inaczej i że reguła postępowania ignorująca to ograniczenie prowadzi do własnej klęski. Jeśli, na przykład... każdy ma prawo kłamać, to nie wierzy się nikomu i żaden kłamca nie osiągnie swego celu: reguła grzebie zatem samą siebie. Rozumowanie to nie jest przekonujące i być może stanowi błędne koło. ... Nie jestem bynajmniej niekonsekwentny życząc sobie, by inni postępowali według zasad, których sam nie chcę przestrzegać. Jeśli — by kontynuować przykład podany powyżej — kłamię kiedykolwiek mi się podoba, lecz wymagam od wszystkich innych by zawsze mówili prawdę.

jestem całkowicie konsekwentny... Innymi słowy nakaz [typu kantowskiego] ... nie ma żadnej podstawy logicznej ani psychologicznej... i mogę go uznać za najwyższą zasadę jedynie na mocy samowolnej decyzji, chyba że pojawi się on w kontekście kultu religijnego. [str. 190-191].

Mówiąc otwarcie argumentacja Kołakowskiego w tym miejscu wydaje mi się mało przekonująca: skoro życzę sobie, by jakaś norma była *powszechna*, postępuję się terminem synonimicznym z wyrażeniem „bez żadnych wyjątków” — jeśli więc czynię wyjątek dla siebie, popadam w sprzeczność. Chyba, że uznamy iż słowo „konsekwencja” ma dwa różne znaczenia...

W podsumowaniu pracy pt. „Konkluzja: co ważniejsze?” autor podkreśla raz jeszcze, że uważa religię i wiedzę pozytywną za dwie odrębne, ale niesprzeczne dziedziny, spełniające różne funkcje w ludzkim życiu. Zasadniczą funkcją religii jest jego zdaniem nadawanie mocy obowiązującej normom etycznym (patrz wyżej) oraz udzielanie odpowiedzi na pytania dotyczące sensu świata. Co do tego ostatniego można stwierdzić, iż zastrzeżenie na str. 221 („...niezależnie od kwestii, czy i w jakim sensie odpowiedzi te były 'dobre'...”) świadczy o pewnej skłonności autora do nieangażowania się tu osobiście zbyt daleko. O skłonności tej świadczy też piękne zakończenie książki (str. 227):

Dla przyziemnego oka umysłowość religijna przypomina Iksiona kopulującego z chmurami i płodzącego potwory. Ktoś zadomowiony w wiecznym, dogładanym przez bóstwo porządku może to samo mniej więcej powiedzieć o tych, co są głusi na głos Boga: że są przywiązani do tego tylko, co doczesne i skazane na niebyt po krótkiej chwili; są więc łowcami iluzji, poszukiwaczami nicości, a jedyna społeczność jaką potrafią stworzyć będzie z natury rzeczy oparta na pożądaniu fikcyjnych dóbr i strachu przed wzajemnym wyniszczeniem. Co stanowi dla nas rzeczywistość, a co fikcję jest sprawą raczej praktycznego niż filozoficznego wyboru; rzeczywiste jest to, czego ludzie rzeczywiście pragną.

Książka Kołakowskiego budzi podziw jasnością prezentacji, erudycją i zasięgiem problematyki. Zaletą jej jest też to, że budzi niekiedy sprzeciw, czyli zachęca do refleksji. Kilka takich sprzeciwów-refleksji odnotowałem powyżej. Na zakończenie dorzucę jeszcze parę. Refleksja etnologiczna: ulubioną formą ustnej literatury ludów prymitywnych są zagadki; nie jest *a priori* wykluczone, że niejasne święte teksty, na których opiera się większość religii, pełniły kiedyś podobną funkcję, tylko nie potrafilismy ich rozwikłać. Refleksja metodologiczna: adoracja nieuchwytej rzeczywistości idealnej, totalne (Witkacy rzekłby: „bebecho-we”) uznawanie jakiejś doktryny czy mitu za prawdę oraz wywodzenie z tego kodeksu postępowania to także cechy ideologii totalitarnych (islam w służbie polityki dobrze ilustruje ten punkt). Refleksja psychologiczna (związana z poprzednią): jak się to dzieje, że pewni myśliciele (*ipsissimus*), sparzywszy się na jednej formie ideologii, nabierają nieukrywanej sympatii dla innej?

Wakacje 41

Brzegi jeziora zarośnięte były wysokimi trzcinami, z jednym tylko miejscem od nich wolnym. Tam woda przy bezwietrznej pogodzie wydawała się gęsta, zielona. Lato 1941 roku było upalne i dlatego chodziłem często popływać, czy tylko zanurzyć się w chłodnej wodzie.

Z Olgą byłem tam tylko raz. Zapytała mnie, czy umiem pływać. Gdy zademonstrowałem swoje chropawe umiejętności, uśmiechnęła się i popłynęła kilkanaście metrów, świetnie wyszkolonym stylem wolnym. „*Wot i kraul!*” — zawołała. Była wysportowana i jednocześnie kobieca. Na jej sylwetkę w białym kostiumie patrzyłem podniecony, niespokojny. — Studentka na wojennym urlopie dziekańskim.

Budynek mieszkalny kilkudziesięciohektarowego majątku ojca Olgi, wtopiony w park, był parterowy ale rozrośnięty, obszerny. Niezliczone pokoje stanowiły sypialnie tych, którym białogwardzista Romanow udzielał w miarę bezpiecznego, krótszego lub dłuższego azylu. Wysiedleńcy, uciekinierzy, ludzie tropieni, ludzie przestraszeni. Tutaj rytm prac polnych, wypasanie i dojenie krów, gongi na posiłki, zbiory owoców, a przede wszystkim intensywne tego lata barwy i głosy przyrody — wyciszały ludzi, przytępiały przeżyty strach i niepewność jutra.

Mój azyl był pełniejszy, gdyż Olga pozwalała mi przebywać w swoim pokoju. Przeważnie czytała, skulona w fotelu.

Do moich obowiązków należał bieg po następną porcję dojrziałych wiśni, opróżnianie popielniczki, czasem przyniesienie szklanki gorącej herbaty z kuchni. Poza tym siedziałem oglądając roczniki ilustrowanych czasopism, a przede wszystkim obserwowałem Olgę. Starałem się zrozumieć każdy jej gest, wyraz twarzy, odruchy gniewu czy zniechęcenia. Z zachwytem patrzyłem na jej poplamione wiśniami palce.

Takim palcem wskazała kiedyś na czerwono-czarną okładkę czytanej książki. Widniała na niej podobizna Dzierżyńskiego. Tytuł brzmiał: „*Der blutige Henker Russlands*”*. „*To przeczytasz kiedyś*” — powiedziała.

Pasje lekturowe Olgi wykorzystałem jako przynętę, opowiadając z przesadą o bogactwie biblioteki mojego dziadka. Może dzięki temu uległa prośbom ojca, aby wybrać się na kontrolne badanie, po przebytych, jak to się wówczas mówiło, plewrycie.

Byłem pewien, że będę Oldze towarzyszył — a tam w sennym miasteczku, w dużym pustym domu, będzie tylko dziadek, jego asystentka, Olga i ja.

Do miasteczka jechało się bryczką kilkanaście kilometrów. Niewiele pamiętam z tej podróży. Kurz, wyboje, chwilami orzeźwiający wiatr i to, że chyba cały czas milczałem.

U dziadka Olga pograżyła się w swoich lekturach, a ja pozostałem nadal jej pilnym obserwatorem i dostawcą herbaty.

Na najwyższych półkach biblioteki mieściły się książki nie dla wnuków. Znałem niektóre z nich, czytane po kryjomu, z wypiekami na twarzy. Pamiętam „*Ziarno na wietrze*”, z którego niewiele rozumiałem poza ciężarem atmosfery, pełnej namiętności, erotyzmu, dewiacji seksualnych. Tej książki Olga nie zauważyła. Natomiast któregoś dnia zaproponowała mi poboksowanie się. Z przerażeniem zaprotestowałem. Przypuszczam, że wiedziała doskonale, jakie są przyczyny mojego protestu.

Na spacerzy chodziliśmy późnym popołudniem, gdy upał nie był już tak dokuczliwy. Starałem się być dobrym *cicerone*, zwracając uwagę na to, co wydawało mi się godne zobaczenia w tym miasteczku bez wyrazu. Stary kościół katolicki z plebanią, którą mijaliśmy zawsze w milczeniu, odkąd powiedziałem Oldze, że proboszcz i jego siostry byli pierwszymi tutejszymi Polakami rozstrzelanymi we wrześniu. Kościół ewangelicki był nowszy, strzelisty. Za nim w cieniu wysokich świerków widać było biały pałac. Posiadłość von Holtów. Ich dzieci leczył dziadek. Znałem je z nudnych wizyt, należących do przedwojennego rytuału życia towarzyskiego w miasteczku. Von Holtowie ostrzegli dziadka, aby żona nie wracała do miasteczka, gdyż jej duża aktywność w TCL grozi obecnie poważnym niebezpieczeństwem.

Apteka, młyn, sklep bławatny, kolonialny, papierniczy, rynek z restauracją, mleczarnia, nieczynny wiatrak — to była trasa naszych spacerów. Odwiedzaliśmy też cukiernię, racząc się ciastkami i lemoniadą.

Któregoś dnia, wracając, usiedliśmy na skarpcie przy zosie, która biegła prosto do stacji kolejowej a niedaleko, po drugiej stronie, widać było Bożą Mękę, podobno ustawioną na miejscu

* „*Krwawy kat Rosji*”.

zbiorowej mogiły ludzi zmarłych w czasie epidemii cholery. Olga przytuliła mnie. Milczeliśmy. Chyba byłem wtedy szczęśliwy, ale również pełen niepokoju.

Minął tydzień, gdy w trakcie obiadu, na stwierdzenie, że jutro wreszcie piątek, usłyszałem jej „*Gott sei Dank*”. Kiedyś w trakcie posiłku w dużej, zatłoczonej jadalni majątku, gdy zajadałem, siorbiąc niemilosiernie pyszny zagraj, Olga energicznie opuściła dłoń na moje udo. Omal się nie zachłysnąłem. Zaczerwieniony po uszy, zrozumiałem jej gest. Nienawidzę siorbania do dzisiaj. Tutaj odczułem nietakt tego *Gott sei Dank*. Wiedziałem, że mogę uczynić podobny gest. Zobaczyłem pełną dezaprobaty minę asystentki i chłodne spojrzenie dziadka. Zrozumiałem, że kończy się pobyt Olgi. Dokuczała jej nuda.

Następnego dnia wróciliśmy do majątku. Do posiłków pełnych gwaru przypadkowych lokatorów. Ale także do niezwykłych wieczorów. Cała rodzina Romanowych miała piękne głosy, doskoczały słuch. Romanow często proponował albo po prostu polecał wieczorne śpiewanie. W największym pokoju w fortepianem, ciepły blask dwóch, trzech świec, w szeroko otwartych oknach spokojne światło księżycy — i niesło echo zawrotne czastuszki, tęskne dumki, szerokie pieśni stepowe, a zawsze brzmiał potężny „Wieczerny zwon”.

Te wieczory również pozwalały zapominać o dniach, gdy niespodziewane lub zapowiadane wizyty różnych formacji niemieckich wprawiały w popłoch lokatorów majątku. Jeżeli Olga nie musiała spełniać roli niemieckojęzycznej panny do towarzystwa, zabierała mnie do swojego pokoju. W innym przypadku polecała mi zaszyć się na krańcach parku. Reszta lokatorów przeważnie tłoczyła się w kilku pokojach, ale widziałem również wkopujących się w stogi siana.

A zapach siana był tego morderczego lata szczególnie odurzający. I wieści dziwnie niepokojące. Czuło się narastające tętno maszyny wojennej. Coraz częstsze wizyty eleganckich oficerów, już nie tak niebezpieczne, bo byli to wojskowi w marszu.

Nie mogłem się oprzeć, by nie podkradać się wieczorami w pobliże oświetlonego ganku. W wiklinowych fotelach szarmancy Niemcy, szczupła, wysoka postać Romanowa, Olga w sukience, zazwyczaj śnieżnobiałej, czasem jej brat. Na stole iskrzyły się kieliszki. Mój niemiecki był jeszcze zbyt słaby i niewiele rozumiałem z rozmów, anegdot, komplementów. Widziałem tylko, że Olga umiała zachować czarujący dystans wobec nadskakujących sztabowców. Jakże byłem z niej dumny!

Na tym ganku, kilka tygodni później, gdy zalotni oficerowie byli już daleko na wschodzie, otrzymałem z rąk Olgi nagrodę. Brat Olgi miał jakiś wysoki stopień w harcerstwie i wieczorami

inicjował różne, pomysłowe gonitwy, podchody, rozgrywki. Był permanentnym zwycięzcą. Ale przeciwnika miał upartego. W jakimś biegu, z różnymi zadaniami, pierwszy wyskoczyłem z ciemnych zarośli na ganek, do stóp Olgi. Ona była metą. Ona nagradzała zwycięzcę. „Udało się gnojkwowi”, mruczał pokonany, gdy odbierałem nagrodę. Była to wstążka, którą długo potem przechowywałem.

Gwałtowne pogorszenie się stanu zdrowia dziadka spowodowało mój wyjazd do niego. Teraz rozumiem, że dziadek nie miał złudzeń co do losu swoich dzieci. Wiedział, że mama została zamordowana, nie wierzył w powrót syna z Oranienburga. *Angina pectoris* zaatakowała gwałtownie. Wieczorem, w przeddzień agonii, długo patrzył na mnie z uwagą. „Nie wiąż się z Moskałami. Żadnymi” — powiedział. Miał ogromne doświadczenie życiowe. Kochał mnie bardzo i miał na mnie duży wpływ. Mimo to nigdy nie naruszyłem najmniejszej cząstki z mojej ogromnej wdzięczności za azyl w '41 roku. Nic nie zdeformowało obrazu pięknej dziewczyny. Poza tym dzisiaj widzę pewien błąd w jednoznacznej ocenie dziadka. Wiem, jak ważne są więzy międzyludzkie. Jaką konieczną i skuteczną są bronią wobec dyktatur. Brunatnej i czerwonej.

Do majątku już nie wróciłem.

Co się stało z właścicielami? Nic nie wiem o panu Romanowie. Jego żonę bolszewicy wywieźli na Sybir. Brat Olgi marzył o przedostaniu się do polskich wojsk na zachodzie. Podobno ktoś widział go w Londynie.

Tusia Weinberg, jedna z lokatorek majątku, mówiła mi po wojnie, że Olga wyszła za mąż za SS-mana. Nie wiem. Zresztą nie ma to znaczenia. Mój zachwyty trwa.

W SOCZEWCE PAMIĘCI

Droga ze wschodu

Wracali z Saratowa. Jednym z niezliczonych pociągów wiozących Polaków z różnych krańców bezkresnej Rosji. Wracali tą wielką falą repatriacyjną przez rewolucyjny kraj. Ludzie biedni i bogaci, różnych profesji i klas. Jednoczyła ich jedna myśl: jechali do odrodzonej, powstałej, wymarzonej. Jeszcze tylko te obawy na długich postojach: że zatrzymają albo że tyfus, biegunka.

W albumie rodzinnym babcia pokazywała mi kuriozalne zdjęcie mojego wuja, mocno dzierzącego butelkę mleka. Amatorskie,

nico poruszone, wyblakłe zdjęcie. Siedemnastolatek, ogolony na pałę — bo wszy. „To Gienio — z dumą mówiła babcia. — Sam zdobył mleko na jakimś postoju”. Może było to mleko dla najmłodszej? Dla mojej mamy.

W Polsce już inne problemy. Gdzie się osiedlić. Gdzie zakorenić. Gdzie budować rodzinne gniazdo.

Dziadkowi, jako doświadczonemu lekarzowi, oferowano różne, intratne stanowiska we Lwowie, Warszawie, innych miastach. On pragnął ciszy, bliskich jezior, lasów i pól. A przede wszystkim kierował się jedną, nieustępliwą myślą: jak najdalej od bolszewików.

Rodzina osiedliła się w małym miasteczku na Pomorzu. Wokół pola, kilka jezior. Lasów nie było, ta myśl natomiast trwała. Powracała często w rozmowach, którym już przysłuchiwałem się jako dziecko.

Fioletowy atrament

Odkąd pamiętam, listy te przychodziły nieregularnie. Wiem, że były bardzo oczekiwane. Ich nieregularność, a szczególnie długie przerwy, rodziły niepokój. Były przyczyną cichych rozmów wieczornych, z których nie kojarzące mi się w sensowną całość fragmenty dochodziły przez niedomknięte drzwi z jadalnego pokoju do sypialni.

Mnie te listy intrygowały nie tyle zagranicznymi znaczkami czy cyrylicą, ale przede wszystkim kolorem atramentu. Był jadowicie fioletowy. Znałem niebieski, czarny, czerwony. Podobny fiolet miała tylko nasiąknięta tuszem poduszka do stempli w gabinecie dziadka. Jadowity fiolet. Te listy pisane były zawsze tylko takim atramentem. Na żadnych innych w bogatej korespondencji, przychodzącej do domu dziadka, takiego atramentu nie widziałem.

Nie pamiętam dokładnie, w '35 czy '37 roku nastąpiła kolejna przerwa w tym fioletowym pisaniu. Przedłużała się. Potem okazało się, że właśnie wtedy nastąpił jego kres.

Listy pisał Aleksander, brat babci, który pozostał po rewolucji w Rosji. Był notariuszem. Półrosjaninem. Nie mógł wyjechać, czy nie chciał opuścić tego kraju. Rewolucyjny zamęt zatrzymał go w Moskwie. Pisał.

Do jednego z listów dołączona była fotografia. Przedstawiała dużą grupę dzieci szkolnych. W tej grupie córeczka Aleksandra — Tania. Było coś przerażająco smutnego w twarzach tych dzieci. I te bluzy. Niby poprawnie, że wszystkie jednakowe. Tylko krój. Jakby aresztancki. Tak tę fotografię widzę do dzisiaj.

Potem, gdy mówiono o Aleksandrze, to jakoś niejasno, krótko

i przeważnie po rosyjsku lub francusku. Zauważałem czasem łzy w oczach babci.

Tuż po wojnie babcia pracowała w Oddziale Polskiego Czerwonego Krzyża, zajmującego się poszukiwaniem członków rodzin. Pisała do Moskwy. Chyba już tylko z myślą o Tani. Odpowiedzi nie było. Moskwa milczała.

Własowcy

Zbieraliśmy się przeważnie w tzw. prochowni. Był to kwadratowy, wysoki na kilkanaście metrów wał ziemny z fosą. Umocnienie to otaczało teren, gdzie były resztki murów, wyrobiska bardzo czystego piasku i jakieś niewiadomego przeznaczenia doły i suche studnie. Zbocza wału porastały dość gęsto krzaki głogu. Prawdopodobnie umocnienie to stanowiło część pobliskiej twierdzy pruskiej, zbudowanej jeszcze przed wojnami napoleońskimi.

Garbus, Mątwa, Staszek i ja stanowiliśmy stały zespół, do którego dołączali inni, czasem również niemieccy chłopcy. Różnie spędzaliśmy tam czas. Przeważnie na bitwach i podchodach. Tam paliliśmy papierosy, snuli opowieści. Ja często opowiadałem treść przeczytanych książek. Widocznie barwnie, bo lubili słuchać. Staszek umiał grać na mandolinie, więc były i próby śpiewania.

Któregoś dnia zobaczyliśmy na szczycie wału trzy sylwetki w mundurach. Zbliżały się do nas. Mundury różniły się nieco od niemieckich. Nie były nam obce. Tacy żołnierze też stacjonowali w pobliskiej twierdzy.

„To Ruski” — szepnął Mątwa. Uśmiechali się.

„Polaki?” — zapytali. Kiwnęliśmy głowami. Usiedli. Zobaczyli mandolinę. „Nu dawaj, poigrajem” — jeden z nich wziął mandolinę, nastroił i zagrał. Grał długo i ładnie. Zaśpiewali też w trójkę. „A wasze, polskie, jakie?” — zapytał grający. Staszek zagrał „O mój rozmarynie”. „Charosza”. — Podobała im się. — „A wasi coraz bliżej” — wystrzelił Garbus. Jakoś spochmurnieli. Jeden z nich mruknął coś niezrozumiałe.

Raptem na wale ukazała się znana nam postać chromego *Bürgermeistra*. Wymachiwał karabinem i wrzeszczał, że wszystkich poznaje, że wie kto tu jest. „Ja wam pokażę! *Alles geht flöten!*” — ryczał. Zobaczyłem przestraszonych w oczach tych żołnierzy, a my rozprysnęliśmy się na wszystkie strony. Ja z mandoliną pod pachą zatrzymałem się daleko od prochowni. Czy Ruscy też uciekali — nie wiem. Sołtys swoje groźby zrealizował. Niektórzy z nas utracili dobrą pracę, inni możliwość uczęszczania do szkoły.

* Wszystko przypadło.

Ale w naszych młodocianych głowach kotłowało się jeszcze długo od pytań, wątpliwości, z innego powodu. Sprawy frontów, ofensyw, klęsk i zwycięstw były ciągłym tematem naszych rozmów, kłótni, myśli. Były sprawy jasne, oczywiste, ale i trudne. Sprawy, których nie umieliśmy rozgryźć. Kiedyś wpadł mi w ręce numer niemieckiego czasopisma *Norwegen*. Były tam zdjęcia Hamsuna, jego pięknej córki i syna — ochotnika chyba formacji SS. Hamsun. To nazwisko znałem z biblioteki dziadka. Była taka seria wydawnicza laureatów Nagrody Nobla. To była dla mnie sprawa ciemna. Ten reportaż z pisma *Norwegen*.

A teraz ci Ruscy. Przecież nie białogwardziści. Ich akurat znałem. Mimo wspólnoty narodowości, języka, różnych cech, jak np. muzykalność. Mimo w jakiś sposób wspólnego tragizmu ich losów, wyczuwałem raczej niż rozumiałem ostrą różnicę między nimi. Potem to się potwierdziło. Ale musiały minąć lata nim zrozumiałem więcej. Nim w ogóle zrozumiałem.

Obozy jeńców ze wschodniego frontu. Wiedzieliśmy, jakie są. „Ratowali swe życie” — mówił Mątwą. No tak. Życie.

Wieczorami, gdy zasypiałem, krążyły mi po głowie różne wspomnienia, związane z bolszewickim wschodem. Te ostrzeżenia, znaki. Także obrazy z niemieckich kronik filmowych roku '41. Ogromne rzesze idące do niewoli. Niezrozumiałe witania niemieckich czołówek. Może inscenizowane? Może nie. I widziałem ten obecny obraz krwawych, zaciekłych zmagających dwóch ponurych potęg. I to moje spotkanie z własowcami. Chwilami myśl, że to bardzo nieszczęśliwi ludzie.

A front rzeczywiście się zbliżał. Zapowiadał wyzwolenie i napędniał nasze chłopięce psychiki nieokreśloną obawą.

Rotmistrz z Oflagu

Nazwisko miał francuskie. Delatour. Być może był potomkiem Francuza, który w okresie napoleońskim pozostał w naszym kraju. Nigdy nie pytałem się o to. Był wysoki. Ruchy miał zdecydowane, żołnierskie. Taki również styl mówienia.

Rok '47. Lato. Miałem już za sobą barwny, burzliwy pobyt w Domu Dziecka. Mieszkałem na Wybrzeżu. Pracowałem. Uczyłem się wieczorami. Znałem już smak wódki. Nałogowo paliłem papierosy.

Przyjechałem odwiedzić moją nieszczęśliwą, samotną babcię. Szedłem tak znajomą mi z dzieciństwa, może rzeczywiście ładną drogą, ze ścianą lasu okalającego fortecę z jednej strony i falistym terenem pól z drugiej. Słońce, łagodny wiatr, w głowie młodzieńcze fantazje, w ustach papierosy.

Delatour pojawił się nagle, wychodząc z leśnej ścieżki. Ukłoniłem się. Znałem go, gdyż był szwagrem przyjaciółki mojej mamy. Pozdrowił mnie jakoś po wojskowemu. „Widzę, że palisz” — powiedział. Coś tam potakująco bąknąłem. „Jeden na pięć godzin. Taką normę sobie wyznacz. Nie więcej. Nie można być niewolnikiem nałogu”. Pomyślałem, czy on rzeczywiście tak normatywnie w życiu ze wszystkim. Czy to rygor, wyrosły z ograniczeń wieloletniego pobytu w oflagu.

Pytał, co porabiam. Gdzie w ogóle jestem. Było w tych pytaniach i moich odpowiedziach coś ze zdawanego raportu wojskowego. Czułem jakiś obowiązek odpowiedzi jasnych, zwięzłych i szybkich.

„A poza tym?” — zapytał. — „Jakieś organizacje, działalność społeczna?”. Powiedziałem, że tuż po wojnie zaangażowałem się w harcerstwo. To harcerstwo na Pomorzu było czymś bardzo autentycznym, było pewną kontynuacją. Dawni, już podstarzali instruktorzy i my, chłopcy spragnieni polskiej organizacji. Ale jakoś szybko ten okres się skończył. Nie podobały się komuś nasze maszerowania, komendy, a chyba przede wszystkim śpiewane piosenki.

„No tak, a teraz?” — zapytał. I tu urwała się moja jasna zwięzła relacja. Kluczyłem, jakałem się. Nie umiałem, może nie chciałem wyjaśnić tego, czym żyłem, z czym się borykałem tam na Wybrzeżu. Tych zapalczywych, wściekłych dyskusji w gimnazjum, na plażach, w domach. ZWM, OMTUR, PPR, PPS, PSL. Nie mogłem mówić mu o czadzie idei na pewno mu obcych. Tym bardziej o bakcyli, który zarażał młode dusze, wyzwalał w nich energię kierowaną szczytnymi hasłami równości, wyzwolenia uciśnionych itp.

Dłuższą chwilę milczeliśmy. Chyba coś rozumiał z tego, co było we mnie, czego nie umiałem mu przekazać.

„Pamiętaj, że jesteś synem legionisty” — powiedział spokojnie. — „I wiedz, że twój stryj był w Orłętach. Zginął w obronie Lwowa” — zawahał się... „bardzo ceniłem twoją matkę” — powiedział. Potem mówił jeszcze wolniej. Wydawał się zaszępiony. „Idą ponure czasy. Musisz przetrwać. Chronić to, co najważniejsze. Wyszliśmy z nocy. Ale świt nie nastąpił”. — Może nie dosłownie tak mówił, ale taki był sens.

Ludzie z oflagu. Miałem do nich szczególny stosunek. W połowie lat okupacji hitlerowskiej na nazwisko mojej siostry i moje nadszedł przekaz pieniężny z oflagu z okolic Monachium. To była pomoc, jaką ci ludzie za drutami nadsyłali samotnym dzieciom polskim. Skąd wiedzieli, gdzie jesteście? I ta akcja w ich warunkach. Pomysł, realizacja. Tego się nie zapomina. Delatour nie był w tym oflagu.

Zbliżaliśmy się do jego domu. „Wstąp na chwilę” — powiedział. Wyszędłem od niego obdarowany długim, oficerskim płaszczem bez dystynkcji. „Jest ciepły, przyda ci się” — rzekł na pożegnanie.

Jakże pyszniłem się tym płaszczem, paradyjąc w nim po Sopotcie. Nosiłem go nawet, gdy było dość upalnie. Nazywali mnie greckim partyzantem. Bo takie to były czasy.

Henryk CZARNY

W BIBLIOTECE « KULTURY »

TOM 404 — ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

Wypisy więzienne

Próba analizy problemu honoru we współczesnej literaturze polskiej ilustrowana fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Hanny Malewskiej, Czesława Miłozza, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Henryka Elzenberga i Witolda Kuli.

Str. 288.

Cena F. 95,00.

TOM 411 — EWA MARIA ŚLASKA

DOCHODZENIE

Polska tuż po ogłoszeniu stanu wojennego. W dużym mieście w domu, w którym mieszka kilkudziesięciu lokatorów, jeden z nich młody podoficer wojska polskiego znalazł w noc sylwestrową w zsypie na śmieci trupa młodej dziewczyny. Nikt nie wie kim jest dziewczyna, czy ktoś ją zabił, czy popełniła samobójstwo. Milicja prowadzi dochodzenie przesłuchując wszystkich lokatorów domu. Daje to w rezultacie świetny przekrój społeczeństwa polskiego kilkanaście dni po policyjno-wojskowym ataku na „Solidarność”. Ten swego rodzaju dreszczowiec czyta się jak najlepszy „kryminał”.

Str. 128.

Cena F. 50,00.

Tyle piwa za darmo...

Do wojska powołano mnie we wrześniu 1966 roku. Z kartą mobilizacyjną przejechałem za darmo przez całą Polskę do Gorzowa Wielkopolskiego. Wcześniej, na dworcu, żegnali mnie kumple. Było trochę wódki, pośpiewali... Mój brat też był. Pocięszał mnie i kazał się niczym w wojsku nie przejmować... Nie brać niczego do serca i „totalnie olewać”... wszystko. Brat rok przedtem przeszedł do rezerwy, był na bieżąco. Znałem z jego opowiadań tę nudę i dyscyplinę. Nudę na co dzień, a dyscyplinę od święta.

Początek rzeczywiście nie był najciekawszy. W nudzie i oczekiwaniu na każdy następny dzień mijały mi miesiące. Przenoszono mnie dwa razy do różnych jednostek. Ale najgorsze miałem przed sobą. Mniej więcej na wiosnę 1968 roku oddzielono mnie od kumpli, z którymi już się żyłem. Niektórzy z nich byli znajomymi jeszcze ze szkoły. Przydzielono mnie do jednostki w Nysie. Na pół roku przed wyjściem z wojska traktowano nas tam jakbyśmy byli dopiero co przyjętym narybkiem. Sierżant — wulgarny grubas — nasz bezpośredni przełożony, wrzeszczał cały dzień. Dzielnie mu w tym pomagali różni kaprale. Oficerowie też nie byli lepsi. Co kilka nocy alarmy, pobudki, ćwiczenia na placu apelowym. Padnij! W kałużę. Powstań! Bieg! Nieraz kazano nam jechać z całym sprzętem na „Skotach” lub ciężarówkami, kilka kilometrów w las, tak dla rozrywki, dla wprawy, bez sensu... A rano pobudka jak normalnie, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Między szeregowymi też zaczęły się napięcia. Jedni donosili, inni kombinowali kosztem reszty, sprytnie się wysługując słabszymi, jeszcze inni to wszystko musieli cierpliwie znosić.

Aż nadszedł sierpień 1968 roku. Nie pamiętam dziś dokładnie, którego to przebudzono nas, czy był 23, czy 24, a może

wcześniej? Około północy ryk syreny. Krzyki na korytarzach. „Za pięć minut wojsko z plecakiem, na placu apelowym!!”. Niby normalnie, tak jak już się do tego zdążyliśmy przyzwyczać. Mówiło się o manewrach, które miały się odbyć pod koniec sierpnia, czy na początku września. Byliśmy przygotowani. Cały sprzęt też. Kilka dni przed tą pobudką ładowaliśmy żelastwo na wagony kolejowe. Wszystko stało gotowe na bocznicę. Tej nocy kazano ustawić się w kolumnę marszową i — kierunek na bocznicę! Tam stał przygotowany eselon. Załadowaliśmy się do wagonów w przekonaniu, że to na manewry. Zresztą nikt w tym pośpiechu i zaspianiu nie zastanawiał się dokąd nas wiozą. Dosypialiśmy w wagonie porozkładani na podłodze, zmęczeni, obojętni i źli. Kiedy zaczęło świtać niektórzy dopatrzili się nie polskich znaków. Minęliśmy jakąś stację — nie pamiętam teraz jej nazwy — i było jasne, że jesteśmy w Czechosłowacji. Żołnierze szepotali między sobą, że teraz jest tu niewesoło, że Czesi buntują się przeciwko Roskim. Przede wszystkim to, żeśmy się cholernie bali. Co z nami tu zrobić? I co mamy tutaj robić?

Wysadzono nas gdzieś pod Pragę. Zarządzono apel i przemówił pułkownik, którego przedtem nikt nie widział w jednostce. Zaczął, że międzynarodowa sytuacja jest napięta, że odżywa faszyzm, że imperializm amerykański chce wyrwać z naszego obozu Czechosłowację, podjudzając ją do zerwania sojuszu ze Związkiem Radzieckim i innymi państwami Układu Warszawskiego. Powiedział też, że wezwali nas patrioci czechosłowaccy, abyśmy pomogli bronić ich państwa przed amerykańską inwazją i przed zdrajcami. Zaraz potem rozdano ostrą amunicję, każdemu po 120 sztuk oraz małe czarne pojemniczki na kartkę z nazwiskiem, imieniem i datą urodzenia. Mieliśmy tę małą „trumienkę” schować do kieszeni na piersi. Mówiliśmy — trumienka identyfikatorka.

Bałem się. To już nie poligon, nie ćwiczenia. Najgorsze przy tym było uczucie, że zostałem wplątany w coś obrzydliwego, o czym strach myśleć. Paru między nami się odważyło. Wypowiedzieli się głośno. Bardzo szybko ich zabrano. Później dowiedziałem się, że jeden dostał osiem lat, a paru innych po pięć. Odsiedzieli co do jednego dnia.

Tłumaczono na każdym kroku jakie są konsekwencje odmowy wykonania rozkazu w warunkach wojennych. Co i raz dawano do zrozumienia, że Roskich jest więcej niż wszystkich Czechów razem wziętych.

Po kilku dniach stania w lesie pod Pragę dowiedzieliśmy się, że w Pradze Rosjanie, że pilnują tam Czechów. W promieniu dwudziestu kilometrów od miasta sami Ruscy, a dalej polskie wojska. Praga obstawiona i nikomu nie wolno bez specjalnego pozwolenia wyjeżdżać.

Któregoś dnia wracaliśmy „Skotem” z patrolu i na skrzyżo-

waniu z asfaltową drogą zatrzymał nas kierujący ruchem Rusek ze skośnymi oczami, żółty. Musieliśmy czekać, bo kolumna czołgów wlokła się poboczem. Wyszedłem wtedy, żeby zapalić i podchodzę do niego. Pytam: „Ty *russki*?”, a on nic. Pytam dalej: „*Dołgo tu stoisz?*”, a on dalej milczy, tylko pokazał mi dwa palce, że już dwa dni na tym posterunku. „*A kuszal ty szto?*”. On przeczy głową. Dałem mu papierosa, bo tak chciwie patrzył, poszedłem do swoich i pojechaliśmy dalej. Był dziwny. Niby Rusek, a nie Rusek. Smutny, przygnębiony.

W tych lasach pod Pragę przesiedzieliśmy prawie miesiąc. Byłem wściekły, bo przecież moje dwa lata służby upływały z początkiem jesieni, a tu ani mowy o powrocie do Polski. Atmosfera była bardziej nerwowa niż przed miesiącem. W lasach znajdowano co jakiś czas zwłoki naszych żołnierzy. Taka była psychoza, że nawet do kibla baliśmy się w nocy wchodzić samemu. Któregoś dnia o świcie znaleziono koło naszego obozowiska trupa węgierskiego oficera. Poderżnięto mu gardło. Miał nawet przecięty ten wysoki kołnierzyk przy mundurze; zalany krwią, na całym ciele. Musiał się mocno szamotać. Zastanawialiśmy się dlaczego tutaj go pozostawiono. Nie sądziliśmy, żeby to Czesi, wyglądało na ruską robotę. Komuś musiało zależeć na tym, aby atmosfera była napięta.

Pod koniec września przyszedł rozkaz ewakuacji. Mieliśmy jechać do Mlada Boleslav. Polscy spadochroniarze — „Czerwone Berety” — opanowali tam lotnisko wojskowe. Nam kazano zająć się okolicznymi jednostkami wojskowymi, koszarami. Pamiętam, że był smutny, jesienny dzień. Jechaliśmy za kolumną rosyjskich czołgów. Przed Mlada Boleslav przestało padać, a kiedy dojeżdżaliśmy do miasta przejaśniło się. Wtem kolumna stanęła. Coś się stało z czołgiem. Podbiegłem z kumplami do przodu i co się okazało; kobiety i matki z wózkami, z dziećmi wyszły przed te czołgi. Czołgista pierwszego nie chcąc wjechać na nie, lekko zбочzył i po śliskim nasypie wpadł w dół. Nie wiem, czy tam była rzeka, czy suche koryto. W każdym razie nikt żywy z tego czołgu nie wyszedł. Ruscy powyskakiwali z innych tanków i odbezpieczając broń grozili tym kobietom. Padł nawet jakiś strzał, w górę, na postrach. Kobiety uciekły.

Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu koszar, które niby mieliśmy przejąć w opiekę, ustawiono nas w tyralierę i padł rozkaz: do przodu! A oficerowie i cała kadra za nami... Za naszymi plecami. To dlatego, że bali się nas, tego, że w razie strzelaniny będzie okazja do zemsty. Zwykli tchórze. Wiem teraz, że oficer to gorszy pętał niż ktokolwiek inny. Straciliśmy do nich resztę szacunku.

Obeszło się bez strzału. Czescy wartownicy ze strachu oddawali broń, nie czekając na swojego dowódcę.

Kiedy po opanowaniu jednostki pozostawiano nas w różnych punktach, znalazłem się przy jednej z bram wjazdowych. Stał tam „Skot”. Po kilku godzinach podjechali ciężarówkami Czesi, nie zorientowani jeszcze w sytuacji. Zdziwili się naszą obecnością. Poleciałem po dowódcę. Przybiegł zaraz jeden z naszych pułkowników. Zaczął się kłócić z czeskim dowódcą, chyba w stopniu majora, który nie chciał wjechać do koszar i poddać się. W końcu Czech zawrócił do swoich, wsiadł do ciężarówki i wszyscy odjechali szybko.

Za jakieś dziesięć minut słyszę, że znów nadjeżdżają ciężarówki. Niewiele było widać, bo już szaro się robiło i deszcz mżył. Na którymś z zakrętów zamajaczyły sylwetki wielkich samochodów. Padł na nas strach. Myśleliśmy, że Czesi wracają, odbić swoich, internowanych w jednym z baraków. Już wcześniej zdawaliśmy sobie sprawę, że tyle gotowej do strzału broni musi w końcu przynieść niezamierzony wybuch, starcie, czy choćby strzelaninę. Najgorsza była świadomość, że to się zacznie w każdej chwili, może teraz, może później. Jeden z oficerów wydał rozkaz, żeby strzelać do pierwszego, to odrzuci się resztę. Strzelili ze „Skota”. A tu wybuchy aż po samo niebo. Taki grzyb ognisty. Mokro od deszczu, ale las się momentalnie zajął. Wrażenie takiego małego wybuchu jądrowego. Po kilku detonacjach — cisza. Podchodzimy bliżej, a tu strzępy ludzkie, kawałki samochodów. Okazało się, że to nasi jechali z benzyną. Polacy. Dwudziestu sześciu ich było razem. Nie wiem co się stało później z tym oficerem, który dał rozkaz strzelania. Obowiązywało prawo, że w wypadku bezpośredniego zagrożenia własnego życia można strzelać. Wiadomo co to oznacza w warunkach wojennego napięcia. Zabicie człowieka wydawało się czymś banalnie prostym i łatwym. Żadnych konsekwencji, żadnych wyrzutów sumienia.

W tych koszarach staliśmy do samego końca, czyli powrotu do Polski, na początku grudnia. Czesi byli pilnowani przez naszych strażników. Nie wolno im było opuszczać baraku. Czuliśmy się jak klawisze. Później mieli zajęcia na placu apelowym ale bez broni, dla ruchu...

Niedaleko koszarów, gdzie siedzieliśmy, był mały browar. Oficerowie przymykali oczy na nasze wyprawy. Wchodziliśmy do zakładu z odbezpieczoną bronią, ale czuliśmy się jak u siebie. Siadało się przy wielkich beczkach, jak nie było pod ręką kufli, to ściągaliśmy się z oświetlenia klosze, piło się do granic możliwości. Aż pęcherze nam roznosiło. Czesi patrzyli na nas niemiło. Pluli za nami na ziemię. Trochę było głupio. Ale..., przecież nikt tu nie z własnej ochoty. Może oni kiedyś się znajdą w podobnej sytuacji jak my.

Pod koniec października zdarzyła się jeszcze jedna nieprzyjemna historia. Przed bramę jednostki wolno zajeżdżała czeska furgon-

netka. Coś jak nasza „Nyska”, czy „Żuk”. Na dachu mieli zamontowane głośniki. Zaczęli przemawiać po polsku. Krzyczeli, że jesteśmy agresorami, okupantami, że według międzynarodowych konwencji nie mamy prawa tu przebywać, i tak dalej. Któryś z naszych nie wytrzymał i strzelił. Tamci też mieli broń. Nastąpiła wymiana strzałów. Ktoś ze „Skota” przywalił tak, że koła się zakręciły i zaczęło dymić. W środku jęczeli ranni Czesi. Dwóch już nie żyło. Czterech w ciężkim stanie przewieźli do szpitala. W samochodzie było pełno ulotek, ale dowódca zabronił nam ich dotykać.

Do domu wróciłem przed Bożym Narodzeniem. Mój stary nie chciał mnie znać. Wiedział wszystko z radia i miał żal, że brałem w tym udział. Nawet przy wigilijnym stole nie siedzieliśmy wszyscy razem. Matka płakała i wyzywała ojca, że taki nieludzki, że czego chce ode mnie.

Mariusz MASZKIEWICZ

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

-- Literatura piękna i fachowa,

— Albumy, plakaty, pamiątki,

— Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Kraj**Sprawy ważne i okoliczności dodatkowe**

Do pisania „na Babylon” trzeba się przyzwyczać. Nie mogę powtórzyć za poetą „a mniejsza mi o to, czy dochodzą listy”, bo po pierwsze, jako człowiek leniwy nie lubię daremnego wysiłku, po drugie zaś, nie widzę powodów dla których miałbym obciążać swoim piśmiem „późnego wnuka”, który i bez tego będzie miał dość własnych kłopotów. Z tymi czytelnikami o 137 lat młodszymi od nas to coś jest nie *fair* — z naszej strony. Spuszczamy im na głowę cegły naszych problemów, oni zaś nie będą mogli odpłacić nam pięknym za nadobne. Ale tak czy inaczej, do pisania „na Babylon” trzeba się przyzwyczać. A w każdym razie do tego, że związek między piśmiem a publikacją (gdzie? kiedy?) może i jest przyczynowy, ale na pewno jest luźny.

Otóż napisałem kiedyś, że uważam istnienie „Solidarności” (i w ogóle cywilnego ruchu oporu) po grudniu 1981 roku za zjawisko ważniejsze od istnienia legalnej panny „S”. Nie wiem, czy się to gdziekolwiek ukazało, ale na wszelki wypadek chciałbym wyłożyć sens powyższego twierdzenia.

Można sobie bowiem wyobrazić dzieje „S” jako jednorazowy zryw. To prawda, że wielomilionowy, to prawda, że trwający szesnaście miesięcy — ale jednorazowy, tzn. całkowicie zgnieciony przez wprowadzenie stanu wojennego. Ktoś, kto sądzi, że historia dokonywać się może w jeden tylko sposób, ten mianowicie, który się zrealizował, ma o procesach społecznych wyobrażenie co najmniej naiwne. A nadto bliskie kolektywnemu sercu każdego kolektywnego kierownictwa, każdej partii komunistycznej. W dowolnej sytuacji politycznej istnieje kilka możliwych

wariantów najbliższej przyszłości (nie mówiąc już o dalszej), nadto zaś zdarza się, iż realizuje się wariant, który trzy lata wcześniej uchodziłby za zupełnie nie do urzeczywistnienia. To ostatnie powoduje, że kierując się prostackim na ogół rachunkiem prawdopodobieństwa — a jeśli wyłączyć pobożne życzenia, to cóż nam innego pozostaje — możemy zostać przyjemnie lub arcyniemieko zaskoczeni.

Otóż wariant „Solidarności” jako wspaniałego, lecz jednorazowego zrywu nie był bynajmniej tak nieprawdopodobny, jak się to dziś, w cztery lata po wielkich manifestacjach 1 i 3 maja 1982, może wydawać. Ostatecznie, niezależnie od wszystkich odmienności, „wiosna praska” też była zrywem masowym*. I jednorazowym. Więc, powtarzam, mogło się coś analogicznego przytrafić „Solidarności”, czyli nam wszystkim.

Legalna „Solidarność” była wydarzeniem wyjątkowym nie tylko dlatego, że w gruncie rzeczy każde ważne wydarzenie historyczne jest wyjątkowe, tzn. niepowtórzone i niepowtarzalne. I nie dlatego, że była masowym antytotarytnym ruchem wolnościowym. W końcu, w ciągu niecałych 70 lat istnienia ustroju socjalistycznego naliczyłoby się tych ruchów ponad tuzin. Ale żaden z nich nie zostawił po sobie względnie masowego, nielegalnego cywilnego ruchu oporu. Że można się przeciw komunizmowi buntować (na różne zresztą sposoby) — to wiadomo od 1917 roku. Ale że można się zbuntować i przegrawszy, wycofać się na pozycje zapewniające dalsze organizacyjne istnienie — tego po raz pierwszy dowodzą dzieje zdelegalizowanej „Solidarności”. I ten dowód został już przeprowadzony, cokolwiek byśmy mogli krytycznego powiedzieć o TKK, o Walezym, o gazetkach, rocznicach, beztroscie, gadulstwie i fanfaronadzie karbonariuszy, o wydawnictwach czy też raczej o wydawcach, o producentach solidarnościowych „dewocjonalistów” czy ugrupowaniach politycznych. Istniejemy od grudnia 1981 roku i dowiedzimy, że jest to możliwe.

No więc nasza to zasługa, jako że bez nas tym razem by się naprawdę nie obeszło. Choć oczywiście obeszloby się bez pana Iksa, panny Ygrek czy akurat piszącego te słowa. Ale od wyno-

* Nikt nigdy nie potrafił mi w sposób przekonujący wyjaśnić, dlaczego w 1968 roku w Czechach i na Słowacji skolektywizowane chłopstwo ani drgnęło. Wobec czego pozwolę sobie w tym przypisie wysunąć własną, na poły żartobliwą hipotezę. Otóż, jak wiadomo, w sferze słowa główny nurt „praskiej wiosny” był jednoznacznie socjalistyczny: chodziło o naprawienie systemu, który w zasadzie jest dobry. Otóż czescy i słowaccy chłopcy zachowywali się tak, jak gdyby — podkreślam jak gdyby — uznali, że naprawienie tego systemu nie może się zakończyć niczym dobrym i że jeśli będą siedzieli niczym mysz pod miotłą, to może jakoś ominą ich najgorsze skutki owego „naprawiactwa”. Jeśli mam rację byłby to przykład na wyciąganie fałszywych wniosków ze słusznych przesłanek.

szczenia naszych zasług pod niebiosa — a także od lamentów, wzniosłości i bezsilnego wymyślenia „czerwonemu” — są inni. Ja się do tego nie nadaję, to „nie moje *emploi*”, jak mawiali aktorzy z pokolenia Leszczyńskiego i Węgrzyna. Myślę, że istniejemy i coś tam robimy nie tylko dlatego, żeśmy wspaniali są, ale i wskutek zbiegu dwóch okoliczności, o których prosta przywoitość nakazuje wspomnieć.

Po pierwsze tedy, i powstanie, i po-dziś-dzień-trwanie „Solidarności” (z przyległościami) przypadło na okres napięcia w stosunkach amerykańsko-sowieckich. I to napięcia — by posłużyć się kiepskim dowcipem słownym — o określonym napięciu. To znaczy dostatecznie silnego, by Amerykanie zachowywali się nieco inaczej niż w sprawie Węgier czy Czechosłowacji; zarazem napięcie nie było tak silne, by Sowietci uznali, że trzeba z tym wszystkim (tzn. z nami) skończyć „w tri miga” i za każdą cenę, to znaczy m.in. w 325 Migów 25. Nie bez wpływu był tu fakt, że właśnie w tym czasie na czele rządów USA, Wielkiej Brytanii i Francji stali Reagan, pani Thatcher i Mitterrand, bo nie sądzę by Raymond Barre, Mc Govern czy Michael Foot zachowywali się tak samo. Myślę, że przyciskając do oczu chusteczki, z całej siły naciskaliby guzik uruchamiający zielone światło dla ekipy Jaruzelskiego.

Jak w innych okolicznościach zachowywaliby się „prosci Amerykanie” czy „prosci Francuzi”, tego oczywiście nie wiem — ale faktem jest, że zachowują się w sposób zdumiewiająco przyzwoity. Myślę przy tym nie o darach — za które skąd inąd stokratne dzięki — lecz o pewnym nacisku politycznym, który sprawia, że politycy popychani są w stronę jednych gestów i powstrzymywani przed innymi.

Drugą okolicznością sprawiającą, że istniejemy, jest taktyka obrona przez komunistów. Czy pomysł był moskiewski czy warszawski (zaaprobowany, rzecz jasna, przez Moskwę) tego nie wiem i w płaszczyźnie niniejszych rozważań wydaje mi się to nieistotne. Rzecz jednak wymaga pewnego wstępu.

Otóż nie wiem dokładnie od kiedy, ale na pewno od traktatu w Rapallo komuniści w skali globalnej zachowują się tak, jak gdyby zasadnicza reguła ich działań międzynarodowych głosiła: mamy czas — czas działa na naszą korzyść. Ta zasada postępowania ma swoje zaplecze ideologiczne, którym nie będę się tu zajmował. Ważniejsze jest, iż zasada sprawdzała się w działaniu dla tej prostej przyczyny, że komuniści mieli czas, bo otrzymywali go w darze od państw demokratycznych. A wraz z czasem otrzymywali ogromną pomoc techniczną, finansową i żywnościową, bez której czasu zabrakłoby im nader szybko. Krótko mówiąc, realizację zasady „mamy czas” umożliwia komunistom polityka Zachodu (a także np. Indii). O polityce tej ktoś, kto chciałby być

łagodny, mógłby powiedzieć, że jest niemądra i krótkowzroczna. Choć prawdę mówiąc nie wiadomo, dlaczego w tym przypadku ktokolwiek miałby być łagodny.

By uzmysłowić sobie profity jakie komuniści — dzięki Zachodowi — odnoszą z zasady „mamy czas”, wystarczy porównać polityczną mapę świata z roku 1925 i 1985 roku.

Tyle o polityce „na zewnątrz”.

Natomiast w polityce wewnętrznej komuniści niemal z reguły zachowują się tak, jak gdyby zupełnie nie mieli czasu. To znaczy tak, jak gdyby chcieli wyrządzić jak najwięcej szkód w jak najkrótszym czasie. Podam jeden, z pozoru niewinny przykład: w ciągu czterdziestu lat od przejścia przez komunistów władzy nie ma w naszym kraju ani jednego rocznika, który naukę rozpoczętą według jednego programu zakończył wedle tegoż programu. Na dwanaście czy też siedemnaście lat nauki z reguły przypadały po dwie co najmniej reformy i trzy zmiany programów, a wszystkie — z nielicznymi wyjątkami — złe.

Mogłoby się wydawać, że między owym spokojem i długofalowością w realizowaniu założeń polityki międzynarodowej a gorączkową miotaniną w polityce wewnętrznej zachodzi niepojęta sprzeczność natury schizoidalnej. Co do schizofrenii nie wypowiadam się stanowczo, choć osobiście wątpię, by było tak dobrze (ostatecznie schizofrenia czy też różne choroby nazywane schizofrenią będą kiedyś, po części przynajmniej, uleczalne). Myślę natomiast, że ową sprzeczność łatwo można wyjaśnić, tj. pokazać, że sprzeczności nie ma. Wystarczy przyjąć założenie, że głównym wrogiem każdego rządu komunistycznego nie jest „imperializm” (który wcale nie dąży do zniszczenia systemu socjalistycznego, co każdy może zauważyć gołym okiem), lecz że jest nim własne społeczeństwo. Przy takim założeniu spokój na zewnątrz i gorączkowość wewnątrz przestają się jawić jako coś sprzecznego.

Jeżeli rozumowanie moje jest poprawne, jeżeli opis zachowań komunistów w przybliżeniu odpowiada prawdzie, to w przypadku PRL mamy do czynienia z nowym zjawiskiem: komuniści zachowują się tak, jak gdyby zasadę stosowaną w polityce zagranicznej („mamy czas”) zastosowali w polityce wewnętrznej. Co znaczy, że postanowili stłumić wszelkie przejawy oporu nie przy pomocy zakrojonych na szeroką skalę represji (choćby typu husakowskiego), lecz przy pomocy tego co nazwałem kiedyś metodą dwóch „b”, tj. biedy i beznadziejności. To zaś można zrobić bez gorączkowego pośpiechu. Nie sądzę, by był to rezultat zamysłu powziętego jeszcze w czasie istnienia legalnej „Solidarności”. Raczej skłonny jestem przypuszczać, że decyzję powzięto po 13 grudnia, a ściślej gdy minęła fala euforii, gdy okazało się, że zwycięstwo odniesione przez połączone siły ZOMO S-becji i

wojska nie jest tak całkowite, jak się to w pierwszej chwili komunistom wydawało. Mogę się zresztą mylić, co z praktycznego punktu widzenia nie jest takie ważne.

Jakie korzyści odnoszą komuniści z przyjęcia „taktyki dwóch b”? Czy nie lepiej byłoby — z ich punktu widzenia — postąpić się starą i wypróbowaną metodą szybkiego, masowego terroru? (Nie łudźmy się, stać ich na to i technicznie, i moralnie). Sądzę, że korzyści odnoszą co najmniej dwie. Pierwsza i mniej ważna jest ta, że pozwala im ona na zachowanie pewnej *respectability*, co nie jest bez znaczenia, jeśli zważyć, że trwające od lat 30-tych i gdzieś do połowy lat 70-tych „lewicowe” szaleństwo świata jakby się nieco uspokoiło. Dziś ludzie, którzy gloryfikowali kolektywizację, obozy, czystki i masowe egzekucje skłonni są do kręcenia nosem i wybrzydzenia. A byli to i są ludzie, na których komunistom zależy, bo stanowią zaplecze ich światowych zamierzeń. Ale to, powtarzam, jest okoliczność mniej ważna. Naprawdę decydującym czynnikiem jest ponad dwuchsetletnie doświadczenie „Moskwy” z Polską. Bo przecież nie jest prawdą, że tylko my mamy doświadczenia z „Moskwą”, są to doświadczenia obopólne. Otóż doświadczenie „Moskwy” podpowiada jej, że krwawe rozprawianie się z polską „kramołą” prowadzi jedynie do następnego krwawego rozprawiania się z kolejną „kramołą”. Co akurat jest politykom sowieckim zupełnie niepotrzebne, szczególnie jeśli zważyć, że mają na głowie Afganistan. Nie znaczy to wcale, że ów sposób skreślili na zawsze z listy swoich możliwych posunięć — po prostu postanowili spróbować inaczej.

A jakie korzyści odnosimy my?

To już zależy od nas. O jednej mowa była na początku: istniejemy. I w pewnym sensie jest to sprawa zasadnicza. Z istnieniem jednak, jak to z każdym istnieniem, trzeba umieć zrobić coś pożytecznego.

LEOPOLITA

Lwówek, maj 1986 r.

Fundacja Rolnicza - próba bilansu

Propozycja zorganizowania szerokiej, możliwie kompleksowej pomocy rodzinnym gospodarstwom rolnym w Polsce wyszła z grona ekspertów i doradców SOLIDARNOŚCI zbliżonych do episkopatu polskiego w listopadzie 1981 roku, na krótko przed wypowiedzeniem przez Jaruzelskiego wojny społeczeństwu.

Wydawałoby się, że wraz z ogłoszeniem stanu wojennego wszelkie konstruktywne, społeczeństwu przede wszystkim mające służyć pomysły muszą przepaść. Okazało się jednak, że nie. Mało, nowa, wojenna rzeczywistość mogła stać się nawet dla konkretnych przedsięwzięć korzystna. Przykładem takim może być właśnie idea Fundacji Rolniczej.

Pamiętajmy, że odpowiedzią państw zachodnich na stan wojenny były sankcje gospodarcze. Wiadomo było — a życie to potwierdziło — że gospodarka socjalistyczna, budowana w latach siedemdziesiątych w oparciu o technologie i kredyty oraz surowce zachodnie, wskutek przerwania współpracy będzie musiała się załamać. Pewne też było, że znoszenie poszczególnych ograniczeń będzie następowało stopniowo i dopiero po upływie jakiegoś czasu, a każdy kolejny dzień oczekiwania na zniesienie sankcji pogłębiał spadek produkcji i i tak kulejącą rytmiczność pracy zakładów przemysłowych. Zdawali sobie z tego sprawę dzierżący władzę komuniści, choć zapewniali, że jest inaczej, toteż z uwagą rozpatrywali każdą propozycję, pozwalającą na dopływ środków dewizowych i produkcyjnych ze strefy dolarowej, zwłaszcza zaś dopływ natychmiastowy, bez żadnych zobowiązań politycznych.

Idea pomocy ekonomicznej dla rolnictwa polskiego została przedłożona biskupom polskim zgromadzonym w Gnieźnie 5 czerwca 1982 roku i została zaakceptowana. W tym samym miesiącu zaznajomiono z tą ideą Kazimierza Barcikowskiego i uzyskano jego zgodę na rozpoczęcie prac przygotowawczych oraz zapewnienie, że inicjatywa jest interesująca także dla władz. W następstwie rozmowy z Barcikowskim profesor Jan Górecki oraz ksiądz Alojzy Orszulik wyjechali w lipcu do Bonn i Brukseli, by przeprowadzić sondaż wśród polityków, działaczy gospodarczych i episkopatów. Podróż ta przyniosła potwierdzenie zainteresowania ideą i deklarację wsparcia po powstaniu odpowiedniej instytucji.

14 września 1982 roku Prymas Polski wystosował list do generała Jaruzelskiego w sprawie kompleksowej pomocy rolnikom w Polsce. W odpowiedzi z 16 października generał określił swe wątpliwości natury technicznej, ale wyraził wolę doprowadzenia do utworzenia instytucji pomocy. W końcu listopada ustanowiono grupy ekspertów obu stron do omówienia zasygnalizowanych problemów.

Początek został zrobiony. Przystąpiono do rozmów. Niewiele osób wiedziało o prowadzonych negocjacjach. Sprawę, przede wszystkim na żądanie władz, ale za zgodą strony kościelnej, trzymano w tajemnicy. Było to, wydaje się, wygodne dla obydwu stron. Kościół znał doskonale nastawienie olbrzymiej większości społeczeństwa do WRON-y, ujawnienie więc toczących się z WRON-ą negocjacji — mimo, że dotyczyły one interesów całego społeczeństwa — mogło tylko przysporzyć dalszych krytycznych głosów prymasowi. Dla władz z kolei tajność pertraktacji stanowiła atut, z którego — jak się przekonamy — skorzystały. Powodowała ona mianowicie, że negocjowały z grupą ekspertów, a nie ze społeczeństwem. Mogły sobie pozwalać na stawianie ta-

kich warunków, o których przy podniesionej kurtynie nie mogłyby mówić, bowiem jednoznacznie ujawniały one obawy komunistycznej władzy przed wszelkimi inicjatywami, które mogłyby w sposób znaczący wzmocnić siłę żywotną i stan posiadania polskich gospodarstw rodzinnych. Zatem pierwszy etap rozmów — cztery kolejne spotkania obu komisji w dniach od 7 grudnia 1982 do czerwca 1983 roku — odbywał się bez wiedzy społeczeństwa. Były to generalnie rozmowy wyjaśniające, ale przyniosły także konkretne ustalenia. Przyjęto, że:

- struktura organizacyjna ma być niezależna od rządu i Kościoła, ale autoryzowana przez Kościół. Autoryzacja programu przez Episkopat Polski stanowiła warunek przyszłych donatorów. Przyjęto także, że najlepszą formą organizacyjną będzie fundacja;

- gdyby zaistniało podejrzenie, że program jest inspirowany politycznie, a nie przez Kościoły — Kościół polski go nie podejmie;

- ośrodek decyzyjny rozstrzygający o wykorzystaniu środków będzie znajdował się w Polsce;

- ewentualne kredyty podejmować się będzie wyłącznie w porozumieniu z NBP;

- zakłada się pełny wgląd Episkopatu i rządu w realizację programu;

- istnieje możliwość współpracy z przemysłem państwowym;

- Fundacja miałaby uprawnienia do prowadzenia własnej działalności gospodarczej.

W trakcie pierwszego etapu rozmów powiadomiono ekspertów zachodnich, iż w tym właśnie kierunku idą wspólne ustalenia z rządem PRL. Eksperci zachodni potwierdzili jeszcze raz, że z ich strony stawiane są dwa warunki: pełna niezależność fundacji oraz kierowanie zgromadzonych w jej ramach środków wyłącznie do gospodarstw indywidualnych. Władze od początku więc znały te dwa podstawowe warunki i zgodziły się, że nie jest możliwy udział przedstawicieli władz w pracach Rady Fundacji. Postanowiono także przygotować tekst ustawy o fundacjach. 31 marca 1983 roku Kościół przedłożył projekt statutu.

Wiosną 1983 roku dotarły do społeczeństwa pierwsze informacje o toczących się rozmowach. W prasie podziemnej wydrukowano list Prymasa Polski do generała Jaruzelskiego i jego odpowiedź. Ludzie zaczęli się programem interesować. Nie przeszkodziło to w toczących się rozmowach, chociaż stroną kościelną coraz bardziej zaczęło niepokoić, iż w prasie oficjalnej bez przerwy mówi się o „jednym rolnictwie”. Można było się obawiać, że władze wysuną ten argument w czasie kolejnych rozmów, domagając się, by ze środków fundacji skorzystało także rolnictwo socjalistyczne, państwowe. Ale na razie czekano na reakcję władz na przedłożony statut i na sejmową ustawę o fundacjach. Ustawa się nie pojawiała. W toczących się dotychczas dość gładko rozmowach nastąpił pewien zgrzyt. Musiał interweniować Prymas Polski. Do kraju przyjechał z drugą pielgrzymką Papież Jan Paweł II. Doszło do bezpośredniej rozmowy Glempa

z Jaruzelskim. 27 czerwca generał Jaruzelski w liście do Prymasa wyraził zgodę na powstanie fundacji. Szczegóły techniczne mieli dopracować eksperci.

Wydawało się więc, że najpóźniej jesienią 1983 roku fundacja zacznie działać. Do tego jednak potrzebna była ustawa sejmowa, a tej wciąż nie było. W czasie chłopskich dożynek na Jasnej Górze we wrześniu 1983 roku kardynał Józef Glemp chyba po raz pierwszy przyznał publicznie, że rozmowy na temat fundacji trwają, ale postęp jest minimalny, a zapowiedzianej ustawy sejmowej nadal nie ma. W odpowiedzi na to rzecznik prasowy Jerzy Urban w czasie konferencji prasowej zapewnił dziennikarzy, że jesień 1983 roku będzie okresem możliwych rozmów obu zainteresowanych stron, a projekt ustawy jest już właściwie na ukończeniu. W tym samym mniej więcej czasie minister rolnictwa PRL, Stanisław Zięba, oraz prezes NK ZSL w wywiadach dla prasy krajowej oświadczyli, że proponowana przez Kościół inicjatywa opiewa na dwa miliardy dolarów, tymczasem odbudowa polskiego rolnictwa musi kosztować czterdzieści miliardów. Z kolei Jerzy Urban przeliczył sumę dwóch miliardów dolarów i powiedział, że to wystarczyłoby zaledwie na kupienie po jednej skarpetce dla obywatela, co świadczy, iż jest to suma, o którą właściwie nie ma co zabiegać.

W tak przygotowanej atmosferze rozpoczął się kolejny etap negocjacji. Na spotkanie obydwu komisji 23 września 1983 stronę rządową przyprowadził nowy szef Kazimierz Grzesiak, były dyrektor kombinatu PGR Noteć w pilskim. Nie była to dobra nowina. Warszawski korespondent amerykańskiego *Los Angeles Times* napisał: „Właśnie fakt, iż jest to były dyrektor kombinatu państwowego nakazuje sceptycyzm, ponieważ nie jest pewne, czy Grzesiak będzie przyjacielem chłopów”. Klimat spotkania już na wstępie określiła strona rządowa, przyznając niemalże otwarcie, iż sytuacja po wizycie Ojca Świętego uległa zmianie. Rząd zyskał na wiarygodności i liczy na odblokowanie zachodnich kredytów. Oznaczało to, iż w opinii władz potrzeba fundacji rolniczej schodzi na dalszy plan. Z takiej oceny rzeczywistości wynikała zapewne towarzysząca temu spotkaniu nerwowość strony rządowej z powodu narastającego w społeczeństwie zainteresowania ideą fundacji. Kościół polski zaproponował całkowitą blokadę dalszych informacji o przebiegu rozmów i stosował się do niej. Władze natomiast przystąpiły do propagandowej kontrofensywy. W niedużych notkach redakcyjnych, także w prasie przeznaczony dla wsi polskiej, zaczęto ośmieszać i minimalizować wartość całego przedsięwzięcia. Trwa to zresztą do dzisiaj. Od tego też momentu datuje się eskalacja żądań władz i systematyczne ustępowanie strony kościelnej z uzgodnionych już i przyjętych stanowisk.

Pierwsze istotne ustępstwo to odejście od wstępnie proponowanego planu objęcia zasięgiem fundacji tylko trzech wybranych w kraju gmin i zgoda na opracowanie tak zwanych programów pilotowych. Warto się zastanowić, dlaczego władze nie zgodziły się na trzy gminy?

Wyobraźmy sobie, że nagle w ciągu trzech, czterech lat do trzech średniej wielkości gmin kieruje się środki produkcji rzędu dwóch miliardów dolarów. Powstałyby wówczas w kraju trzy enklawy stanowiące wzór do naśladowania. Te enklawy stanowiłyby bezpośredni dowód, iż na polskiej wsi można dokonać gruntownych przeobrażeń, i to niekoniecznie według wzorów komunistycznych, z korzyścią dla całego społeczeństwa. Te trzy przykłady zaprzeczałyby wszystkiemu, co na temat możliwości rozwoju gospodarstw chłopskich w Polsce mówią partia i rząd. Na to nie wyrażono zgody. Przyjęto zasadę programów pilotowych, co naturalnie rozmyślało końcowy efekt. Kościół poszedł na to ustępstwo.

Następne miesiące aż do 22 września 1984 roku to faktycznie okres intensywnych spotkań i rozmów. Mimo wcześniejszych zapewnień władz projekt ustawy o fundacjach pojawił się dopiero pod koniec listopada. Był to projekt, na który strona kościelna nie mogła się zgodzić bo wynikało zeń jasno, iż władze chcą pełnej kontroli nad darowiznami i proponują sformułowania, ograniczające autonomię fundacji. Wyplętnęła również sprawa odpowiedniego rozporządzenia Rady Ministrów pozwalającego fundacji rolniczej na prowadzenie działalności gospodarczej. Rząd obiecał 27 grudnia, że wpłynie ono za tydzień. Nie ma go do dni dzisiejszego.

10 stycznia 1984 roku przekazano rządowi kolejną wersję statutu. Władze odpowiedziały na to, że nie wyobrażają sobie możliwości zwolnienia sprowadzanych towarów z cła.

23 stycznia Kościół po raz kolejny powtórzył, że fundacja musi być autonomiczna i zwolniona od ceł i podatków, bo przecież nikt z ofiarodawców nie zgodzi się na to, by w formie podatków wspomagać budżet państwa i finansować władze PRL. Tego samego dnia strona rządowa zaproponowała, by rozpocząć działalność fundacji od kwoty 50 milionów dolarów i sprzeciwiła się opublikowaniu komunikatu z rozmów oraz szerszej informacji na temat ich przebiegu.

6 kwietnia sejm przyjął ustawę o fundacjach. Żeby jednak fundacja rolnicza mogła rozpocząć działalność potrzebne było jeszcze zatwierdzenie statutu. Na tym też skoncentrowały się dalsze rozmowy. W międzyczasie obie strony uzgodniły, że na rozpoczęcie realizacji programów pilotowych wystarczy suma 28 milionów dolarów. Było to, jak się przekonamy, jedno z niewielu ustępstw strony rządowej. Ustępstwo oczywiście w stosunku do nierealnej, pierwotnej propozycji.

14 maja Kościół poszedł na dalsze ustępstwa, zgodził się mianowicie, by fundacja korzystała głównie z państwowej sieci handlowej. Władze ze swej strony wyraziły zgodę na zapisy i spadki krajowe, nie zgodziły się natomiast na prowadzenie zbiorów publicznych na cele fundacji, nie chcąc dopuścić, by całe społeczeństwo uczestniczyło w odbudowywaniu zrujnowanego przez komunistów rolnictwa.

9 czerwca Prymas powołał Komitet Organizacyjny, a władze

w dwa dni potem wyraziły sprzeciw wobec przyjętej wcześniej możliwości powoływania ciał kontroli społecznej. Dlaczego? Chyba tylko dlatego, by uniemożliwić społeczeństwu uczestniczenie w kierowaniu procesami gospodarczymi, by wykluczyć jakkolwiek płaszczyznę, na której ludzie uczyliby się wspólnego zarządzania i sterowania poszczególnymi działami gospodarki.

Idźmy jednak dalej, zaczął się bowiem najbardziej interesujący okres negocjacji. Oto w czasie rozmów obydwu stron 24 lipca strona rządowa domagała się, by w statucie fundacji znalazł się zapis mówiący, że „fundacja rolnicza działać będzie zgodnie z interesami PRL”. Władze zażądały więc deklaracji lojalności od polskiego Kościoła. Żądanie to powtórzono zresztą dwa tygodnie później, wysuwając jednocześnie podejrzenia, że fundacja wspierać będzie działalność opozycji w kraju. Kościół te insynuacje odrzucił, jednak wyraził zgodę, by w statucie znalazło się sformułowanie o „polskiej racji stanu”. To zdecydowało, że władze — po wniesionych poprawkach — wyraziły zgodę na ostateczny tekst statutu. Uzgodniono także tekst aktu erekcyjnego. Pozostało tylko złożyć podpisy. Szczęście wydawało się bliskie.

20 września 1984 roku, kiedy Kościół poszedł na chyba zbyt dalekie ustępstwa ludzie wchodzący w skład komisji rządowej oświadczyli, że **NA TYM SIĘ KOŃCZĄ ICH PEŁNOMOCNICTWA I PODPISÓW SWOICH ZŁOŻYĆ NIE MOGĄ**. Skąd my to znamy? Z Gdańska, Jastrzębia, Szczecina, Ustrzyk, Rzeszowa itd.

Do następnego spotkania miało dojść 6 października. Ale nie doszło. Rząd bez podania przyczyn spotkanie odwołał. Nastąpił kolejny impas. Wcześniej, jeszcze we wrześniu, Prymas Polski wystosował kolejny list do generała Jaruzelskiego, mający przyspieszyć zakończenie trwających rozmów. Na ten list do dnia dzisiejszego nie ma odpowiedzi.

12 listopada 1984 roku Duszpasterstwo Rolników przy kościele p.w. Matki Bożej Królowej Polski w Stalowej Woli powołało zespół specjalistów od rolnictwa, który opracował program zagospodarowania na terenie parafii środków pochodzących z fundacji rolniczej i przesłał go do Komitetu Organizacyjnego fundacji. Podpisało go dwiętnaście osób. Czytamy w nim:

„Wobec fizycznego niedoboru szeregu środków produkcji rolnej pochodzenia przemysłowego ze wszech miar pożądane jest i możliwe uruchomienie fundacji rolniczej. (...) Małe zakłady przetwórcze prywatne i społeczne wsparte środkami z fundacji powinny przyjąć na siebie zadanie stopniowego i całkowitego zaspokojenia potrzeb miejscowej ludności na niektóre artykuły żywnościowe. Rzemieślnicze warsztaty usługowe i wytwórcze korzystające z pomocy fundacji winny rozwijać się bez obawy ingerencji kontrolnego aparatu administracji państwowej. Powinny one podlegać społecznej kontroli tej fundacji do czasu powstania równowagi rynkowej na artykuły i usługi poszukiwane przez rolników”.

Dzisiaj wiadomo, iż był to jeden z wielu memoriałów skierowanych do inicjatorów programu. Zainteresowanie w społeczeń-

stwie wzrastało. Propozycje i sugestie poszczególnych środowisk akcentowały samodzielność fundacji i jej działalność pod bezpośrednią kontrolą społeczeństwa. Tymczasem już w dotychczasowych postanowieniach władze stawianymi przez siebie warunkami realizację tych postulatów ograniczały albo i wykluczały. Ale i tego im było za mało.

Do kolejnego spotkania obu stron doszło 22 stycznia 1985 roku. Strona rządowa wystąpiła o ponowną negocjację uzgodnionego już przeciwko statutu. Zażądano skreślenia punktu umożliwiającego prowadzenie w ramach fundacji szkolenia rolników. Władze nie chcą, by rolnicy podnosili swoje kwalifikacje, zwłaszcza w punktach, nad którymi nie miałyby kontroli. Ale po tym żądaniu, na które Kościół się zgodził, postawiono nowy warunek — umożliwienie ministrowi rolnictwa PRL bezpośredniej ingerencji w programy i w działalność Rady. Kościół odrzucił to żądanie. Władze zażądały więc, by ilość programów ograniczyć do dwóch w miejsce opracowanych już dziesięciu. I to zostało odrzucone. Na stwierdzenie, iż nadal nie ma rozporządzenia Rady Ministrów strona rządowa odpowiedziała, iż „nie wie”, kiedy prace zostaną ukończone. Projekt tego rozporządzenia władze przedłożyły w kwietniu, jednak znowu w wersji nie do przyjęcia, bo ponawiający żądanie dopuszczenia ministra rolnictwa do prac fundacji. Natomiast w kwietniu ubiegłego roku władze wróciły do problemu darowizn krajowych, na które wyraziły zgodę pół roku wcześniej.

Trwające rozmowy nie przynoszą istotnych rozstrzygnięć, chociaż nastąpiło pewne zbliżenie stanowisk w sprawie zastosowania ulg i zwolnień podatkowych. W czerwcu rozporządzenia nadal nie ma, bo „jeden z ministrów wyjechał za granicę”. Kościół powtarza, że wszystkie kwestie już dawno uzgodniono i nie ma potrzeby prowadzenia dalszych negocjacji, zwłaszcza, że strona rządowa nie jest do nich merytorycznie przygotowana. Dochodzi do ostrej wymiany zdań na temat informacji prasowej z przebiegu rozmów. Rząd chce tajności rozmów. Sporządzono protokół rozbieżności i uzgodnień. Podkreślono w nim — strona kościelna — że statut został już uzgodniony we wrześniu 1984 roku, a rząd chce go renegecować. Strona rządowa natomiast po raz drugi postawiła postulat ograniczenia programów do dwóch.

Do ostatniego spotkania obydwu stron doszło 16 września ub. roku. Po tym właśnie spotkaniu poszły w świat wiadomości, że może wreszcie w ostatnich miesiącach 1985 roku fundacja rolnicza stanie się faktem. Co było przedmiotem rozmów w czasie tego spotkania? Po pierwsze Kościół znowu poszedł na ustępstwa i zgodził się, by o zwolnieniach z cła i podatków poszczególnych towarów napływających do kraju w ramach fundacji decydował minister finansów. Po drugie zgodził się, by przeznaczone przez Lecha Wałęsę a otrzymane wraz z nagrodą Nobla dwieście tysięcy dolarów nie zasililo fundacji rolniczej. Taki warunek postawiły władze, określając tę kwestię jako problem polityczny.

Przeprowadzono nawet rozmowę z Lechem Wałęsą i przygotowano specjalny list, który miał mu być wręczony po ostatecznych uzgodnieniach, których się spodziewano 17 października.

16 października rząd odwołał zapowiedziane spotkanie bez podania przyczyny i ewentualnego nowego terminu. W kilka dni później Jerzy Urban jeszcze raz zapisał z wszystkich w imieniu rządu PRL i oświadczył, że jest „zaskoczony” informacją Komitetu Organizacyjnego w tej sprawie. Zapowiedział też, że rozmowy będą wznowione, tylko nie wiadomo kiedy.

30 października pośrednik premiera PRL przekazał Prymasowi Polski zestaw wątpliwości. Z tych wątpliwości wynika jasno, że premier albo w ogóle się nie orientuje w dotychczasowym przebiegu rozmów, albo udaje, że nie wie, o co chodzi. I jedno i drugie w komunistycznej rzeczywistości PRL jest możliwe. Pewne natomiast jest to, że dwa miliony dolarów przeznaczone przez EWG na wsparcie fundacji rolniczej trzeba było podjąć do końca grudnia. Nie podjęto ich, bo nie ma formalnie nikogo, kto mógłby to uczynić. Fundacji Rolniczej nie ma. Pieniądze przepadły.

Sławomir Siwek, rzecznik prasowy Komitetu Organizacyjnego fundacji rolniczej, opublikował na łamach *Przeglądu Katolickiego* w numerze 50 z ubiegłego roku artykuł zatytułowany „Co trzeba jeszcze w sprawie fundacji rolniczej powiedzieć?”. Zakończył go takim oto stwierdzeniem: „Kontakty z rolnikami uzmysławiają, ile jest nadziei, dobrej woli i chęci działań pozytywnych. Fundacja jest traktowana jako wyraz szansy na porozumienie społeczne w kwestiach dla naszego bytu podstawowych — w tym także gospodarczych.

Nie zostawiłbym tych nadziei bez odpowiedzi”.

Pozostaje pytanie, czy są wartości, w imię których w rozmowach z komunistami należy za wszelką cenę ustępować? Zwłaszcza, kiedy te ustępstwa i tak niczego konkretnego nie dają. To oczywiście trudno we wstępnej fazie przewidzieć, ale w przypadku rozmów o fundację rolniczą były przynajmniej dwa momenty, w których władze wyraźnie zwlekały z decyzjami, których potem i tak nie podjęły, a mimo to rozmowy kontynuowano. Można dzisiaj zastanawiać się, jakby się to wszystko skończyło, gdyby na przykład przyjazd Papieża do Polski w czerwcu 1983 roku uzależniono od ostatecznego podpisania statutu i potrzebnych fundacji aktów prawnych. Przecież ta wizyta była potrzebna również władzom i dlatego się przebieg rozmów, gdyby o wszystkim — albo przynajmniej o wyraźnej niechęci władz do fundacji — informować na bieżąco naród. Z przestrzegania tajności rozmów korzyści wyciągnęły tylko i wyłącznie władze.

Ciągłe stawianie nowych warunków i ostateczna odmowa zgody na fundację kompromitują rząd, ujawniają jego wrogość do chłopów polskich i potwierdzają, iż w stosunku komunistów do polskiej wsi nadal obowiązuje wizja kołchozów i sowchozów.

Aleksander ŚWIEYKOWSKI

Notatki z Polski

MARZEC-KWIECIEŃ 1986

„Zalecenie I sekretarza, by X Zjazd odbył się w oczyszczonym krajobrazie, stanowi dyrektywę określającą zasadniczy cel resortu spraw wewnętrznych w najbliższym czasie. W szczególności MSW zamierza: doprowadzić do likwidacji działających jeszcze struktur podziemnych, kontynuować z większą aktywnością działania ograniczające nielegalną działalność poligraficzno-wydawniczą, bardziej skutecznie ograniczać przez stosowanie różnych środków prawnych polityczną działalność ekstremalnych części kleru” — powiedział wiceminister Pudysz, referując w komisji sejmowej zadania ministerstwa.

I rzeczywiście, milicja przystąpiła do realizowania wytycznych. Na warszawskich ulicach pojawiła się taka ilość mundurowych, jakiej nie widzieliśmy już od dawna. Takie przeczesywanie niestety przynosi rezultaty. Na przykład 14 marca zatrzymano Marka Kubina, Janusza Marcinka i Macieja Radziwiłła, którzy przewozili samochodem dużą ilość czystego papieru; 24 marca drogówka podczas kontroli samochodu Marka Zbikowskiego znalazła część nakładu czasopisma *Most* (następnego dnia Sąd Rejonowy w Warszawie skazał go z „bomby” na 1,5 roku więzienia); w Krakowie na dworcu aresztowany został Maciej Dobrowolski z plecakiem pełnym małopolskiej bibuły.

Najwyraźniej Służba Bezpieczeństwa sięgnęła też do swoich teczek, wykorzystując materiały operacyjne i aresztując tych, u których coś znalezione.

Zapowiedzi likwidacji podziemia słyszeliśmy już niejednokrotnie, dwa, a nawet trzy razy do roku odbywają się też akcje polityczne przeciwko niezależnej działalności. I chociaż nie przyniosły one żadnej radykalnej zmiany — społeczeństwo nie dało się znormalizować zgodnie z wytycznymi resortu MSW — to dziś trudno czerpać z tego satysfakcję: „Solidarność” ciągle ponosi straty, a w odczuciu społecznym sam fakt przetrwania Związku już nie wystarcza. Sytuacja pata przedłuża się, brak politycznych rozwiązań sprzyja upowszechnianiu się nastrojów beznadziejności. Podziemie jest dziś zresztą mniej ekspansywne niż rok czy dwa lata temu i coraz trudniej nadrabiać poniesione straty.

Ludzie zaangażowani w podziemną działalność są i tak stosunkowo najmniej sfrustrowani. Nastroje zmęczenia i apatii nasilają się, znękanie kłopotami dnia codziennego społeczeństwo praktycznie w ogóle nie zareagowało na podwyżki, ogłoszone tym razem nawet bez fikcyjnych konsultacji. Jeszcze rok temu Związek przy najmniej próbował zorganizować ogólnopolską akcję protestacyjną, przygotował harmonogram strajków (zresztą w obawie przed

tym władza zmniejszyła nieco skalę podwyżek). W tym roku Regionalna Komisja NSZZ „Solidarność” region Mazowsze ograniczyła się do stwierdzenia, że „jedyna droga obrony interesów pracowniczych wiedzie niezależny ruch związkowy”.

Jeszcze rok temu przewodniczący NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa wraz z TTK wzywał do strajku. W tym roku ograniczył się do stwierdzenia, że ludzie pracy mają pełne prawo do protestów.

Signum temporis

Trzeba zresztą przyznać, że w międzyczasie władza nauczyła się profilaktyki antystrajkowej: najgroźniejsze załogi uspokojono wcześniej sporymi podwyżkami, wszystkim wyplacono trzynastki i czternastki, zaś same zmiany cen zostały rozłożone na raty — mięso dopiero w okresie letnim, gaz i elektryczność po sezonie ogrzewczym, komunikacja też nie od razu. W sumie ludziom trudno się zorientować, jak bardzo zostali uderzeni po kieszeni.

Ciągająca się od miesięcy reforma siatek płac nie została zakończona przed podwyżkami. Tam, gdzie zmiany były niekorzystne dla pracowników, nasiliła się presja na płace*.

Pojedyncze wystąpienia, nawet uwieńczone sukcesem, nie zmieniają faktu, że coraz więcej rodzin pracowniczych przekracza próg ubóstwa. Dokłada się do tego stopniowe i konsekwentne uszczuplanie praw pracowniczych, albowiem jedynym pomysłem władz na wychodzenie z kryzysu jest zwiększanie eksploatacji siły roboczej. I tak rozporządzenie Rady Ministrów z końca lutego bież. roku przedłużyło do 1990 roku zasadę — wprowadzoną w ustawie o szczególnej regulacji prawnej — iż dyrektorzy przedsiębiorstw o podstawowym znaczeniu dla gospodarki lub obronności (blisko 2 tys. zakładów w skali kraju) mogą przedłużyć tydzień pracy do 46 godzin, co w praktyce oznacza likwidację wolnych sobót. W marcu do opinii publicznej dotarł projekt nowego kodeksu pracy, który w zasadzie ma uniemożliwić lub uczynić nieopłacalną powszechną w PRL-u praktykę zmiany miejsca zatrudnienia w celu otrzymania lepszego zarobku (po zwolnieniu na własną prośbę nie będzie można otrzymać wyższej pensji niż w poprzedniej pracy, a dodatek stażowy ma przysługiwać wyłącznie za pracę w jednym zakładzie).

Stworzono co prawda możliwości dorobienia w macierzystym zakładzie, proponując powoływanie tzw. zespołów gospodarczych, w których można pracować po godzinach, w nocy, w soboty i nie-

* Po ogłoszeniu podwyżek cen 700 osób z 4-tysięcznej załogi elektrowni „Bełchatów” złożyło wypowiedzenia, a nowe związki zapowiedziały strajk. W efekcie uzyskano 15-procentową podwyżkę płac od 1 marca. Szef neozwiązków został jednak zmuszony do ustąpienia. O atmosferze w zakładzie świadczy przyjęcie gen. min. Czesława Piotrowskiego: podczas jego wizyty 13 marca na linii przesyłowej wysokiego napięcia pojawił się napis „Solidarność pozdrawia MO i SB” (zdjęto go dopiero po 3 godzinach, gdy główny energetyk krajowy udzielił zezwolenia na wyłączenie linii).

dziele, w czasie urlopu wychowawczego i wypoczynkowego, na emeryturze — ale jest to kolejna forma eksploatacji pracowników. Odbywa się to nie na zasadzie umowy o pracę lecz umowy cywilno-prawnej, zatem nie obowiązuje kodeks pracy: nie ma żadnych ograniczeń czasu, a zarobione pieniądze nie są doliczane do pensji (a więc do średniej urlopowej, premii, renty itp.). Ten manewr uderzy przede wszystkim w najstarsze grupy pracowni-
cze, niezdolne do wywalczenia sobie podwyżek. Praktyka potwierdza ten domysł: jak dotąd zespoły gospodarcze przyjęły się jedynie w fabrykach włókienniczych Łodzi, gdzie zdesperowane kobiety ubiegają się o możliwość dorabiania np. w nocy z soboty na niedzielę.

Marzec pokazał więc wyraźnie rzecz właściwie banalną, że władza ma dla społeczeństwa tylko dwie propozycje — policyjne nękanie i coraz większą nędzę.

Gdyby nie to, że ostatnie dni kwietnia przeżyliśmy pod znakiem katastrofy w Czernobylu, byłyby to miesiąc niebogaty w wydarzenia. Jedynie to, co działo się na procesie KPN oraz alarmujące wiadomości z więzienia w Lubsku, gdzie przetrzymywany jest Władysław Frasyniuk, wzbudzały żywą reakcję opinii publicznej i wypełniały pierwsze strony związkowych gazet.

Pięciu działaczy KPN stanęło przed sądem 3 marca. Leszek Moczulski, Krzysztof Król, Adam Słomka, Andrzej Szomański i Dariusz Wójcik zostali oskarżeni o to, że „podjęli działania reaktywujące nielegalny związek pod nazwą Konfederacja Polski Niepodległej” oraz „pełnili w utworzonych już strukturach kierownicze funkcje” (art. 276 § 1 i 3 kk). Pozostałe zarzuty to: działania zmierzające do wywołania niepokojów publicznych (art. 282a § 1) oraz łżenie i poniżanie naczelnich organów państwowych (art. 270) za pomocą druku (art. 273). Przewód sądowy trwał blisko dwa miesiące. Przez cały czas prokurator Bardonowa — której złą sławę, zdobytą po Marcu '68, ugruntowała sprawa Jana Narożniaka i wiele innych pogrudniowych — nie zadała ani jednego pytania. Od początku nie ulegało wątpliwości, że ustalenie wysokości kar jest zastrzeżone dla instancji politycznych, a nie dla sądu.

Wyroki zapadły 22 kwietnia: dla Moczulskiego 4 lata pozbawienia wolności, dla pozostałych 2 do 2 i pół roku. Ich wymowa jest jednoznaczna: żadna inna partia polityczna oprócz PZPR i jej przybudówek nie ma w Polsce prawa do istnienia. Na tym procesie nie chodziło przecież o to, by udowodnić oskarżonym jakiegokolwiek czyny sprzeczne z prawem. Sądzone i skazano ich za przekonania polityczne, które formułowali w deklaracjach i programach KPN i którym dobitnie dali wyraz w ostatnim słowie.

Wszystkie wystąpienia oskarżonych niosą wspólne przesłanie — o konieczności dawania świadectwa niepodległościowym dążeniom Polaków. Działacze KPN świadomie zdecydowali się na to, by nie dostosowywać platformy ideowej do bieżącej sytuacji po-

litycznej, a przed sądem bronili swego prawa do całkowitej negacji systemu i propagowania odmiennej wizji ładu społecznego. Na mapie ugrupowań politycznych w PRL Konfederacja zajmuje pozycję totalnej odmowy. Na przeciwległym biegunie lokuje się niezależna grupa neokonserwatystów, niegdyś skupionych wokół pisma *Res Publica*, która widzi możliwość udziału w oficjalnym życiu politycznym. W kwietniu jej przedstawiciel po raz drugi — poprzednio przed ubiegłorocznymi wyborami do sejmu — rozpoczął rozmowy na temat zgody na legalne wydawanie pisma.

Dopiero w kwietniu — po pięciu miesiącach absolutnego braku informacji o tym, co dzieje się z Władysławem Frasyniukiem po przewiezieniu do więzienia w Lubsku — przedostały się na zewnątrz pierwsze wiadomości o jego losie. Pojawiły się pogłoski, że został brutalnie pobity przez służbę więzienną. Sprawa nabrała takiego rozgłosu, że pokazano go w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego, jak cały i zdrowy przechadza się po spacerniaku. Jednocześnie wypowiedział się przedstawiciel Centralnego Zarządu Zakładów Karnych, płk Wrona: oznajmił, że nie było żadnego pobicia, lecz szamotanina z funkcjonariuszami, którzy działali zgodnie z przepisami, ponieważ Frasyniuk stawiał opór. Dodał, że więzień traktowany jest dobrze, a nawet korzysta z pewnych przywilejów.

To oświadczenie nikogo nie przekonało, zwłaszcza że zaczęły docierać dalsze szczegóły, i to zarówno na temat samego zajścia, jak i warunków, w jakich Frasyniuk odbywa karę. Otóż kiedy 26 marca do jego celi wkroczyła atanda (oddział do pacyfikowania buntów więziennych) na piętrze nie było ani jednego politycznego — całą siedzącą tam trójkę wyprowadzono pod różnymi pretekstami. W atandzie znalazł się, wezwany specjalnie do tej akcji, znany z brutalności były bokser L. Dobierała. On też najbardziej pastwił się nad Frasyniukiem podczas przenoszenia go siłą do izolatki.

Natomiast jeśli chodzi o warunki, zacznijmy od tego, że w zakładzie karnym w Lubsku są insekty i szczury. Przez całą zimę Frasyniuk był trzymany w prawie nieogrzewanych celach (poniżej 10° C), a naczelnik złośliwie odmawiał mu zezwolenia na ciepłą odzież (więzienny uniform to tylko podkoszulek i cienkie drelchowe ubranie). O tym, jak był traktowany, świadczy fakt, że nie miał przez pół roku żadnego widzenia z rodziną ani z adwokatem i że „nazbierał” przez ten czas 70 raportów — wniosków do naczelnika o ukaranie. Oznacza to, że więzień jest pod nieustanną obserwacją i że za byle głupstwo sypią się na niego kary.

Przez cały kwiecień Frasyniuk był trzymany w izolatce — ma-lutkiej narożnej celi, najzimniejszej w całym więzieniu, gdzie spał na deskach, a na noc dostawał jeden koc.

Wśród głosów zaniepokojonych losem jednego z najwybitniejszych przywódców „Solidarności”, protestów kierowanych do władz PRL z kraju i z zagranicy, szokująco zabrzmiała wypo-

wiedź Prymasa Polski. Kardynał Józef Glemp na konferencji prasowej w Paryżu powiedział, że wiadomości na temat Frasyniuka są przesadzone. Pomijając już, jak bardzo jest to niezręczne i jak urzęda PRL-owską propagandę, pozostaje wzgląd zasadniczy — moralny: postawa chrześcijańska oznacza przecież współczucie i pomoc dla cierpiących. Od głowy Kościoła w Polsce można by oczekiwać, że będzie się przynajmniej domagać, aby do więzienia w Lubsku dopuszczono przedstawicieli Prymasowskiego Komitetu Społeczno-Charytatywnego albo duchownych czy lekarzy.

Pisząc o tym, co działo się w kwietniu, nie sposób pominąć sesji Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, zatytułowanej „Problemy legitymizacji władzy we współczesnej Polsce”. Była to pierwsza próba naukowej analizy przyczyn stabilności systemu, którego znaczna większość obywateli nie akceptuje. Socjologów nie zadowoliła odpowiedź najbardziej oczywista, że system trwa dzięki przemocy; mówili jeszcze m.in. o ograniczaniu dostępu do informacji, celowym rozbijaniu solidarności grupowej, przerabianiu ludzi na lojalnych funkcjonariuszy. Wskazywali, że władza dość skutecznie chroni się przed groźnym dla siebie rozczarowaniem społeczeństwa stosując „propagandę kryzysu”, która obniża poziom oczekiwań obywateli.

Najbardziej oryginalne koncepcje, zaprezentowane na sesji PTS-u, to upatrywanie przyczyn trwałości polskiego real-socjalizmu w „nowym sensie zbiorowym” oraz w „aktywnym przystosowaniu” Polaków do obecnych warunków polityczno-gospodarczych. W powojennym 40-leciu — jak stwierdza w swoim referacie Mirosława Marody — takim sensem zbiorowym były: odbudowa kraju, odwilżowe nadzieje, wreszcie rozwój ekonomiczny — podtrzymywały one kolejne ekipy nielubianej władzy. Po 13 grudnia zastąpił je „spokój społeczny” i „zabezpieczenie socjalne”, do których zobowiązują się rządzący w zamian za podporządkowanie się rządzonej. Są to jednak — zauważyła referentka — raczej zbiorowe „anty-sensy”, jako że usprawiedliwiają bierność i rezygnację z ważniejszych aspiracji społecznych.

Z kolei Andrzej Rychard postawił tezę, iż w grze z władzą społeczeństwo nie jest jedynie obiektem jej oddziaływania, lecz aktywnym podmiotem, a system PRL to układ chwiejnej równowagi między upaństwowieniem społeczeństwa a uspołecznieniem państwa. I tak obok systemu oficjalnego (państwowa własność, instytucje, ideologia), istnieje system nieoficjalny (np. drugi obieg gospodarczy), nie-system (Kościół, prywatne rolnictwo), wreszcie anty-system czyli opozycja. Dzięki ich istnieniu ludzie wyrównują niedobory ekonomiczne, informacyjne czy ideowe, a przez to nacisk dążeń społecznych na system oficjalny zmniejsza się.

Sesja PTS-u po raz kolejny pokazała, że środowisko polskich socjologów może w istotnym stopniu wzbogacić nasze rozumienie rzeczywistości pogrudniowej — po ciekawych badaniach nad postawami oraz świadomością młodzieży i pracowników przemy-

ślu przyszedł czas na opis mechanizmów funkcjonowania społeczeństwa, które nie akceptuje władzy, a jednocześnie się jej podporządkowuje.

Oficjalny komunikat o radioaktywnej chmurze nad Polską został podany dopiero we wtorek 29 kwietnia w wieczornym dzienniku telewizyjnym. Jednak wiadomości o tym zaczęły się rozchodzić już poprzedniej nocy. Ich źródłem były z jednej strony zachodnie rozgłośnie, z drugiej — przecieki. W dawnym Instytucie Badań Jądrowych w Świerku i w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej w poniedziałek włączyły się systemy alarmowe; stację meteorologiczną w Mikołajkach (gdzie stwierdzono największe stężenie promieniowania) obsadziło wojsko, odsuwając pracowników od aparatury kontrolnej i zabierając wyniki pomiarów. Wszędzie nakazano zachowanie tajemnicy, np. w warszawskim Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej dyrektor pod groźbą wyrzucenia z pracy zakazał rozpowszechniania informacji o podwyższonej radioaktywności. Jak się wydaje, na początku władze były zdecydowane ukryć przed społeczeństwem skutki katastrofy w Czernobylu.

I chociaż w pewnym momencie postanowiono podać ten fakt do publicznej wiadomości i podjąć działania zabezpieczające, to nie ulega wątpliwości, że nad troską o los obywateli górował interes Kremla. Telewizyjna dyskusja ekspertów, nadana w środę 30 kwietnia, była nagrywana w obecności Urbana, który w trakcie dyskusji kilkakrotnie porozumiewał się z Moskwą. W efekcie wśród wyciętych wypowiedzi znalazło się m.in. ostrzeżenie prof. Jaworowskiego, ażeby nie wypuszczać dzieci z domu.

Można zaryzykować tezę, że społeczeństwo polskie — w odróżnieniu od innych krajów bloku — zostało stosunkowo szybko poinformowane o zagrożeniu, ponieważ władza musi się z nim liczyć. Choćby dlatego, że ma ono już spory trening w działaniach niezależnych i że istnieje niezależny obieg informacji. Bardzo szybko okazało się, że żadne zakazy nie są w stanie powstrzymać przecieków, a ludzie którzy mieli dostęp do wiarygodnych danych i dysponowali specjalistyczną wiedzą, w tej sytuacji w dużej części zadeklarowali gotowość współpracy z podziemną prasą. Fachowcy natychmiast rozpoczęli niezależne pomiary stopnia skażenia. Państwowa dystrybucja gazu, który miał zapobiegać wchłanianiu radioaktywnego jodu, została poprzedzona i wsparta społeczną akcją rozdawnictwa tego preparatu.

Dość szybko podniosły się również głosy protestu. Tam, gdzie próbowano zorganizować niezależne manifestacje pierwszomajowe, wśród skandowanych haseł znalazły się takie, które nawiązywały do katastrofy w Czernobylu. W Warszawie pod kościołem św. Stanisława Kostki Grupa Polityczna Robotnik rozrzucała ulotki: „Wstrząśnięci katastrofą nuklearną, jaka miała miejsce na Ukrainie składamy ludziom dotkniętym tą klęską wyrazy współczucia i solidarności. (...) Żądamy międzynarodowej kontroli nad radziecką atomistyką”. We Wrocławiu 2 maja uczestnicy Ru-

chu „Wolność i Pokój” urządzili w centrum miasta półgodzinny protestacyjny *sitting*. Wokół napisów przygotowanych przez Wip-owców („Radioaktywność ze Wschodu nie jest lepsza”, „Następny będzie Żarnowiec”, „Zagrożenie trwa”) zebrało się ponad 100 osób. Wiadomo też, że środowisko specjalistów w dziedzinie energetyki jądrowej planuje batalię o zapewnienie koniecznych zabezpieczeń w pierwszej projektowanej w Polsce elektrowni atomowej w Żarnowcu.

W ostatnich dniach kwietnia dominowały jednak nastroje paniki, przynębiaenia i bezradności. Przed przychodniami lekarskimi, gdzie wydawano preparat jodowy, godzinami stały olbrzymie kolejki matek z dziećmi. Ze sklepów zniknęło mleko w proszku, sery i masło. Enigmatyczne PAP-owskie komunikaty przyjmowane były z nieufnością, ich niejasne sformułowania i brak konkretnych danych o stopniu skażenia potęgowały lęk i poczucie zagrożenia. Jak zawsze w takich momentach, i tym razem pojawiły się elementy wisielczego humoru. Warszawiacy mówili: „W końcu to nie Wałęsa, a sowietci zrobili nam drugą Japonię” i „Podobno Gorbaczow ma przyjechać do Polski, by negocjować oddanie Ukrainy, a przynajmniej Kijowa”.

(ja)

Ś. † P.

MAMERT MIŻ-MISZYN

ur. 1 czerwca 1908 roku w Dyneburgu
po długich i ciężkich cierpieniach zmarł 12 kwietnia
1986 roku w Monachium.

O bolesnej stracie zawiadamiają pogrążeni w smutku

NAJBLIŻSZA RODZINA
I PRZYJACIELE

Sprawy i troski**Omyłka czy coś więcej?**

W *Kulturze* (nr 4/1986) odnotowano już krytycznie w rubryce „Sprawy i troski” pojawienie się pierwszego zeszytu wydawanego w Paryżu kwartalnika *Znaki Czasu*.

Jak każda ocena, tak i ocena autora *Kultury* nasuwać może wątpliwości. Dotyczyłyby one w szczególności życzliwie tu potraktowanego eseju Ludwika Dorna pt. „Czas Solidarności”, który przez wielu ludzi w kraju oceniany jest przede wszystkim jako pamflet, ogłoszony w dodatku pod pozorem obiektywnego sprawozdania z badań socjologicznych, podczas gdy jego autor był jedną ze stron w sporze merytorycznym, a bardziej jeszcze personalnym. Wątpliwa wydaje się więc decyzja zapoczątkowania problematyki „Solidarności” w polskim „kwartalniku religijno-społecznym” tym właśnie tekstem.

W następnej sprawie idzie już jednak nie o oceny, lecz o fakty. Największym nazwiskiem autorskim w zeszycie pierwszym jest Wacław Borowy, wybitny historyk literatury, który zmarł przed 36 laty, a więc przed redaktorami i komentatorami bronić się nie może. Tymczasem redaktor *Znaków Czasu* uważa za potrzebne „przestrzec przed przypisywaniem mu (Borowemu) antysemityzmu” (str. 29) w związku z jedną z plotek, zapisanych zresztą zupełnie rzeczowo i z powołaniem się na źródło w „Dzienniku” Borowego w sierpniu 1945 roku. Cóż za dziwaczny kompleks przemawia przez komentatora? Wśród przedwojennych studentów Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego znany jest fakt fizycznego zaatakowania Wacława Borowego na terenie Biblioteki Uniwersyteckiej przez bojówkę spod znaku ONR za to, że przeciwstawiał się kategorycznie próbom utrudniania studentom „niearyczykom” korzystania z biblioteki.

Niedopuszczalnej jednak manipulacji dokonano w nocie o Władysławie Sebyle (str. 39), pocie i krytyku literackim, powołanym do wojska w sierpniu 1939 roku, osadzonym potem w obozie w ZSSR i zamordowanym w miejscu straceń w Katyniu w kwietniu 1940 roku. Jest to fakt dość powszechnie znany w Polsce, do tego stopnia, że nawet co uczciwsi redaktorzy wydawnictw oficjalnych starają się na ten temat nie kłamać. Przykładowo: w przewodniku encyklopedycznym „Literatura polska”, tom II, wydany w Warszawie przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe w 1985 roku potrafiiono znaleźć odpowiednią formułę, aby nie podać wiadomości fałszywej: Sebyła „zmarł w ZSSR po 1939 roku”, co jest unikiem, ale nie nieprawdą. *Znaki Czasu* natomiast, jako jedyne pismo Polaków w wolnym

świecie, przyjęły wersję sowiecką, według której oficerowie polscy zostali zamordowani przez Niemców, gdy ci opanowali teren Katynia w 1941 roku. To cyniczne kłamstwo nie znalazło, jak wiadomo, potwierdzenia nawet w wyroku Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze w 1946 roku.

Pan Andrzej Micewski jest nie tylko redaktorem naczelnym *Znaków Czasu* (czego z jakiegoś taktycznego powodu nie ujawnił — niestety — w pierwszym zeszycie czasopisma), ale także członkiem Redakcji *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie i — co chyba szczególnie zobowiązuje — doradcą Prymasa Polski do spraw społecznych. Wolno chyba wyrazić pogląd, że sprawa zbrodni katyńskiej wchodzi w zakres najnowszych dziejów społeczeństwa polskiego. A w nawiązaniu do tytułu tekstu A.M. o miesięczniku *Kultura*: „Awersja czy coś więcej?” (*Znaki Czasu* nr 1, str. 173-176) uwagi niniejsze, które są w swej intencji protestem przeciwko tego rodzaju „pomyłkom” w piśmiennictwie, zatytułować chyba wolno „Omyłka czy coś więcej?”.

CZYTELNIK Z WARSZAWY
(nazwisko znane Redakcji)

SPRAWA PROFESORA NORMANA DAVIESA

Duże poruszenie w społeczności akademickiej Uniwersytetu Stanford w Kalifornii nabrała sprawa prof. Normana Daviesa, angielskiego badacza historii polskiej i Europy Wschodniej.

Na uczelni tej wakowała od lat ośmiu katedra historii Europy Wschodniej ufundowana przez koncern McDonnell. W grudniu 1984 komisja selekcyjna po wyeliminowaniu innych kandydatów postanowiła zaprosić na wykłady do Stanfordu na okres jednego roku profesora Daviesa, autora znanego dzieła „Poland — God's Playground” i profesora uniwersytetu londyńskiego, mając na oku powierzenie mu wakującej katedry od września 1986 roku. W krótkim czasie wykłady i seminaria Daviesa zdołały wzbudzić duże zainteresowanie, ściągając ponad 70-ciu studentów. W grudniu 1985 roku po zasięgnięciu opinii 36 uczonych komisja wysunęła jednomyślnie kandydaturę Normana Daviesa na katedrę. Ku zaskoczeniu młodzieży akademickiej wniosek odrzucony został większością jednego głosu przez Radę Wydziału Historii. Za podstawę negatywnej uchwały posłużył rozdział pracy „God's Playground”, poświęcony stosunkom polsko-żydowskim na przestrzeni sześciu wieków. Profesor Davies, analizując tragedię Żydów w Polsce w czasie drugiej wojny światowej, odrzucił tezę, jakoby ludność polska była współwinną zagłady Żydów albo nie pośpieszyła na ich ratunek. Przeciwno obsadzeniu katedry przez angielskiego uczonego wystąpił marksista żydowskiego pochodzenia, specjalista od historii starożytnych Chin, profesor Hal Kahn.

Decyzja Rady Wydziału spotkała się z protestami studentów i nabrała posmaku skandalu, który przedostał się na łamy miejscowej prasy. Jest to już trzeci wypadek odrzucenia przez Uni-

wersytet Stanford wybitnych kandydatów z przesłanek politycznych. Sprawa wywołała również głęboki niepokój tych czynników polskich i żydowskich w Stanach Zjednoczonych, które usiłują działać na rzecz pojednania i łagodzenia wzajemnych antagonizmów. Sam Davies odmawia składania jakichkolwiek wyjaśnień i komentarzy.

Zgodnie ze statutem fundacji katedra zostanie zlikwidowana, jeśli pozostanie nieobsadzona.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 408 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZACZYNAJĄC OD MOICH ULIC

Tom 12 „Dzieł Zbiorowych” zawiera następujące eseje: *Dykcyonarz wileńskich ulic*; *Do Tomasa Venclovy*; *Noty o wygnaniu*; *List półprywatny o poezji* (z Witoldem Gombrowiczem); *Portrety: Dwight Macdonald, Teodor Bujnicki, Józef Czechowicz, La Combe* (Stanisław Vincenz), *Jeffers, Szestow albo czystość rozpaczy*; *Swedenborg i Dostojewski*; *Dostojewski i Sartre*; *Pożegnania: Podzwonne, Był raz..., Śmierć Józefa Sazdika, Sukiennicki, Andrzejewski*.

Cena F. 120,00.

TOM 409 — WIKTORIA KRAŚNIEWSKA “PO WYZWOLENIU”... (1944-1956)

Wspomnienia młodej Polki, która po „wyzwoleniu” została znaręszona wraz z innymi Akowcami i następnie wywieziona do Związku Sowieckiego gdzie w więzieniu i łagrach przeżyła 12 lat. O cierpieniach Polaków wywiezionych do ZSSR po klęsce wrześniowej ukazały się setki książek i wspomnień, ale nie mieliśmy dotąd świadectwa tych których wywieźli „wyzwoliciele”. Wstrząsające wspomnienia Wiktorii Kraśniewskiej wypełniają tę lukę.

Cena F. 95,00.

TOM 410 — WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI BUDOWANIE NIEPODLEGŁEJ

Treść tej książki określają tytuły jej trzech głównych części: I. „Walczyć nawet bez nadziei” to opis technik konspiracyjnych w latach między Powstaniem Styczniowym a pierwszą wojną światową; II. „Myśleć jak walczyć skutecznie” — to analiza różnych nurtów myśli politycznej, ulegających zmianie pod wpływem zmiennych sytuacji; III. „Iść kiedy pora” — to opis sytuacji narodu u progu Niepodległości i postawa Polaków w obliczu śmiertelnego zagrożenia sowieckiego.

Cena F. 100,00.

czeniu" wyjaśnić rzucającą się przede wszystkim w oczy całkowitą bezradność władz. Pożar gasili strażacy i robotnicy bez ubrań ochronnych (armia dała specjalną odzież ze znacznym opóźnieniem), nie uprzedzeni o niebezpieczeństwie, na jakie się narażają. Ewakuacja ludności z Pripiać (25.000 mieszkańców) zaczęła się dopiero 36 godzin po wybuchu, autobusy ewakuacyjne przyjechały z Kijowa, oddalonego o 130 kilometrów od miejsca katastrofy; ewakuacja odbywała się w sposób „zorganizowany” — autobusy ustawiły się w 15-kilometrową kolejkę, odjazdów indywidualnych zabroniono.

Trzecim elementem postępowania władz było kłamstwo. Lokalni przywódcy długo okłamywali Moskwę co do rzeczywistych rozmiarów katastrofy i jej natury, nie podejmując zarazem żadnych poważnych środków do walki z pożarem. Dopiero 3 maja, po przyjeździe do Kijowa sekretarza KC i członka Biura Politycznego Jegora Ligaczowa w towarzystwie prezesa Rady Ministrów ZSSR Nikołaja Ryzkowa wydano rozkaz, by podjąć odpowiednie kroki.

Brak przygotowania, bezradność i kłamstwo opatrzone pieczęcią ścisłej tajności. Sowieccy obywatele do dziś wiedzą znacznie mniej o tym, co zaszło pod Kijowem aniżeli mieszkańcy dalekich zachodnich krajów, którzy też bynajmniej nie wszystkie wiedzą. Brak informacji o katastrofie czernobylskiej sowieckie *mass-media* rekompensują z nawiązką „informacjami” o niebezpieczeństwie próbnich wybuchów nuklearnych w Newadzie, o wybuchu amerykańskiego reaktora w 1979 roku itd. Czernobyl raz jeszcze pokazał, że „tajność” jest najskuteczniejszym instrumentem manipulowania ludźmi.

Najbardziej nieoczekiwane w tej największej jak dotychczas katastrofie atomowej jest to, że została ona zaskakująco dokładnie przewidziana 27 marca br. Na miesiąc przed wybuchem w Czernobylu (miał on miejsce nocą 26 kwietnia o godz. 1.23) *Literaturnaja Ukraina* poświęciła pół pierwszej strony na artykuł Lubow Kowalewskiej, dziennikarki z miasta Pripiać, w którym mieszkali inżynierowie i pracownicy elektrowni czernobylskiej. Artykuł szczegółowo opisywał, co się tam działo. Czernobylska elektrownia po ukończeniu w 1988 roku piątego z sześciu przewidzianych reaktorów miała stać się największą elektrownią atomową świata. Pierwszy reaktor, pisała Kowalewska, został źle zbudowany (to on właśnie wybuchnął — A.K.). „Problemy pierwszego reaktora powtórzyły się w drugim. Problemy drugiego — w trzecim. I tak dalej”. Kowalewska tłumaczyła złą robotę budowniczych „niedociągnięciami organizacyjnymi”, co w sowieckim języku oznacza, że robotnicy nie chcą pracować. Przede wszystkim jednak dziennikarka podkreśliła główny problem, tj. napięte — niewykonalne — plany. W imię „przyspieszenia” — naczelne hasło Gorbaczowa — nakazano w Czernobylu ukończyć w dwa lata przewidzianą na trzy lata budowę reaktora. „Wyśiłki robotników, aby wykonać nierealne normy — pisała Kowalewska — doprowadziły do dezorganizacji całej budowy”. Jak

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Od wybuchu reaktora w Czernobylu minęło — w chwili gdy piszę te słowa — szesnaście dni i nie wiadomo jeszcze dokładnie, czy pożar trwa, czy wygaś. Nie wiadomo zresztą niczego: ani ile jest ofiar, ani ile jest napromieniowanych — przyszłych ofiar, ani co spowodowało katastrofę itd., itp. Lista pytań nie ma końca. Wszystkie informacje pochodzą ze źródeł zachodnich, które władze sowieckie półgębkiem potwierdzają, i to tylko wtedy, kiedy nie mogą inaczej. Świat oczywiście nigdy by się nie dowiedział o katastrofie w Czernobylu — albo dowiedziałby się za wiele lat — gdyby Szwecja a za nią inne kraje nie zaczęły bić na alarm w obliczu radioaktywnej chmury nad ich niebem. Nie jest to „antysowieckie oszczerstwo”: o wybuchu atomowym w 1957 roku w rejonie Kysztyma na Uralu, który spustoszył ogromne terytorium i zabił setki ludzi, Zachód dowiedział się dwadzieścia lat później.

Katastrofa czernobylska, jak nazywają wybuch reaktora zachodnie *mass-media* — sowieccy propagandyści nazywają ją „awarią w czernobylskiej elektrowni atomowej” — wzbudziła w całym świecie zrozumiałą trwogę, bo w drugiej połowie XX wieku ludzkość panicznie boi się atomu, a także dlatego, że raz jeszcze na chwilę obnażyło się prawdziwe „oblicze” systemu sowieckiego (tej drugiej przyczyny strachu Zachód jest na ogół znacznie mniej świadomy).

Zachód, jak dowodzi doświadczenie ostatnich siedemdziesięciu lat, postara się jak najszybciej zapomnieć o tym, co zobaczył. Odnotujemy więc dla pamięci reakcję sowiecką, w której odbija się natura tego systemu. Kiedy przywódcy ZSSR po dwóch tygodniach milczenia otworzyli usta, oznajmili przede wszystkim, że niczego podobnego się nie spodziewali. Premier Ukrainy Aleksander Laszko objaśnił dziennikarzom, że „nauka nie przewidziała awarii tego typu”, akademik Jewgienij Wielichow, główny specjalista od fizyki i elektroniki, potwierdził w *Prawdzie* z 8 maja, że „nikt nie słyszał o podobnym wypadku”. Przywódcy chcą „zasko-

wszędzie brakło materiału budowlanego, a tym, który był, że gospodarowano.

Wśród licznych „teorii” o systemie sowieckim szczególną popularność zdobyła w ostatnich czasach teoria „dwóch gospodarek sowieckich”: wojskowej, gdzie wszystko działa jak w zegarku, i cywilnej, w której istnieją pewne niedociągnięcia. Katastrofa w Czernobylu dowiodła — jeśli przyjąć, że wymagało to dowodu — że w „realnym” (i co więcej dojrzałym) socjalizmie istnieje tylko jedna gospodarka. Elektrownia czernobylska produkowała plutonium dla przemysłu wojskowego, a pracowała tak, jak wszystko w Związku sowieckim. Zachodni specjaliści zwrócili uwagę na fakt, że przy elektrowni znajdowały się składy rudy uranu w ilości 200 ton, tj. dwa razy więcej, niż mogą składować największe reaktory zachodnie. Zachodnich specjalistów to zdziwiło, ale nie obywateli sowieckich: ci wiedzą, że trzeba koniecznie mieć zapasy, ponieważ surowiec dowożą nieregularnie, a plan musi być na bieżąco realizowany. Zachodni specjaliści oświadczyli też, że betonowy fundament sowieckich reaktorów typu czernobylskiego ma grubość 2-ch metrów, podczas gdy zachodnie reaktory stoją na 6-metrowych fundamentach. Lubow Kowalewska stwierdziła w swym artykule, że beton zabrakło, podobnie jak wszystkich innych materiałów budowlanych na wszystkich budowach. Zresztą co tu mówić o betonie: Kowalewska pisze, że czernobylska elektrownia dostała 326 wybrakowanych kontenerów, przeznaczonych na zużyte paliwo nuklearne. Katastrofa kysztymka była wynikiem wybuchu odpadów atomowych, zakopanych w przerdzewiałych kontenerach.

„Oblicze” systemu sowieckiego szczególnie bezwstydnie ukazało głuche milczenie ludzi, odpowiedzialnych w pierwszym rzędzie za katastrofę. Wystąpili ministrowie, kilku uczonych, przewodniczący rady miejskiej, natomiast wody w usta nabrali sekretarz KC ukraińskiej kompartii Szczerbickij, choć jego stołeczne miasto Kijów leży tuż pod bokiem Czernobyla, a także generalny sekretarz KC KPZS Michaił Gorbaczow. *Gensek* bawił 9 kwietnia w Kujbyszewie, rozmawiał z narodem, wszystkim się interesował, na wszystko miał wyrobiony pogład, na każdy temat miał na podorędziu złotą myśl gotową do wyrzycia w marmurze. Na przykład: „Mieszkanie, zwłaszcza dla młodej rodziny, to rzecz bardzo ważna”. Nic nie uszło jego uwadze: „Farba do tkanin zła, wyblakła?” — z troską wypytywał szwaczki.

W Czernobylu wybuchnął reaktor, a Michaił Gorbaczow nadal śle na wszystkie strony świata depesze, ostrzegające przed niebezpieczeństwem amerykańskich prób nuklearnych. Chyba nigdy dotychczas nie widać było tak wyraźnie bezkarności partii, która wszystkim rządzi, wszystko kontroluje, ale za nic nie ponosi odpowiedzialności. „Po cóż ukrywać grzechy? — biją się w piersi *Izwestia* 8 maja. — Niektórzy pracownicy nie wykazali w niewytłóczych okolicznościach dostatecznej przytomności umysłu i gotowości do podejmowania decyzji”.

„Protokoły tzw. komisji Grabskiego” pozostaną na zawsze jednym z najważniejszych źródeł dla badaczy systemu sowieckiego

choćby dlatego, że zawierają oszałamiającą informację — twierdzenie prawników, że z punktu widzenia prawa karnego funkcjonariusze KC nie są urzędnikami państwowymi, a zatem nie ponoszą odpowiedzialności karnej za swoje działania. Odnosi się to w tej samej mierze do sowieckiego prawa karnego i do sowieckich funkcjonariuszy partyjnych. Polscy prawnicy zaproponowali komisji Grabskiego sprytnie wyjście — postawić przywódców partyjnych pod sąd za „podżeganie do przestępstwa służbowego” (str. 197). Gorbaczowa z jego „przyspieszeniem” doskonale można by oskarżyć z tegoż paragrafu. Niestety nawet Gierka nie oddano pod sąd po upadku. Któż miałby oskarżyć generalnego sekretarza KC KPZS w całym jego majestacie tylko za to, że doprowadził do katastrofy nuklearnej?

Zachód, a przede wszystkim zachodnia Europa, która z przerażeniem odkryła, że Związek Sowiecki do niej przylega, był przede wszystkim zdumiony brakiem informacji, tajemnicą, jaką otoczono Czernobyl. Raz jeszcze okazało się, że wystarczy, by na Kremlu pojawił się nowy generalny sekretarz, by obdarzono go ponownie pełnym zaufaniem. W pierwszych dniach po katastrofie prasa zachodnia uskarżała się tylko na jedno: Gorbaczow obiecał „jawność”, gdzież jest „jawność”? W tych skargach pobrzmiwała nuta żalu oszukanej po raz kolejny kochanki.

Amerykański dziennikarz Andrew Nagorski, którego wydalono z Moskwy po krótkim pobycie w charakterze korespondenta *Newsweek'a*, opisuje w swych wspomnieniach pt. „Niechętnie pożegnanie”, jak pewien sowiecki obywatel, który zatelefonował do wydziału informacji KC z jakimś pytaniem, usłyszał w odpowiedzi: „My zajmujemy się zbieraniem, a nie udzielaniem informacji”.

Wybuch w Czernobylu potwierdził, jak potężną siłą jest całkowita kontrola informacji. Dlatego też tak usilnie i starannie się ją gromadzi. Doskonalem przykładem „troski o informację” były dwie konferencje prasowe, jakie odbyły się w Moskwie niemal w tym samym czasie. 6-go maja, dziesięć dni po katastrofie, sześciu sowieckich urzędników odpowiadało na pytania dziennikarzy tak sprytnie, że udało im się nie powiedzieć niczego ponad to, co i tak już było wiadome. 28 kwietnia zorganizowano konferencję prasową, na której wystąpił Oleg Tumanow, „człowiek o niełatwym losie”, jak go wzruszająco nazwał komentator polityczny TASS-a. Dwadzieścia lat wcześniej Tumanow, marynarz floty wojennej, skoczył w Morze Śródziemne i wynurzył się aż w Londynie, w Radio „Swoboda”. Dwa miesiące temu naczelny redaktor rosyjskiej sekcji Radio „Swoboda” zniknął w Monachium i wynurzył się w Moskwie.

Mniej więcej dziesięć lat temu w Moskwie, Warszawie i Pradze zwoływano konferencje prasowe, na których pokazywano „kaptanów”, którzy z dumą opowiadali, jak „przeniknęli” do monachijskiej radiostacji i co tam zobaczyli. Od niedawna KGB wprowadziło nową modę: na konferencjach prasowych pokazuje się „uciekinierów”. W spektaklach KGB wystąpili już Oleg Bitow, Jurij Wierczenko, Swietłana Stalin. Teraz przyszła kolej na Tu-

manowa. Każdy z nich mówi to samo, co przed nimi opowiadali „kapitanowie”, tyle że dziś wygląda to jeszcze śmieszniej. Nie zapominajmy jednak, że ta forma dezinformacji ma podważać zaufanie do zachodnich radiostacji. Jeśli porównamy, ile miejsca prasa sowiecka poświęciła obu wspomnianym wyżej konferencjom prasowym, łatwo się przekonamy, że walka z Radiem „Swoboda” jest w oczach sowieckich propagandystów zadaniem nieporównanie ważniejszym aniżeli likwidacja skutków katastrofy w Czernobyli.

Czasopismo *Sputnik*, ukazujące się w Moskwie w wielu językach, drukowane na świetnym papierze (w Finlandii), opublikowało w majowym numerze 1986 artykuł pod filuternym tytułem „Czym zajmuje się KGB?”. Artykuł zaczyna się w tonie lirycznym: „Niewielu ludzi w dzisiejszym świecie nigdy nie słyszało o KGB”. Nie wszyscy jednak — daje do zrozumienia autor — słyszeli o KGB same dobre rzeczy. A to niesprawiedliwe, to wręcz boli współpracowników „o gorących sercach i zimnych rękach”, jak lubił mawiać Feliks Edmundowicz. Jest to szczególnie przykre dlatego, że — jak oświadcza autor artykułu — „bezwzględne przestrzeganie praworządności zawsze było naczelnym wymogiem ich pracy”. Praca ta polega przede wszystkim na zbieraniu informacji o wrogach.

Jak wiadomo — sowieckim ludziom powtarza się to od świtu do nocy — plan jest istotą życia, a wykonanie planu najwyższym obowiązkiem. To samo mówiono robotnikom z Czernobyli. Niedawno pojawiły się w Związku Sowieckim po raz pierwszy skargi na zbytne przekraczanie planów. Chodziło o plan zdobywania informacji. Anonimowe listy-donosy zawsze były jedyną „bronią proletariatu” w ZSSR. Donosicielstwo sprzyja i warunki życia, i władze. Nie poszły w niepamięć słowa tow. Stalina: „Jeśli informacja zawiera 5% prawdy, jest nam potrzebna”. Fala donosów przybrała dawno nie widziane rozmiary po objęciu władzy przez Andropowa, który zaczął „wojnę z korupcją”.

Sowiecka literatura „epistolarna” ma pewną cechę szczególną: list ze skargą na niesprawiedliwość wyrządzoną autorowi listu z reguły wsuwany jest pod sukno, natomiast list z donosem na sąsiada albo naczelnika zawsze wzbudza żywe zainteresowanie organów i pociąga za sobą śledztwo. Władimir Bukowski opisał w swych wspomnieniach, jak zablokował całą maszynę sowiecką, zorganizowawszy w więzieniu wladimirskim setki listów więźniów ze skargami na służbę więzienną. Władze musiały w końcu zaspokoić niektóre żądania więźniów, żeby przerwać potok skarg, które musiały rozpatrywać. Coś podobnego dzieje się widocznie w skali całego Związku Sowieckiego. Pod sam koniec ubiegłego roku do kodeksu karnego RSFSR wprowadzono poprawkę, mianowicie karę dla „anonimowych oszczerców”, oraz nowy artykuł (139¹) dla „tłumiciele krytyki”. Prowadzący sowieccy postanowili ukrócić potok skarg i donosów, grożąc ich autorom karą. Według sowieckich reguł gry każda organizacja ma obowiązek rejestrować każdy anonim: „AN Nr ...”. Jest zupełnie jasne, że sprawdzenie anonimowego listu jest bardziej pracochłonne ani-

żeli sprawdzenie podpisanego donosu, skoro trzeba dodatkowo wykryć nazwisko autora. Wobec obfitości podpisanych donosów anonimy stanowią mały odprysk, ale sowieccy obywatele nie mają ochoty zrezygnować z tej wygodnej broni. 4 września 1985 *Literaturnaja Gazeta* ogłosiła artykuł pt. „Jak leczyć chorobę anonimów”. Czytelnicy natychmiast zareagowali. 29 stycznia 1986 gazeta podsumowała sprawę: dwie trzecie autorów listów stanęło w obronie „uczciwych anonimów”, tzn. ludzi, którzy skarżą się na przełożonych, ale boją się podpisać. Jak napisał autor jednego z listów, z otwartą przyłbicą oskarżać przełożonych to tyle co iść z toporem na czołg. Prowadzący starają się rozwiać obawy sowieckich obywateli, wprowadzając również kary dla „tłumiciele krytyki” (art. 139¹). Że nie będą to przelewki, ma dowodzić artykuł 139, przewidujący kary za „odmowę przyjęcia do pracy lub za zwolnienie ciężarnej kobiety lub karmiącej matki”.

Dyskusja o walce z „anonimami” raz jeszcze potwierdza naczelną zasadę sowieckiego państwa: informacja jest szalenie ważna, ale tylko wtedy, kiedy jest do kontrolowania.

Trudno uznać za przypadek mianowanie (które *Prawda* nazywa wyborem) generała Nadżiba generalnym sekretarzem afgańskiej kompartii. Od 1980 do grudnia 1985 roku generał Nadżib był szefem służby bezpieczeństwa Afganistanu, afgańskiego KGB — ChAD. Niezadowolony z Babraka Karmala, który nawet przy pomocy armii sowieckiej nie zdołał przekształcić Afganistanu w normalne socjalistyczne państwo, dawno już można było w Moskwie wyczuć. Zastąpienie nieudanego Karmala młodym (39 lat) utalentowanym czekistą jest logiczne. Specjaliści twierdzą, że ChAD jest jedyną wydajnie pracującą organizacją w Afganistanie.

W grudniu 1985 roku ukazała się w Moskwie w nakładzie dwu milionów egzemplarzy powieść Kima Sielichowa „Niewypowiedziana wojna”, poświęcona wyczynom afgańskiego wywiadowcy. Streszczenie powieści jest zarazem programem afgańskiego KGB: tajna działalność w Pakistanie, agitacja wśród plemion pasztuńskich, werbowanie mułłów na agentów, bliska współpraca z KGB i armią sowiecką. Nie jest przypadkiem, że w biografii Nadżiba, ogłoszonej w *Prawdzie* 6 maja, wspomniano, że jest narodowości pasztuńskiej. W biografii Babraka Karmala nie wspomniano o jego przynależności plemiennej.

Zanim generał Nadżib objął stanowisko generalnego sekretarza partii, opuścił stanowisko szefa bezpieczeństwa i wszedł w skład sekretariatu KC. Powtórzył w ten sposób manewr Andropowa. Można oczywiście twierdzić, że „KGB wzięło w swoje ręce władzę w Afganistanie”. Byłoby to jednak nieściśle. W artykule „Czym zajmuje się KGB?” powiedziane jest wyraźnie: „Dobór współpracowników, weryfikacja ich cech ludzkich, ich dojrzałości politycznej i aktywności obywatelskiej — odbywa się po linii partyjnej”. Jakakolwiek furazerkę przywdzieje generalny sekretarz, generalską czy czekistowską, zawsze wyziera spod niej szary kapeluszy przywódcy partyjnego.

Adam KRUCZEK

Federalnej realizuje PRL za gotówkę, 15 % w oparciu o kredyty krótkoterminowe, a zaledwie 5 % o kredyty dłuższe. Ciągłe nie jest wyjaśniona sprawa spłaty przez PRL długu w wysokości 330 mln marek, pozostającego z kredytu zaciągniętego w Bonn aż 11 lat temu. Zależać może od tego realizacja gwarancji kredytowych, uzyskanych ostatnio w Bonn przez wicepremiera Szałajdę (100 mln marek). Misję nad Renem określił Orzechowski jako „oczyszczanie przedpola”. A więc ciągle nic konkretnego. ■ Zachodnioberliński *Pogład* informuje, że największą grupą narodowościową w więzieniu Stammheim k/Stuttgartu, gdzie zwykle toczą się procesy niemieckich terrorystów, są Polacy. Jest ich podobno tam aż 300 (30 % ogólnej liczby więźniów). Pewien polityk zachodniemiecki stwierdził nawet publicznie, że właśnie Polacy są grupą narodowościową, której przedstawiciele najczęściej wchodzi w konflikt z prawem. ■ *ARD* — największa niemiecka rozgłośnia radiowo-telewizyjna — przyznała tegoroczną nagrodę w ramach *Fundacji im. Kurta Magnusa* parze dziennikarzy polskich, Jadwidze Zeleszkiewicz i Wacławowi Stawnemu, którzy od ponad trzech lat współpracują z zachodnioberlińską rozgłośnią *Sender Freies Berlin (SFB)*. ■ Spotkanie z pisarzem Stanisławem Bieniaszem (*Ostry dyżur, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1984*) zainaugurowało cykl spotkań autorskich w kolońskiej księgarni *WAWEL*. Monachijska oficyna *Hanser-Verlag* wydała zbiór esejów Adama Zagajewskiego pt. *Solidarität und Einsamkeit (Solidarność i samotność)*. Eseje przełożył Olaf Kühl. Szkoda, że książka nie została opatrzona niezbędnymi dla niemieckiego czytelnika przypisami. ■ W monachijskiej *Akademii Sztuk Pięknych* (rezydencja Wittelsbachów) odbył się wieczór autorski Kazimierza Brandysa i Adama Zagajewskiego. Polskich pisarzy powitał znany poeta i prozaik Horst Bienek (pochodzi z Gliwic). Sylwetki Brandysa i Zagajewskiego przedstawił Karl Dedecius, znany tłumacz i dyrektor *Institutu Literatury Polskiej (Deutsches Polen-Institut)*. ■ Tranzyt drogą morską na linii Kaliningrad-Rugia (NRD), z celowym pominięciem Polski, nie funkcjonuje. Od kilku miesięcy statki NRD szukają możliwości rozładunku w polskich portach. W I kwartale bież. roku przeładowano w polskich portach dla NRD 130 tys. ton towarów (w całym 1985 roku przeładowano zaledwie 201,5 tys. ton). Obecnie technicy z Polski i NRD pracują intensywnie nad możliwościami szybkiego rozwoju, ujednoczenia urządzeń i modernizacji portów. Zachodni eksperci twierdzą, że Polacy starają się o poważne zmniejszenie kontyngentu eksportowanych statków do Związku Sowieckiego.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika ukraińska

Przymusowa rusyfikacja Ukrainy, zaostrzona w okresie władzy Breżniewa, nie ustaje również przy Gorbaczowie. Wydaje się nawet, że się nasila. Trwa systematyczne wypieranie języka ukraińskiego ze szkół, urzędów, nauki i sztuki. Doszło do tego, że ostatni XXVII Zjazd Ukraińskiej Partii Komunistycznej, który odbył się na początku lutego, był prowadzony wyłącznie po rosyjsku. Nieomal wszystkie wydawnictwa naukowe ukazują się w języku rosyjskim. Ograniczono do minimum kontakty naukowe Kijowa i Lwowa z zagranicą, podobnie jak zaostrzono izolację Ukrainy w dziedzinie kultury i sztuki. ■ Emigracja ukraińska przeżywa dwie tragedie: zamęczenie poety Wasyla Stusa na katordze i wydanie marynarza ukraińskiego

Myroslawa Medwidia przez władze amerykańskie kapitanowi statku sowieckiego „Marszałek Koniew”, z którego Medwid' na początku listopada 1985 na próżno usiłował zbiec, skacząc dwukrotnie do Mississipi. Dwa razy go wyłowiono i dostarczono pod eskortą na pokład transportowca, który przybył po kolejne dostawy pszenicy amerykańskiej dla ZSSR. Władze lokalne a następnie federalne usiłowały twierdzić, że Medwid' nie prosił o azyl. Przeczą temu zapewnienia zaprzysiężonej tłumaczki, Iryny Padoch z Nowego Jorku, która zaświadczyła, że marynarz błagał o pozostanie w Stanach Zjednoczonych. Pochodzący spod Sokala Ukrainiec ma zresztą rodzinę w USA, Paraskawiję Medwid'-Jezierską w miejscowości Parma w stanie Ohio. Wraz z córkami Marią Fylypowycz i Anną Kent zaskarżyła ona władze amerykańskie o „zbrodnię przeciwko ludzkości”, ale decyzją Sądu Apelacyjnego w Waszyngtonie skargę oddalono, motywując tę decyzję m.in. tym, że „jest to sprawa szalenie delikatna politycznie i dotyczy sedna naszych stosunków zagranicznych”. W ukraińskiej diasporze panuje przeświadczenie, że Medwidia rozświecono w imię kompromisu z Gorbaczowem przed konferencją w Genewie. ■ Celem przełamania muru obojętności w społeczeństwach Zachodu Towarzystwo Obrony Praw Ludzkich na Ukrainie ogłosiło 10 listopada 1985 płatne całonocne ogłoszenie w *New York Times* i e ze zdjęciami i krótką notą biograficzną ukraińskich intelektualistów z Helsińskiej Grupy, którzy zginęli w łagrach w ostatnim okresie. ■ W Monachium odbył się 14 lutego br. pogrzeb seniora ukraińskiej demokracji, Lubomyra Makaruszki. Urodzony w 1899 roku w rodzinie znanych działaczy i pedagogów, należał do liberalno-konserwatywnej partii UNDO. Z jej ramienia był posłem do Sejmu w latach 1930-1935. W swoim czasie rozmawiał z Walerym Sławkiem, który na zarzuty Makaruszki dotyczące fatalnej polityki sanacji odpowiedział: „Ja to wszystko rozumiem, ale jestem bezsilny”. Po wojnie Makaruszka był członkiem ukraińskiego rządu emigracyjnego, czyli Komitetu Wykonawczego Ukraińskiej Rady Narodowej. Później, stojąc na czele Banku dla Uchodźców, prowadził szeroką akcję charytatywną. Pomógł w ten sposób wieloletniej rzeszy uchodźców w ustabilizowaniu egzystencji na terenie powojennej Niemiec. ■ W Stanach Zjednoczonych zmarł w wieku 74-ech lat Antin Drahan, były długoletni redaktor naczelny nowojorskiego dziennika *Swaboda*. Pochodził z Hołoszowa nad Dniestrem. Napisał kilka książek na tematy historyczne z najnowszych dziejów, m.in. o ukraińskim Katyniu, czyli o masowych grobach pod Winnicą. Córka zmarłego kieruje od lat ukraińską redakcją *Głosu Ameryki* w Waszyngtonie. ■ Ukazujące się od kilku lat pismo *Ukrajński Wisti* w Detroit obchodziło 19 listopada 1985 swoje czterdziestolecie. Był to, i jest nadal, organ prasowy emigracji naddnieprzańczej, tzw. Reichskomisarjatu Ukrainy. Przez długie lata tygodnik ten wychodził w Nowym Ulmie w Niemczech Zachodnich. Politycznie gazeta reprezentuje poglądy Ukraińskiej Partii Rewolucyjno-Demokratycznej, która powstała pod egidą nieżyjącego już pisarza i b. więźnia stalinowskiego, Iwana Bahrianego. Bahrianij był zaprzyjaźniony z *Kulturą*, którą często odwiedzał i gdzie opublikował kilka artykułów.

Jurij CZORNOMORSKYJ

Kronika kulturalna

Hitlerowska ustawa o szkołach wyższych

*Wir müssen wissen
Wir werden wissen*

Napis na grobie Dawida Hilberta

W historii i rozwoju fizyki szalone lata dwudzieste i trzydzieste naszego stulecia były niezwykle aktywne i twórcze. Dokonane wtedy odkrycia otwarły nowe, zupełnie wcześniej nieprzeczuwane horyzonty makro- i mikrokosmosu, odrzuciły naiwny materializm i determinizm, zrewidowały podstawowe idee czasu, przestrzeni, energii. Współbrzmiały one z rozkwitem innych nauk, technologii, architektury, sztuki. W tym samym czasie Europa wchodziła w tragiczny okres gwałtów, zbrodni i bezprawia, nie mający równego sobie w dziejach. Historyczna jednoczesność ogromnych dokonań ludzkiego rozumu i największych zbrodni jakie ludzie popełnili przeciwko ludziom musi zastanawiać i niepokoić.

Choć mój artykuł dotyczy bezpośrednio właśnie tej moralnej dwoistości lat poprzedzających wybuch wojny, jego cel jest daleko skromniejszy. Opisuję w nim jedynie, jak ustawy wydane przez rząd kanclerza Adolfa Hitlera doprowadziły do upadku niemieckiej nauki¹.

Ograniczam się do jednego przykładu — uniwersytetu w Getyndze. Nie przedstawiam szerszego tła wypadków, szalejącego w Niemczech antysemityzmu, polityki międzynarodowej. Opisuję tylko ustawy i ich skutki.

1. Obszerną bibliografię tematu znaleźć można w A. D. Beyerchen: *Scientists under Hitler*, Yale University Press, New Haven 1977. Nowsze prace wymienione są w R. E. Rider: *Alarm and opportunity. Emigration of mathematicians and physicists to Britain and the United States, 1933-1943*. „Historical Studies in Physical Sciences”, vol. 15, 1984.

Hitler wierzył w skuteczność przemocy, siłę demagogii, społeczną dyscyplinę. Jego ideałem był dyktatorski rząd, jednopartyjne państwo narodowe i posłuszne społeczeństwo: *ein Volk, ein Reich, ein Führer*. Czuł odrazę do intelektualistów, gardził wykształceniem. W *Mein Kampf* pisał: „Osoba mało wykształcona lecz obdarzona silnym charakterem, stanowczą wolą i zdolnością decydowania więcej warta jest dla ludzkości niż fizycznie zdegenerowany, niezdecydowany, tchórzliwie pacyfistyczny osobnik”. Kierowany tą odrazą, antysemityzmem oraz obawą, w dużej mierze usprawiedliwioną, że niemieccy intelektualiści nie poprą jego polityki, Hitler prawie natychmiast po dojściu do władzy drastycznie ograniczył autonomię wyższych uczelni, a pracowników politycznych, rzeczywistych i wymagowanych, usunął z uniwersytetów i akademii. W ciągu kilku lat uczelnie zostały całkowicie podporządkowane polityce partii. Spowodowało to katastrofę: nieomal natychmiast niemiecka nauka straciła swoją, wiodącą wówczas, światową pozycję. Straty wojenne były o wiele mniej dotkliwe niż to, czego dokonały ustawy i spowodowana nimi masowa emigracja. Dość wspomnieć, że dwunastu laureatów nagrody Nobla z fizyki, chemii i medycyny opuściło Niemcy już w pierwszym roku działania nowych zarządzeń, ośmiu dalszych przed wybuchem wojny i tylko jeden podczas jej trwania².

Hitler został kanclerzem 30 stycznia 1933 roku. Jednym z pierwszych aktów prawnych wydanych przez jego rząd była ogłoszona 7 kwietnia 1933 roku ustawa o urzędnikach państwowych. Zredagowana przez ministra spraw wewnętrznych Wilhelma Fricka, miała przede wszystkim na celu usunięcie Żydów z administracji państwowej oraz zapewnienie absolutnej lojalności urzędników wobec reżimu. Jej dwa zasadnicze punkty głosiły, że urzędnikami państwowymi nie mogą być osoby niearyjskiego pochodzenia oraz takie, których poprzednia działalność polityczna nie gwarantuje, że będą one zawsze i bez zastrzeżeń służyć nowemu państwu. Na życzenie prezydenta Paula von Hindenburga z aryjskiego paragrafu zwolnieni byli weterani wojenni, jeśli utracili na wojnie ojca lub syna oraz osoby pozostające na swym stanowisku od 1 sierpnia 1914 roku. Suplement z 11 kwietnia 1933 roku wyjaśniał, że za osobę niearyjskiego pochodzenia należy uznać każdego, kto miał choć jednego żydowskiego (tzn. wyznającego „żydowską religię”) przodka w pierwszym lub drugim pokoleniu. Wprowadziło to problem częściowych Żydów, roz-

2. 11 spośród nich otrzymało nagrodę Nobla po wyjeździe z Niemiec. Ogółem opuściło Niemcy 440 matematyków i fizyków. Kobiety stanowiły 2% tej liczby. 183 wyemigrowało do USA, przyczyniając się do rozwoju nauki amerykańskiej, zwłaszcza fizyki. Gdy w roku 1974 pracowałem na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, miałem wśród swoich kolegów dwóch niemieckich laureatów nagrody Nobla, dawnych emigrantów.

strzygnięty ostatecznie w Ustawach Norymberskich ogłoszonych 15 września 1935 roku, które uznawały za Żyda dziecko obojga żydowskich rodziców. W przypadku gdy tylko jedno z rodziców było żydowskiego pochodzenia, za Żyda uznawano wnuka co najmniej trojga żydowskich przodków, a gdy ich było tylko dwoje, osobę, której współmałżonek był Żydem lub osobą wyznającą żydowską religię. Ustawy Norymberskie znosiły też wspomniane wyżej, wprowadzone przez Hindenburga wyjątkowe traktowanie weteranów wojennych.

Ustawodawcy nie pozostawili żadnych wątpliwości, że nowe zarządzenia stosują się w całej rozciągłości do profesorów i docentów. Nowelizacja z dnia 6 maja 1933 roku uznała za urzędników państwowych nie tylko profesorów, ale także docentów prywatnych, *Privatdozenten*, którzy w ogóle nie otrzymywali państwowych pensji.

W roku 1933 nie było jeszcze ogólnoniemieckiego ministerstwa oświaty. Ministrowie zajmujący się oświatą w poszczególnych *Landach* otrzymywali instrukcje bezpośrednio z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Berlinie. Działacz partyjny, a z zawodu nauczyciel szkół podstawowych, Hans Schemm, został ministrem nauczania i kultury Bawarii w marcu 1933 roku, po zdominowaniu rządu Bawarii przez partię. Schemm należał do partyjnego betonu. Otwarcie deklarował w swych przemówieniach i artykułach w *Nationalsozialistische Lehrerzeitung*, partyjnym piśmie dla nauczycieli, które założył i redagował, że w szkołach i na uniwersytetach nie należy ani dyskutować, ani nawet wspominać różnych punktów widzenia i opinii, a tylko i wyłącznie przedstawiać aktualne stanowisko partii. Oto, co powiedział na zjeździe profesorów w Monachium: „Dziś problemem nie jest, czy coś jest prawdziwe, lecz czy jest zgodne z duchem rewolucji narodowo-socjalistycznej”. Pruskim ministrem oświaty był Bernhard Rust, także nauczyciel i działacz partyjny. Uważano go powszechnie za pragmatyka i liberała, ponieważ oświadczył kiedyś publicznie, iż „bez wolności intelektualnej i intelektualnego współzawodnictwa Niemcy nie będą mogli kroczyć drogą postępu”. Była to jednak deklaracja bez pokrycia, gdyż w praktyce minister stosował zupełnie inne reguły. 28 października 1933 roku ogłosił, że sam będzie mianował rektorów pruskich uniwersytetów, odbierając tym samym prawo ich demokratycznego wyboru senatom.

Rozgrywki pomiędzy liberałami a partyjnym betonem śledzone były z uwagą przez niemieckie środowisko naukowe. W istocie, jak pokazała niedaleka przyszłość, nie miały one żadnego znaczenia, gdyż zarówno liberałowie jak i beton dążyli do tego samego celu — nieograniczonej władzy partii. Liberał Rust został zresztą mianowany ministrem w utworzonym wiosną 1934 roku ogólni-

niemieckim Ministerstwie Oświaty. Oto, w skrócie, wprowadzone przez jego ministerstwo reformy, oparte o dwie kardynalne zasady: paragraf aryjski i podporządkowanie działalności uniwersytetów kierowniczej roli partii (*Gleichschaltung*).

Wydane w grudniu 1934 roku zarządzenie wprowadziło kryteria polityczne jako warunek nadawania habilitacji, to znaczy stopnia naukowego uprawniającego do wykładania na uniwersytetach. Od kandydata do habilitacji wymagano odąd „dobrego charakteru”, czyli w praktyce posłuszeństwa wobec linii partii. Ustawa z dnia 3 kwietnia 1935 roku przyznawała rektorowi tytuł *Führera* uniwersytetu. Był on mianowany, podobnie jak prorektorzy i dziekani, przez ministra. Profesorowie i docenci, zebrani w ciało nauczające, czyli *Dozentenschaft*, podlegali, tak samo jak studenci zebrani w *Studentenschaft*, bezpośrednio rektorowi. Przedstawiciele obu ciał mianowani byli przez ministra. Ministerstwo kontrolowało także drobiazgowo fundusze i codzienny budżet uniwersytetów.

Poprzez manipulowanie Ministerstwa Oświaty Rzeszy kanałami partyjnymi, ogromny wpływ na życie uczelni wywierały wojsko i SS. Heinrich Himmler z dumą pisał o „towarzyszach z SS” pracujących w ministerstwie. Jeden z tych towarzyszy, SS-man Otto Wacker, kierował wydziałem zajmującym się szkołami wyższymi. Jego zastępca Rudolf Mentzel, z wykształcenia chemik, popierany przez wojsko i SS, objął stanowisko swego szefa w roku 1939 i utrzymał je aż do końca wojny. Mentzel był w dużej mierze osobiście odpowiedzialny za szczegóły polityki ministerstwa wobec matematyki i fizyki — dwóch dziedzin dotkliwie spustoszonych przez nowe ustawy i zarządzenia. Najbardziej dramatyczne straty poniosły słynne Instytuty Matematyki i Fizyki Uniwersytetu w Getyndze.

Uniwersytet w Getyndze powstał w roku 1736, założony, pod nazwą *Georg-August Universität*, przez króla Anglii i jednocześnie elektora hanowerskiego, Jerzego II. Niezwykła na owe czasy wolność i swoboda nauczania szybko przyniosła owoce. Uniwersytet w Getyndze stał się jeszcze w XVIII wieku jednym z najważniejszych ośrodków światowej matematyki. Przez prawie pół wieku (1807-1855) był jego profesorem Carl Friedrich Gauss, uważany z Euklidesem i Newtonem za najgenialniejszego matematyka wszystkich czasów, a przez współczesnych zwany *principes mathematicorum*. Profesorami *Georg-August Universität* byli także Dirichlet, Riemann, Klein, Nerst, Lorentz, Poincaré, Sommerfeld, Planck, Heisenberg. Byli oni najwybitniejszymi twórcami w swych czasach, a ich odkrycia weszły na stałe do dorobku fizyki i matematyki.

Spis wykładowców Instytutów Matematyki i Fizyki Uniwer-

sytetu w Getyndze w zimowym semestrze roku akademickiego 1932/1933 czyta się jak indeks do monografii historii nauki. Na pierwszym miejscu wymienić trzeba Dawida Hilberta³. Głównie dzięki niemu Uniwersytet w Getyndze był wówczas najpoważniejszym w skali światowej ośrodkiem myśli matematycznej. Monumentalne prace Hilberta obejmują wiele działów czystej matematyki: teorię niezmienników algebraicznych, podstawy geometrii, rachunek wariacyjny i całkowy. Do analizy funkcjonalnej Hilbert wprowadził pojęcie przestrzeni noszących dziś jego imię i teorię spektralną operatorów liniowych. Zajmował się także podstawami matematyki, to znaczy logiczną strukturą systemów aksjomatycznych. Ogłoszone przez niego w roku otwierającym nasze stulecie słynne *23 problemy dla matematyków XX wieku* do dziś przykuwają uwagę i są przedmiotem głębokich studiów.

Hilbert interesował się także fizyką. Znane jest jego żartobliwe powiedzenie: „Fizyka jest o wiele za trudna dla fizyków”. Ogromny sukces metod aksjomatycznych stosowanych przez Hilberta w jego badaniach matematycznych skłaniał go do myśli o aksjomatyzacji fizyki. W istocie sześć spośród jego *23 problemów* dotyczy tej właśnie idei. Hilbert samodzielnie wykładał w Getyndze wiele działów fizyki teoretycznej i zorganizował seminarium, zwane *Göttinger Gastwoche*, na które zapraszał najwybitniejszych fizyków. Osiągnięcia Hilberta i jego kolegów matematyków w rozwijaniu fizyki były liczne i spektakularne. Sam Hilbert, o czym rzadko się pamięta, wyprowadził podstawowe w ogólnej teorii względności równania pola kilka dni wcześniej, niż zrobił to Albert Einstein⁴. Kontakty między fizykami i matematykami w Getyndze były liczne i ścisłe. Od tamtych czasów do dzisiaj kilka pokoleń fizyków używa doskonałej monografii, *Methoden der mathematischen Physik*, napisanej przez Hilberta wspólnie z innym getyńskim matematykiem, Richardem Courantem⁵. Courant był nie tylko wybitnym matematykiem, lecz także utalentowanym administratorem. Pełnił obowiązki dyrektora administracyjnego Instytutu, a dzięki jego inicjatywie i staraniom uniwersytet otrzymywał niemałe fundusze od Fundacji Rockefellera. W Getyndze działali także inni wybitni matematycy: Herman Weyl, znany ze swych prac nad teorią względności oraz podstawami matematyki, Emmy Noether, autorka ważnych twierdzeń w dziedzi-

nie algebry i jej podstaw aksjomatycznych⁶ oraz Edmund Landau, specjalista w teorii liczb. Był on, obok Weyla i Hilberta, jednym z czterech dyrektorów Instytutu.

Równie utalentowani byli pracujący w Getyndze fizycy. Max Born⁷, dyrektor Instytutu Fizyki Teoretycznej i późniejszy laureat nagrody Nobla, był jednym z twórców współczesnej fizyki. Jego kolega Walter Heitler napisał wybitne prace z elektrodynamiki kwantowej i zastosowania mechaniki kwantowej w chemii, bardzo przyczyniając się do rozwoju tych dziedzin. Asystentem Borna był węgierskiego pochodzenia fizyk Edward Teller, który później wraz z polskim matematykiem Stanisławem Ulamem odegrał kluczową rolę w skonstruowaniu amerykańskiej bomby wodorowej, a obecnie jest jednym z najbardziej elokwentnych rzeczników planu prezydenta Ronalda Reagana, zmierzającego do wprowadzenia kosmicznych broni defensywnych. W Drugim Instytucie Fizyki dyrektorem był James Franck, laureat nagrody Nobla za prace nad potencjałami wzbudzenia (doświadczenie Francka-Hertza). Stworzył on tak zwaną getyńską szkołę fizyki atomowej. Franck podziwiany był za przenikliwą intuicję, pozwalającą mu na głębokie rozumienie podstaw fizyki, podobnie jak Born podziwiany był za mistrzowskie władanie formalizmem i chłodną ścisłość pedanta.

Wybitne indywidualności, atmosfera kultu nauki i sztuki, świetne tradycje, dokonywane w Getyndze doniosłe odkrycia, wreszcie urok tego małego, jednocześnie prowincjonalnego i kosmopolitycznego miasteczka pełnego zabytków i malowniczo położonego nad rzeką Leine sprawiały, że Getynga stała się w tych wspaniałych latach jedną z najświetniejszych stolic ludzkiego rozumu.

Wielu spośród getyńskich matematyków i fizyków było Żydami, w szczególności wszyscy uprzednio wymienieni prócz Hilberta i Weyla. Ten ostatni był ożeniony z Żydówką. Kiedyś, podczas ciężkiej choroby, Hilbert otrzymał transfuzję krwi. Ponieważ jej dawcą był Courant, w Getyndze żartowano, iż w żyłach jedyne aryjskiego profesora matematyki w mieście płynie żydowska krew. Takie żarty uchodziły w uniwersyteckim środowisku matematyków i fizyków Getyngi.

6. O znaczeniu jej prac niech świadczy fakt, iż wydana ostatnio książka o historii algebry, napisana przez wybitnego matematyka, wymienia Noether w tytule — B.L. van der Waerden: *A History of Algebra from al-Khwarizmi to Emmy Noether*, Springer-Verlag, Berlin 1984. Emmy Noether była pierwszą kobietą, która uzyskała stopień docenta na getyńskim uniwersytecie. Sprzeciwiali się jej nominacji profesorowie historii i filozofii, wskazując, że na uniwersytecie w Getyndze nie ma nawet profesorskiej toalety dla pań. *Nie sądzę, aby to miało znaczenie* — odpowiedział Hilbert — *w końcu jesteśmy uniwersytetem, a nie zakładem kąpielowym.*

7. M. Born: *My Life. Recollections of a Nobel Laureate*, Taylor & Francis Ltd., Londyn 1978.

3. C. Reid: *Hilbert*, Springer-Verlag, Berlin 1970. H. Weyl: *David Hilbert and His Mathematical Work*, Bulletin of the American Astronomical Society, vol. 50, 1944.

4. J. Mehra: *Einstein, Hilbert, and The Theory of Gravitation*, D. Reidel Publishing Company, Dordrecht 1974. W książce tej znaleźć można źródłowe informacje na temat zainteresowania fizyką wśród getyńskich matematyków.

5. C. Reid: *Courant in Göttingen and New York. The story of an Improbable Mathematician*, Springer-Verlag, Berlin.

Pierwszym zwiastunem zagłady była ordynarna kampania prasowa wymierzona przeciwko Albertowi Einsteinowi⁸. Największy uczony ówczesnych Niemiec uważany był przez partię za wroga numer jeden z powodu swego pacyfizmu, przywiązania do demokracji i syjonizmu⁹. Z chwilą dojścia Hitlera do władzy znacznie nasiliły się ataki partyjnej prasy na Einsteina. Einstein przebywał wówczas w Ameryce. Oświadczył, że nie wróci do rządzonych przez Hitlera Niemiec i publicznie ostrzegał przed niebezpieczeństwem hitleryzmu. W odpowiedzi władze skonfiskowały jego majątek, a następnie skazały go zaocznie na karę śmierci. Einstein był członkiem najbardziej prestiżowej instytucji naukowej w Niemczech, Pruskiej Akademii Nauk. 28 marca 1933 roku wysłał do Akademii pismem rezygnację. W przeddzień jej otrzymania pruski minister oświaty, któremu Akademia formalnie podlegała, wspomniany wcześniej Bernhart Rust, domagał się dyscyplinarnego usunięcia Einsteina z Akademii za rozpowszechnianie wiadomości godzących w żywotne interesy państwa. W przemówieniu wygłoszonym 1 kwietnia 1933 roku minister propagandy, dr Joseph Goebbels, nazwał krytykowanie przez Einsteina hitleryzmu „kampanią nienawiści”. Książki Einsteina zostały publicznie spalone 10 maja 1933 roku jako wrogi niemieckiemu duchowi.

Ustawa z dnia 7 kwietnia dotknęła bardzo matematykę i fizykę w Getyndze ponieważ, jak wspomnieliśmy, wielu z getyńskich profesorów było Żydami. Ustawa została ogłoszona podczas międzysemestralnej przerwy, gdy większość studentów i profesorów była na wiosennych wakacjach.

Born, Courant i Franck spotkali się pośpiesznie kilka razy, próbując uzgodnić wspólne działania. Z różnych powodów wszyscy byli zwolnieni z aryjskiego paragrafu, chodziło więc o moralny protest, a nie obronę uniwersyteckich pozycji. W końcu ich reakcje były indywidualne i bardzo różne.

Born zareagował ostro, natychmiast i publicznie. Był to krok odważny i samotny. Zdecydował ustąpić ze stanowiska dyrektora Drugiego Instytutu Fizyki oraz funkcji profesora. Napisał w tej sprawie list do ministra oraz do rektora. List posłał także do getyńskiej *Göttinger Zeitung* i *Vossische Zeitung* w Berlinie. Obie gazety opublikowały prócz listu przychylnie Franckowi artykuły wyrażające nadzieję, że zbyt pochopnie podjęte decyzje po-

8. Wśród wielu książek, które napisano o Einsteinie, szczególnie polecam krótką i rzetelną — B. Hoffmann: *Albert Einstein*, Granada Publishing (Paladin), Londyn 1975.

9. Mało znany jest fakt, iż Einstein był także wybitnym działaczem syjonistycznym. Napisał wiele artykułów popierających syjonizm, a w roku 1921 pomógł Chaimowi Weizmannowi, jednemu z twórców syjonizmu, w zebraniu w Ameryce milionów dolarów na potrzeby tego ruchu.

winny być w przyszłości zmienione. To oględne i ostrożne sformułowanie liberalnych gazet niemieckich mogło odnosić się równie dobrze do decyzji Francka, jak i do nowej ustawy. Zarówno list, jak i komentarze zostały szybko przedrukowane przez światową prasę. Stało się to pretekstem do rozpoczęcia przez Franckowi nagonki w partyjnych gazetach. Zarzucano mu, że artykuły zagranicznej prasy stanowią część antyniemieckiej kampanii i że jego rezygnacja była świadomą prowokacją wymierzoną przeciwko państwu. Musiało być to dla Francka, szczerego niemieckiego patrioty, który walczył na wojnie jako ochotnik i został dwukrotnie odznaczony krzyżem żelaznym, szczególnie bolesne. Mimo tej nagonki usiłował pozostać w Niemczech i pracować jako fizyk w innym mieście i instytucji. Włożył wiele wysiłku w te starania, ale z powodu sprzeciwu władz nie odniosły one żadnego skutku. Musiał emigrować. Gdy 27 listopada 1933 roku wsiadał do pociągu, peron nie mógł pomieścić wszystkich, którzy przyszli go pożegnać. Po roku pracy w Kopenhadze u Nielsa Bohra i trzech latach na amerykańskim Johns Hopkins University, został profesorem chemii fizycznej na uniwersytecie w Chicago. Jak wielu innych niemieckich emigrantów pracował w *Manhattan Project* w Los Alamos, gdzie skonstruowano pierwszą bombę atomową. Słynny *Raport Francka*, wystosowany przez grupę uczonych z *Manhattan Project* w czerwcu 1945, wzywający rząd USA do poniesienia użycia bomby przeciwko Japonii, wziął swą nazwę od jego nazwiska.

Reakcja Borna była odmienna. Postanowił, rezygnując z wszelkich publicznych protestów, natychmiast opuścić Niemcy. Skłoniło go do tego wiele powodów. Jego szlachetny i pełen rezerwy charakter połączony z przeświadczeniem, że uczeni powinni pracować w izolacji od spraw polityki, sprawiał, że trudno było mu zdecydować się na pisanie do prasy. Trzeźwo oceniał też sytuację. Miał przeciwko sobie nie tylko potężne państwo, ale także znaczną część społeczeństwa, a nawet środowiska akademickiego. Opanowany przez partię Wydział Rolny Uniwersytetu w Getyndze popierał antysemitkę politykę władz. Znaczył on więcej niż kilkunastu światowej sławy matematyków i fizyków. Antysemitka była też wpływowa organizacja studencka. 13 kwietnia Zrzeszenie Studentów Niemieckich ogłosiło kampanię przeciw „duchowi niegermańskiemu”. Żądano, aby niemieccy Żydzi ogłaszali swe prace po hebrajsku, aby studentów i profesorów myślących niezgodnie z duchem germańskim usuwać z uczelni, etc., etc. To właśnie Zrzeszenie Studentów Niemieckich zorganizowało publiczne palenie książek 10 maja 1933 roku. Born był bardzo zaprzyjaźniony z Einsteinem, w tym trudnym okresie wymienili wiele listów, bardzo pesymistycznie oceniając sytuację. W przeszłości Born odważnie i publicznie wspierał Einsteina w jego walce z nie-

mieckim antysemityzmem. Zupełna nieskuteczność i niewspółmierność ich akcji z tym, co działo się obecnie w Niemczech, przemawiała teraz za poniechaniem publicznego działania. Poważną rolę w decyzji Borna odegrało także jego wzięcie zdrowie. Tego samego dnia, w którym na stosach płonęły książki, Born opuścił Getyngę. Wyjechał wraz z rodziną do Włoch, aby przemyśleć sytuację. Zastanawiając się dokąd emigrować, po krótkim namyśle wybrał spośród wielu ofert uniwersytet w Cambridge. W lipcu 1933 roku, osłabiony niedawno przebytymi atakami astmy, z poczuciem ogromnej klęski, wyjechał do Anglii. O jego ówczesnym nastroju świadczy historia zapisana w autobiografii Georga Gamowa, wybitnego rosyjskiego fizyka, który zresztą sam był emigrantem¹⁰.

Omówmy jeszcze krótko na przykładzie dwóch fizyków spoza Getyngi, Wernera Heisenberga i Philippa Lenarda, postawy tych, którzy pozostali w Niemczech.

Heisenberg, laureat nagrody Nobla i odkrywca zasady nieoznaczoności, pozostał w Niemczech, aby ratować co się da z katastrofy. Nie było to łatwe. Fizyka niemiecka, spustoszona przez emigrację niemal wszystkich najlepszych, była w dodatku odcięta od świata. Zagraniczni goście rzadko pojawiali się na niemieckich uniwersytetach. Na międzynarodowe zjazdy naukowe wysyłano tylko osoby wytypowane przez specjalnie do tego powołane biuro współpracy naukowej z zagranicą, *Reichswissenschaftskongresszentrale*. Biuro to zabroniło kiedyś, na przykład, Heisenbergowi choćby wysłania referatu na konferencję odbywającą się w Warszawie. Biblioteki nie otrzymywały nawet podstawowego zestawu czasopism i książek. W roku 1937 debitu pozbawione zostało angielskie *Nature*, czołowe pismo naukowe świata. Kiedy w roku 1938 Walther Gerlach, wybitny specjalista fizyki atomowej, odwiedził na krótko Polskę, pisał z zazdrością do swych kolegów o doskonałym zaopatrzeniu biblioteki Uniwersytetu w Poznaniu: „Są tu nieomal wszystkie pisma zagraniczne, w dodatku ogromna ilość amerykańskich monografii, których u nas w Niemczech zupełnie nie znamy. Czytałem niektóre z nich przez całą noc i ogromnie boleję nad tym, że nie mamy tych książek, a także innych wydawanych obecnie za granicą”.

Heisenberg mylił się, sądząc, że jego wewnętrzna emigracja

10. G. Gamow: *My World Line. An Informal Autobiography*, The Viking Press, Nowy Jork 1970. Jest to świetna, żywo napisana książka, opowiadająca ustami naocznego świadka niekiedy wstrząsające, choć mało znane losy fizyków w Rosji Sowieckiej tuż po rewolucji i w latach terroru. Tragikomiczne przygody samego Gamowa, który usiłował wyrwać się z Kraju Rad, czyta się jak sensacyjną powieść. Gamow dobrze znany jest polskim czytelnikom z jego klasycznej w swym gatunku książki *Mister Tompkins w krainie czarów*.

pozwole mu na cichą pracę dla dobra przyszłych Niemiec. Partia żądała deklaracji lojalności, a na to Heisenberg nie mógł się zgodzić. Nie mógł zgodzić się także na potępienie prac Einsteina. Został ogłoszony „białym Żydem” i tylko dalekie pokrewieństwo z Himmlerem uratowało go przed narodowo-socjalistyczną praworządnością. W roku 1942 Heisenberg nieoczekiwanie objął posadę dyrektora w *Kaiser Wilhelm Institut* w Berlinie. Przez większość jego kolegów zostało to przyjęte jako kolaboracja i zdrada, co było z pewnością oceną zbyt surową. Subiektywnie pozostał człowiekiem nieskazitelnie uczciwym¹¹, obiektywnie jednak jego postępowanie mogło być ocenione jako dwuznaczne. Odwróciło się od niego wielu przyjaciół a Niels Bohr posądzał go nawet o współpracę z niemieckim wywiadem. Przykład moralnej klęski Heisenberga pokazuje, jak trudną decyzję musiało podjąć wielu niemieckich uczonych — albo opuścić ojczyznę, albo przynajmniej do pewnego stopnia współpracować ze zbrodniczym reżimem.

Philipp Lenard wybrał drogę całkowitej współpracy, sprzedał duszę diabłu. Właściwie oddał ją, nie otrzymując nic w zamian. Ten sędziwy już wówczas, bo ponad siedemdziesięcioletni laureat nagrody Nobla nie był tragicznym i budzącym grozę Doktorem Faustem, lecz raczej, by pozostać w kręgu postaci Tomasza Manna, komicznym i odrażającym Müllerem-Rosè. Jego pośpieszna usłużność w popieraniu reżimu wyobcowwała go zupełnie ze środowiska. Był obiektem powszechnej pogardy. Gardziły nim nawet obsypujące go publicznie zaszczytami władze. Wydaje się, że choć szczerze wierzył w partyjną ideologię, większe znaczenie miały sprawy czysto osobiste, szczególnie patologiczna niechęć do Einsteina, któremu zazdrościł światowego rozgłosu¹².

Powróćmy na koniec do Getyngi. Jedenastu spośród 34 matematyków i fizyków zatrudnionych na uniwersytecie w semestrze zimowym 1932/1933 podzieliło losy Francka i Borna — wyemigrowało. Większość pod przymusem, kilku z własnego wyboru. Odeszli wszyscy najlepsi: Courant, Landau, Weyl, Noether, Heitler, Teller. Instytut Borna został doszczętnie rozbity. Nikt nie ocalał, wszystkich wyrzucono z pracy. W opustoszałej Getyndze pozostał samotny Dawid Hilbert, jedyny aryjski profesor, w którego żyłach płynęła żydowska krew.

11. Jego żona wyjaśnia szlachetne intencje męża w pięknej, ciekawej i dojrze udokumentowanej książce. *E. Heisenberg: Inner Exile. Recollections of a Life with Werner Heisenberg*, Brikhauser, Boston 1984.

12. Przez szczególną przewrotność historii Lenard otrzymał nagrodę Nobla w roku 1905, tym samym, w którym młody, nikomu wówczas nieznan Einstein napisał pracę wyjaśniającą teoretycznie wyniki doświadczeń nad efektem fotoelektrycznym. Praca Einsteina udowodniła istnienie kwantów światła. Za nią właśnie, a nie za teorię względności, Einstein otrzymał w roku 1922 nagrodę Nobla. Autorem doświadczeń nad efektem fotoelektrycznym był ... sam Lenard.

„Jak rozwija się matematyka w Getyndze teraz, uwolniona nareszcie od żydowskich wpływów?” — zapytał go kiedyś uprzejmie liberalny minister oświaty Rust.

„Teraz...” — odpowiedział Hilbert — „teraz nie ma już żadnej matematyki w Getyndze”.

Marek Artur ABRAMOWICZ

Uderza podobieństwo ostatnich reform w PRL w dziedzinie wyższego szkolnictwa do zarządzeń Hitlera. Skutki już widać, jak np. prawdziwy exodus młodych uczonych nauk ścisłych. (Red.)

44-ch w galerii Bernanos

Na pierwszej karcie skromnego i jednocześnie eleganckiego katalogu wystawy polskiej grafiki, która odbyła się w lutym w Galerii Bernanos w Paryżu*, jej organizatorzy, młodzi historycy sztuki: Piotr Błoński i Tadeusz Koralewski, napisali między innymi: przy wyborze prac „kierowaliśmy się po prostu własnym gustem, własną wrażliwością; jeśli szukać w tym metody, to być może wynika ona z założeń PROCESSUS'A, miejsca spotkań i dyskusji o sztuce i artyście”. Dyskusja owa, niezależnie od rodzaju prac, techniki, wyrażanych idei, wieku artystów oraz szkół, do których należą, dotyczy kilku zasad:

- sprawności technicznej
i/lub
- wzbogacania środków technicznych
i/lub
- dążenia do oryginalności
i/lub
- kontynuowania tradycji
i/lub
- jej uzasadnionego odrzucania
i/lub
- refleksji, medytacji i zaangażowania wyrażanych w kształcie plastycznym oraz — sprawa to dla nas istotna — integralności artysty.

Czym jest „Processus”? Bezinteresowną inicjatywą artystyczną, mającą na celu jak najszersze wprowadzenie wartościowej sztuki polskiej do galerii francuskich? Ruchem mającym inicjować najrozmaitsze akcje plastyczne? Miejscem dyskusji o wartościach współczesnej sztuki? Myślę, że wszystkim jednocześnie,

że inicjatywy podejmowane przez Błońskiego i Koralewskiego są przedsięwzięciem oryginalnym i bardzo potrzebnym, a zorganizowana w paryskiej galerii Bernanos wystawa stanowi tego najlepszy dowód. Jak słusznie zauważyli organizatorzy, trudno na paryskiej wystawie szukać wspólnych mianowników. Znalazły się na niej prace zarówno artystów znanych i doświadczonych: Lebensteina, Gaja, Skórczewskiego, Cieślewicza, Wierusz, jak i młodych: Baranek, Morawetz, Sepioł, Sroki. O ile zatem trudno pokusić się o charakterystykę twórczości kilkudziesięciu wystawianych autorów i zgodnie z naturalną skłonnością naszego umysłu, szukać podobieństwa tam, gdzie króluje różnica, to podstawowe wrażenie wydaje się bezsporne: wrażenie bogactwa i różnorodności, swoistego nadmiaru form, kształtów, wyobraźni, barwy, stosowanych technik. Myślę, że ten nadmiar jest bardzo ważny i wielce znaczący.

Nadmiar bowiem w sposób bezpośredni, choć nienatarczywy, wiąże się z wolnością. Nie chodzi o wolność w rozumieniu polityka, ale o wolność wyobraźni, niepodległość wizji i fantazmatu, zbytek kształtów, wśród których artysta z nonszalancją, choć jednocześnie z natężoną uwagą, dokonuje wyborów i odkryć, prowadząc przygodę o nieprzewidywanym zakończeniu.

Wolność wyobraźni i nadmiar form artystycznych zależą w równym stopniu od bogactwa świata, jak od sposobów jego dostrzegania. Często się zdarza, kiedy w życiu ideologia zaczyna dominować nad ideami (jakakolwiek ideologia), że bogactwo świata dostrzegane jest w sposób zubożony, to znaczy nadmiar zastępuje monotonia, a bezinteresowną wielość spojrzenia — przymus technik, tonacji, barw, rysunku. Wydawać by się mogło, że na takie ograniczenie narażone są szczególnie kraje takie jak Polska, w której dominacja ideologii i chęć zredukowania wielości form życia i sztuki są aż nadto widoczne. Ale zapędy redukcyjne nie mogą się udać, dopóki sami artyści nie uwierzą, że świat jest szary i nijaki, i to przekonanie nie zdominuje ich sposobów wypowiedzi. Stwierdzenie to nie stosuje się tylko do artystów polskich, ale wszystkich twórców, którzy — chcąc nie chcąc — muszą przyjmować reguły gry narzucanej zarówno przez polityków jak i rynek: galerie, marszandów, obowiązującą modę, stereotypy odbioru. Tym, co w sposób oczywisty i bezpośredni narzuca się po obejrzeniu wystawy polskiej grafiki w galerii Bernanos, jest bezwzględna niezależność od wszelkich sposobów ograniczania sztuki. Z wystawionych prac emanuje radość kreacji, wolność jak w pierwszym dniu stworzenia.

Ta radość jest szczególnie wyraźna i szczególnie ujmująca na tle smutnego niekiedy przepychu, atakującego z wnętrza paryskich galerii, w których wiele prac, często wybornych pod względem warsztatowym, zdaje się jednak zbyt natarczywie poszukiwać kupca, a przynajmniej epatować widza chęcią przypodobania się za wszelką cenę. Większości prezentowanych na paryskiej wystawie grafik ta aura jest obca — jeśli atakują, to raczej swoją bezinteresownością. Jak napisali organizatorzy wystawy, domagają się niespiesznego kroku *flaneur'a*.

* 3-28 lutego 1986.

Owej bezinteresowności towarzyszy coś, co nieprecyzyjnie chciałbym nazwać dystansem do tradycji, który nie oznacza ani negacji, ani lekceważenia, lecz tylko umiejętność swobodnego poruszania się w dorobku sztuki i umiejętność przemyslenia osiągnięć najwybitniejszych artystów dawnych i współczesnych. Jeśli na przykład — pisał o tym Sławomir Kuchalski w katalogu wystawy — biblijne motywy w grafikach Walusiaka nawiązują do malarstwa flamandzkiego i niemieckiego, to charakter owego związku da się określić jako szczególny dialog z tamtą epoką, dialog wielokrotny i niejednoznaczny, w którym biorą udział partnerzy, a nie nauczyciel i kopista. Jeśli w pracach Lecha Twardowskiego obecna jest pamięć starożytnych fresków prześwietlona dziecięcą wyobraźnią, to głos autorski sytuuje się jako trzeci w rozmowie, nasyca grafikę niespodzianką, dynamiką. W podobnym sensie rozmową jest „Martwa natura z owocami” Macieja Haufy, „Podwójny tygrys” Agnieszki Dutki, delikatne grafiki Gabrieli Morawetz. Grafiki Małka, Kasperczyka lub Załęckiego operują anegdotą układającą się w niestałe fabuły, zależne od intencji oglądającego, prowadząc ze znanymi dziełami subtelną grę w chowanego.

Kilku z wystawionych artystów jest już znanych i uznanych. Wielu rozpoczyna dopiero karierę. Ale niezależnie od stopnia uznania i objętości autorskiej teki, paryską wystawę w galerii Bernanos charakteryzował poziom wyrównany i wysoki. Organizatorzy kierowali się podobnymi kryteriami jak prezentowani artyści: bezinteresowną rozrzutnością nadmiaru, która jest warunkiem wszelkiej wolności tworzenia. Z niecierpliwością czekam na kolejne przedsięwzięcia zorganizowane przez „L'Espace Pluri-dimensionnel PROCESSUS” — przestrzeni, w której pojawiają się rzeczy mądre, ważne i prawdziwie niezależne.

Krzysztof RUTKOWSKI

WYSTAWA „GRAFIKA”

„Malgré la diversité des styles
et des manières”

Corcosse

Te służące tutaj za motto pierwsze słowa wpisu, które zwiedzający zamieścił w księdze pamiątkowej wystawy „Grafika” wyrażają zapewne zdziwienie; i nie jest istotne, czy ten wpis był w zamierzeniu hołdem, bo trudno było tę wystawę opuścić z innym uczuciem.

„Grafika” otwierała bowiem okno na świat 44 polskich artystów, w różnym wieku, pokazujących dzieła wykonane różnymi technikami w rozmaity sposób, zresztą dzieła różnej jakości. Nie mogło więc obyć się bez „różnorodności stylów i rodzajów”, bez konfrontacji, czy nawet zderzenia.

Różnorodność, konfrontacja, przeciwstawienie, zderzenie, bo-

gactwo i wzajemne uzupełnianie się... Przy odrobinie dialektyki łatwo ująć swoje wrażenia w jakiś system. Ale czy tę wystawę miała za wszelką cenę cechować spoistość, jaką starają się nadać swym ścianom muzea sztuki współczesnej? *Espace Processus* to nie muzeum, i wystawy przezeń organizowane są posłuszne innym kryteriom. A skoro bierze się za wystawianie zbioru tak szerokiego, sądzę, że brak spoistości należy uznać za zaletę. Więc zapewnijmy techniki wystawianych dzieł — techniki graficzne — ale więc jakże względną! Wystarczy je wymienić: akwaforta, drzeworyt, miedzioryt, litografia, akwatinata, serigrafia, linoryt, monotypia, szablon na przemian w czerni i bieli, albo w kolorze.

Zadziwiająca zatem różnorodność technik, lecz także stylów: od klasycyzmu Lebensteina, historyzmu Walusiaka czy Bebla do przeróżnych modernizmów, czasem nieco wymuszonych, a kiedy indziej bardzo akuranych i rygorystycznych, jak u Sroki czy Korczowskiego. Ale darujmy sobie listę nazwisk. Cwiczenie to byłoby nader żmudne, tym bardziej, że wymagałoby znajdowania nowych kategorii dla każdego z wystawiających. Owszem, można przytoczyć kilka oczywistych źródeł inspiracji — do których wielu z nich jasno się zresztą przyznaje — ale nie chciałbym sądzić, że na tych inspiracjach przede wszystkim zasadzają się ich zalety: najogólniej nadrealizm, a w szczególności Chirico, by poprzestać na jednym przykładzie. Tymi inspiracjami artyści kierują się jednak na tyle swobodnie, ich pomysłowość jest na tyle bogata, że przytaczać je można jedynie dla anegdoty. Równie pomysłowo przetwarzany jest motyw chaosu, nagromadzenia konstrukcji, więźb, belek, beleczek, sitowia, pojawiający się u tak różnych twórców jak Gaj, Skórczewski, Morawetz, Hierowska, Janiak (włącznie z jej *Tratwą Meduzy*), Kasperczyk, Bienias, a który odnajdujemy, zaskoczeni, w pięknej akwatinie Sepioł, motyw, którego strukturalna przydatność dla kompozycji jest może jednak trochę zbyt oczywista, a osiągnąć efekt od dawna wysmakowany. Równie dobrze mógłbym przytoczyć powtarzalność poprzecznych cięć Strelnika, Kościelskiego, Strenta czy Załęckiego, równoważących czy też przeciwnie, burzących równowagę kompozycji; czy też drukarską niejako *mise-en-page* dzieł Kury, inspirowaną tablicami encyklopedii, i Tajbera, wywodzącą się z konceptualizmu... Ta lista także byłaby długa, a nie wykazywałaby nic prócz misternej a tradycyjnej staranności grafików w dziedzinie kompozycji. Ale: niektórych grafików, parających się niektórymi technikami. Nie byłoby wśród nich takich ważnych postaci jak Sroka, Korczowski, czy też Peplowski i Twardowski, których technika objawia — czy determinuje — wybór innego kierunku, bliższego malarstwu.

Nie chcę bynajmniej przeciwstawiać tutaj tych dwóch kierunków, dwóch sposobów rozumienia grafiki, z których jeden byłby puryzmem, a drugi dewiacją. Trzeba by wówczas pominąć równoległość eksperymentów Rutkowskiego, który z równym powodzeniem drąży w obu kierunkach, tak w brutalnym fechtunku mezzotint jak w wyrafinowanej delikatności akwatin. Trzeba by też pominąć Biela, precyzyjnego kreślarza scen jakże malarskich.

Zadziwiająca... Zadziwiająca, koniec końców, niemożność upodobania sobie stylu czy rodzaju, która powoduje nieuchronnie, że wyrażamy uznanie dla rzeczy tak od siebie odległych, jak twarde tłoczenia Kalczyńskiej i wymodelowane nad podziw szablony Peplńskiego, aroganckie kompozycje Sroki i abstrakcyjne pejzaże Sepioł.

„Mimo różnorodności stylów i rodzajów”, w wystawie „Grafika” nie należało szukać ani spójności, ani zbieżności. Zaproszenie na spacer, które wystosowali organizatorzy z *Espace Processus* adresowane było do widza samodzielnego, radzącego sobie bez opieki, bez cicerona, w szacunku dla nienaruszalności jego krytycznego smaku, który kiedy indziej fałszują mu wahania mody.

Zobaczyłem na tej wystawie, jak samoistnie rozwiewają się polemiki i konflikty, kiedy ścierają się same dzieła.

Jose DE LOS LLANOS

17 marca 1986

(Przełożył z francuskiego P.B.)

Anty-nekrolog Simone de Beauvoir

Pisząca te słowa jest poniekąd ofiarą Simone de Beauvoir, której „Mandarynów” przeczytała w wieku lat piętnastu, i która to powieść wywarła na niej duże, i szkodliwe wrażenie. Ale tak to jest, gdy dojrzeć się w Warszawie drugiej połowy lat pięćdziesiątych, gdzie Sartre był miernikiem wszelkich wartości literatury współczesnej, a jego „Mur” (oraz sztuki ogłaszane w *Dialogu*) były równie szokującym wtajemniczeniem, co „Mandaryni”. Musiało minąć wiele lat, bym otrząsnęła się z tych lektur i zadała sobie pytanie: co w nich dźwięczy fałszywie? Dlaczego teraz z dużą niechęcią oceniam dzieło Simone de Beauvoir? Trzeba trafiać, że mieszkam teraz w Paryżu w tej samej parafii, że się tak wyrażę, którą nieboszczka tak mi wryła w pamięć na długo przedtem, zanim pierwszy raz tu przyjechałam. Przechodzę obok „Deux Magots” obojętnie, bez nabożnego zdziwienia, że ona tam siadywała z Sartrem; mijam Brasserie Lipp bez zatrzymywania się. Jest w tym coś z cichej zemsty byłego podlotka, który został uwiedziony i oszukany. Cała ta wielkość bowiem wydaje mi się dziś mocno podejrzana.

W gruncie rzeczy oceniam jej książki — większość książek Simone de Beauvoir — surowo i bez młodzieńczych sentymentów jako kronikę towarzyską. Dziennik podróży. Relację o świecie widzianym przez szybę — samochodu albo własnych uprzedzeń. Teraz, gdy ponownie zaglądam do tych opastych tomów, już nie

jestem oczarowana snobizmem, wielkie nazwiska z wiekiem przestają robić takie wrażenie. Ileż ona napisała! Każde najbardziej trywialne przeżycie, każdy wyjazd daleko czy blisko został opisany. Kilka tygodni w Chinach — i już książka, „Długi marsz”. Wizyta w Ameryce, gdzie spotkała Nelsona Algrena — jedyne go bodaj konkurenta Sartre’a w jej sercu — i już książka, „Ameryka z dnia na dzień”. Simone de Beauvoir (1908-1986), można powiedzieć, była kronikarką swojego wieku, i to powinno się poczytywać jej za zasługę. Ale czy rzeczywiście swojego wieku — czy też siebie, swojego życia? Owszem, wynalazła pewien sposób na opisywanie siebie: zachowuje duży dystans. Stara się być opanowana i wyrozumiała; rzadko kiedy rejestruje silne stany emocjonalne. Płacze na stronicach swoich memuarów dostojnie i z umiarem. O Sartrze pisze zawsze „Sartre”. Byli ze sobą na „vous”. O sobie pisze jakby nie o sobie. Ale to pozory.

Jej książka „Siła rzeczy” — w typowym dla autorki rozmiarze 686 stronic — to kolejny tom autobiografii, po „Pamiętniku grzesznej panienki” i „Sile wieku”, ze wszech miar wart ponownego przeczytania, byle nie na kolanach. Simone de Beauvoir zaczyna opowieść od wyzwolenia Francji i ciągnie ją do początków lat sześćdziesiątych. Momentami po prostu cytuje swój dziennik. Książka jest w dużym stopniu uzupełnieniem „Mandarynów”. Zastanawiam się: po co dwa razy pisać o tym samym, raz w formie powieści z kluczem, tak przejrzyściej, że denerwują w niej te przebrania, a drugi raz w formie biografii własnej, i to w odstępie zaledwie niewiele ponad dziesięć lat? Ta autobiografia zawiera mnóstwo banalnych szczegółów bez żadnego znaczenia dla potomności: strzępy rozmów, opis posiłków na tarasach kawiarni, notatki z podróży, które dowodzą, że Simone de Beauvoir nie odznacza się przenikliwością i spostrzegawczością większą od reportera miernej klasy. A przecież autorką tego wszystkiego jest *la philosophe*, jak ją nazywano. Pióro biegnie szybko po papierze, zapisuje wszystko, bez żadnej hierarchii. Opis jest powierzchowny, bez kontemplacji; nigdy właściwie nie pada słowo „dlaczego”, podstawowe pytanie filozoficzne, co jest paradyksem w dziele najmłodszej absolwentki (miała wówczas 21 lat) filozofii w Ecole Normale Supérieure.

Pióro skwapliwie zapisuje wszystko, wszystko jest równie ważne: spotkanie z Fidelem na Kubie, spotkanie ze znajomymi w „Deux Magots”. Dlaczego również ważne? Bo przeżywa to „ja”. Tu wyłania się maskowana pycha literatów, przez Simone de Beauvoir ukryta pod habitem kronikarki. I jej autobiografia staje się w końcu książką telefoniczną ówczesnych znakomitości skrawka Paryża wokół Saint-Germain-des-Près oraz ich panteonu świętych.

Współredaktorka *Les temps modernes* dużo jeździła po świecie. Jej świat jest podzielony na prawo i na lewo, z tym że lewe, nie prawe, jest prawdziwą. Szlachetna goszyszka miała w gruncie rzeczy ustalone pojęcie o świecie i nie musiała nigdzie jeździć — niewiele to zmieniało jej światopogląd. Co w jej mniemaniu było złe *tu*, musiało być dobre *tam*, bo tego wymaga światopogląd

naukowy. Albo, w razie wydarzenia politycznego, wobec którego apologetyka już nie wystarczała — trzeba było podstawić nieco inny model rajy na ziemi. Jak nie Rosja to Kuba, jak nie Kuba to Chiny. Byle tylko nie zachwiać w sobie wiary w postęp Przdającego Ustroju, tej nowej religii klerków, odwracających się z pogardą od religii starej, nienaukowej i wstecznej. Mniejsza o *rationale*.

Co mi przypomina pewną rozmowę wiele lat temu w Nowym Jorku, gdy znajomy Amerykanin opowiadał, jak walczy z czynnikami oficjalnymi o uzyskanie zgody na założenie Kościoła Ateistów. Chodziło mu o obronę swojej idei, a może i o dochody, bo sekty religijne są zwolnione od podatków. Powstał jednak problem prawny: czy istnieje religia bez Boga? Sartre i Simone de Beauvoir dowiedli tego długo przedtem. Apostata Camus odczuł to na własnej skórze. Simone de Beauvoir cytuje swoją reakcję w rozmowie telefonicznej na wieść o jego śmierci: „On mnie już nic nie interesuje”. I dodaje, że potem patrzy przez okno ze łzami w oczach. Śmiesznie tłumaczy się w „Sile rzeczy”, że „Mandaryni” nie są *roman à thèse* i że dwaj protagoniści, Henri oraz Dubreuilh, nie mają nic wspólnego z Camusem i Sartrem, bo Dubreuilh jest w tej powieści... dwadzieścia lat starszy od Sartre’a. Jakby to był jakiś argument!

Wszystko pisze tym samym, monotonnym stylem. Chiny, Rosja, Kuba, podane w oficjalnym opakowaniu: oficjalni tłumacze, oficjalne bankiety, oficjalni interpretatorzy. Szlachetna goszystka pisze tyle i na tym samym diapazynie — przykładowo — o wypadkach czerwcowych w Poznaniu w 1956 roku, co o spotkaniu w kawiarni albo o nowym filmie. Pisząc o Poznaniu powołuje się — niezbyt przekonana, to fakt — na relację *L’Humanité*, która tłumaczy zamieszki prowokacją obcych agentów. Były jakieś zsyłki i łagry w Rosji, wspomina *la philosophe*, ale to już należy do prehistorii. Ludzie wrócili, sama z nimi w Moskwie rozmawiała. Dane o dziesięciu milionach więźniów łagrów uważa za przesadzane. Stalin był zły. Jednostka podważyła zaufanie w zasadniczą dobroć systemu. Teraz, kiedy umarł, jest lepiej, a będzie dużo lepiej.

Polski Październik jest dla Simone de Beauvoir *coup de théâtre*: „Chruszczow, Mołotow, Żukow, Mikojan, Kaganowicz przybywają do Warszawy, bo są przeciwni wydaleni Rokossowskiego. Czołgi rosyjskie posuwają się w kierunku Warszawy. (...) Nagle Chruszczow i jego eskorta odjeżdżają. Co się naprawdę stało? W każdym razie Gomułka został mianowany pierwszym sekretarzem partii komunistycznej. Polska wkroczyła na drogę destalinizacji”. I coś takiego zapisuje w swojej autobiografii jeden z najświetlejszych umysłów francuskich? Piekarz by się głębiej nad tym zastanowił.

Wyławiam z „Sily rzeczy” polonika, ale już oszczędzę szpikowania tego antynekrologu cytatami, bo zażenowanie mnie ogarnia, że wyszły one spod pióra rzekomo najmądrzejszej kobiety Francji, następczyni licznych *mesdames* literackich. I ten brak hierarchii! Tuż pod tymi miałkami uwagami, oddzielonymi krót-

kim ustępem o rewolucji na Węgrzech, Simone de Beauvoir powraca do opisu wycieczki samochodowej po Włoszech jesienią 1956 roku: „Tego wieczoru jedliśmy kolację w La Fontanella, z Guttuso i jego żoną. Zaprowadził on nas potem do *Chez Georges*, w pobliżu Via Veneto, gdzie gitarzysta grał stare piosenki rzymskie”. Tak mniej więcej wszystko wygląda w jej książkach. Wszystko tym samym tonem. Czasem autorka wylicza, co się wtedy jadło i piło.

Po powrocie tej jesieni do Paryża Simone de Beauvoir odnotowuje w kilku zdaniach rozmowę u Fejtö, gdzie spotyka Jerzego Lisowskiego oraz dziennikarza z *Trybuny Ludu*. Ten ostatni wyjaśnia jej w kilku słowach sytuację w Polsce, istotę Października. Dowodem na jego bezstronność ma być to, że nie uważa, aby zajścia były skutkiem prowokacji obcych agentów...

NiefORMALNA małżonka Sartre’a nie przepada za miejscowymi działaczami PC. Uważa ich za topornych dogmatyków. Co innego bohaterowie jej romansu tam, daleko. Lisowskiego zdecydowanie faworyzuje. Odnotowuje, że Sartre na jego sugestię przeanalizował związki między egzystencjalizmem i marksizmem i napisał szkic, który stał się nieco później „Question de la méthode”. Autorka autobiografii rzadko ujawnia wprost swoje zdanie na pewne tematy, ale jest to bezstronność pozorna, jak w wypadku cytowanego przykładu. Częściej zasłania się Sartrem — relacjonuje, co on o tym czy owym sądzi. Miernikiem wolności w Europie wschodniej staje się na przykład fakt, że w Moskwie (oraz w Warszawie) grają jego sztuki. Jakże by nie? O, potęgo próżności literackiej! Pewnie, że nie o mamotę tu chodzi, zresztą w walucie niewymienialnej, ale o rząd dusz, złożony z kilkuset milionów. Stąd zapewne ten szacunek dla mecenasa, bo tylko on może zezwolić na dostęp do tego rządu dusz. Trzyma swoją trzodę pod kluczem, dopuszcza do niej wybranych, którzy głoszą kłęskę moralną Zachodu.

I dlatego wojna w Korei zajmuje w „Sile rzeczy” tyleż miejsca, co omówienie nowej premiery teatralnej Sartre’a. Na tym polega kapłaństwo sztuki w służbie idei. Zastanawiam się, dlaczego ta najmłodsza i najzdolniejsza na roku absolwentka filozofii w trakcie lektury jej książek staje się na moich oczach już nie szlachetną, lecz groźną idiotką. I co spowodowało, że mandaryni paryscy pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych tak gremialnie zahipnotyzowali się światłem ze Wschodu? To racja, że ze Wschodu pochodzą wszystkie religie. Ale to jeszcze wszystkiego nie tłumaczy.

Zburzyć ten obrzydły porządek rzeczy, stworzyć nowego człowieka, Nowego Adama. Uzurpować sobie władzę daleko większą od polityka. Oto realizacja potężnego „ja”. Bo intelektualiści tej maści wszystko wiedzą lepiej. Uwierzyli, że tylko ich rozum może przeniknąć istotę świata, uratować ludzi od nich samych. Jakby tylko absolwenci *Ecole Normale Supérieure* mieli dostęp do wiedzy tajemnej, jakby człowiek ulicy nie umiał odróżnić między dobrem i złem. Tyrania intelektu. Ale nawet ten intelekt staje się podejrany, gdy pod koniec książki Simone de Beauvoir podaje

nam opis krótkiej wizyty w Polsce. Nie wiem, co z jej uwag jest trafne i głębokie jeśli idzie o ducha Marokka czy Brazylii. Nigdy tam nie byłam. Ale jeśli chodzi o Polskę, to możemy z autorką porównać doświadczenia.

Otóż w drodze powrotnej z Imperium Dostojna Para zwiedza obie stolice Polski, dawną i nową, m.in. w towarzystwie Jerzego Lisowskiego. Simone de Beauvoir odnotowuje: najpierw mur getta, potem odbudowana Starówka, puste ulice warszawskie, zwiedzane małym samochodem ich *cicerone*. Następnie dodaje kilka uwag natury ogólnej: żywność kosztuje grosze, za to ubrania — majątek, kupno pary butów pochłania jedną czwartą miesięcznej pensji. Mieszkania rozdaje się za darmo, ale teraz już nie, bo Warszawa jest miastem zamkniętym. Nikt prawie nie używa łazienek — z przyzwyczajenia. Są prywatne sklepy — połączosie, jedyne, jakie zauważyła, polskiego Października. Na wsi jest podobno 60 % wierzących (wiadomość przyjęta przez autorkę z niesmakiem, dowód na ciemne chłopstwo), ale katedra warszawska w niedzielę pusta, więc chyba to nieprawda; robotnicy nie chodzą do kościoła, to raczej domena *petits bourgeois*. Dalej krótka relacja o stanie literatury polskiej. Padają nazwiska Jana Kotta i Kazimierza Brandysa („Brandys tworzy literaturę z taką samą koncepcją co my” — tj. Sartre i Simone de Beauvoir). Polscy literaci wiedzą, co się wydaje na Zachodzie, „piszą mniej więcej to, co sobie życzą” (tzn. nie ma cenzury). „Ale są rozdarci. Są częścią kraju mniej zaawansowanego na drodze do socjalizmu niż ZSSR, kraju, w którym utrzymują się jeszcze siły reakcji: religia, antysemityzm, chłopstwo przywiązane do własności prywatnej: wrogo nastawieni do idei przymusu, cierpią z powodu tych zapóźnień. Los Polaków, narodu względnie nielicznego, względnie mało uprzemysłowionego, jest związany z losem Rosji, i choć ideologicznie i politycznie w zgodzie z nią, Polacy mają niemało powodów, zarówno dawnych jak i nowych, aby nie mieć do niej sympatii. Pisarze są bardzo wrażliwi na tę dolegliwość, którą niektórzy z nich doskonale wyrazili”.

Te głębokie spostrzeżenia dotyczące natury Polski i Polaków do tego stopnia zażenowały redaktorów Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie, że zasugerowali autorce, aby pozwołała na pewne cięcia w przekładzie „Siły rzeczy”, usunięcie owych złotych myśli. I tym razem rzeczywiście nie chodziło bodaj o względy cenzuralne, lecz o niekompromitowanie światłego umysłu w oczach polskich czytelników. Simone de Beauvoir podobno nie wyraziła sprzeciwu. Nie mam pod ręką tego wydania, więc nie mogę sprawdzić, co wypadło z przekładu polskiego. Powyższe uwagi przełożyłam z oryginału.

Co zostanie po Simone de Beauvoir? Nie spodziewam się jej rychłej detronizacji. Człowiek niechętnie rozstaje się z mitami. Pozostanie mit kobiety wiernej ideom oraz Jean-Paul Sartre'owi. Partnerki w związku na równych prawach. Zostaną efektowne cytaty, szczególnie z „Drugiej płci”, tej biblii feministycznej, jak choćby sztandarowy, otwierający tom drugi: „Kobietą się nie rodzi, kobietą się staje”. I choć nie chciałabym pomniejszać wagi

tej książki, tych wszystkich wywodów o kobiecie popartych antropologią, anatomią, fizjologią, socjologią, historią literatury, sztuki i in., nie mogą ukryć pewnego zniecierpliwienia tezą, że kobieta w historii cywilizacji zachodniej była ofiarą świata mężczyzn. Bo kryje się w tym mimowolne jej uprzedmiotowienie. I znów ta żarliwa wiara w Postęp. A co na przykład z hipotezą roboczą, że kobieta taką rolę sobie wybrała? Podejrzewam, że wzajemne stosunki na przestrzeni dziejów były mimo wszystko bardziej skomplikowane. Zastanowiłabym się głębiej nad dialektyką rzekomego oprawcy i rzekomej ofiary. Ale jest jeszcze i druga strona walczącego feminizmu: zmusza on kobietę do ogromnej energii i aktywności. Czy rzeczywiście kobiety są dziś *en masse* szczęśliwsze niż ich prababki? Czy twórcza praca zawodowa połączona z wychowywaniem dzieci jest w istocie pragnieniem każdej z nich? Czy spychane na bok macierzyństwo, jako wsteczne czy reakcyjne, podrzucanie dzieci do żłobków i przedszkoli nie odezwie się w następnych pokoleniach masową chorobą sierocą? Etos pracy zawodowej. Ale skoro tak on ważny, to dlaczego w wielu krajach „postępowych” kobieta ma prawo do udania się na emeryturę pięć lat wcześniej od mężczyzny? Przecież jest to nonsens i z punktu widzenia równości praw, i z punktu widzenia wartości tkwiących w samej idei pracy, i z punktu widzenia fizjologii, skoro statystyki na całym świecie podają, że kobiety żyją dłużej.

Simone de Beauvoir wyzwoliła kobietę, ale od czego i do czego? O tym też warto pamiętać, stawiając pomnik jej „Drugiej płci”.

Renata GORCZYŃSKA

List do Redakcji

(czasowo) Eichstätt, RFN, 18 marca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swym interesującym i cennym tekście pt. „Shoah” (Zagłada) w *Kulturze* nr 11/1985 prof. Jan Karski podaje, nie precyzując daty: „W Polsce powstała tajna organizacja, której jedynym zadaniem było ukrywanie i pomoc ukrywającym się Żydom. Jej szef, Władysław Bartoszewski, żyje w Warszawie”.

Czuję się zobowiązany do sprostowania: rzeczywiście uczestniczyłem w 1942 roku w podobnych pracach, a nawet w tworzeniu trzech różnych ciał, mających zajmować się w różnym zakresie pomocą ukrywającym się Żydom i Żydom żyjącym jeszcze wtedy w gettach i obozach. Były to: Społeczny Komitet Pomocy Żydom, Rada Pomocy Żydom, wreszcie referat żydowski w departamencie

spraw wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj. Nie byłem jednak „szefem” żadnej z tych instytucji.

Wobec upływu czasu i zniekształcenia wielu faktów w pamięci ludzi i w potocznym obiegu, warto — jak sądzę — przypomnieć niektóre podstawowe elementy tych poczynań.

Od chwili zamknięcia przez Niemców gett w większych miastach Polski (1940-1941) istniały niedozwolone przez okupanta kontakty między jednostkami i grupami ludzi. W centralnej prasie AK, Delegatury Rządu, PPS, Stronnictwa Demokratycznego i w niektórych innych pismach konspiracyjnych ogłaszano rzetelne informacje o tym, co się w gettach dzieje: o nędzy, głodzie, epidemiach, wzrastającej śmiertelności, bezwzględności i brutalności okupanta. W ostatnich miesiącach 1941 i w początku 1942 doszły do Warszawy i innych wielkich polskich skupisk wiadomości o masowym mordowaniu Żydów, bez różnicy płci i wieku, na nowo zdobytych przez Niemców terenach wschodnich, a potem o uruchomieniu ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem. Wzrastała liczba uciekinierów z gett. Równocześnie okupant zastrzał represje za udzielanie pomocy w jakiegokolwiek formie tym ludziom, którzy zdawali się ukryć po stronie „aryjskiej” (w Warszawie np. gubernator Fischer zapowiedział 10 listopada 1941 karę śmierci za udostępnianie w takich przypadkach noclegów lub udzielenie jakiegokolwiek pomocy. Podobne zarządzenia ogłoszono w innych okręgach okupowanej Polski). W Biurze Informacji i Propagandy Związku Walki Zbrojnej (potem AK) obserwowano rozwój wydarzeń i informowano o nim Londyn. 1 lutego 1942 powierzono prowadzenie spraw żydowskich Henrykowi Wolińskiemu, przedwojnemu pracownikowi Prokuratury Generalnej. Woliński podlegał służbowo Ludwikowi Widerszalowi i Stanisławowi Herbstowi. Wszyscy trzej przyczynili się do rzetelnego informowania polskich czynników wojskowych w Londynie o tym, co się działo w gettach. Nie mogło to jednak w żadnej mierze rozwiązać spraw pomocy ludziom w gettach lub uciekinierom z gett. W letnich miesiącach 1942 wobec rozpoczęcia w kilku miastach Polski centralnej bezpośredniej zagłady Żydów (deportacji na śmierć) sprawa stała się paląca. Kilka osób uznało za niezbędne podjęcie natychmiastowej zorganizowanej akcji społecznej. Obok wspomnianych wyżej osób z KG AK wymienić tu trzeba przede wszystkim Wandę Krahelską-Filipowiczową, Zofię Kossak-Szatkowską, a także Stefana Szwedowskiego, Czesława i Teofilę Wojeńskich, dyrektora departamentu spraw wewnętrznych Delegatury Rządu Leopolda Rutkowskiego i dyrektora departamentu opieki społecznej Delegatury Rządu (późniejszego Pełnomocnika Rządu na Kraj) inż. Jana Stanisława Jankowskiego. Są dane, że szczególnie dużą rolę odegrała w tym pierwszym okresie Zofia Kossak, która zresztą już od wielu miesięcy prowadziła komórkę pomocy Żydom w ramach katolickiej organizacji Front Odrodzenia Polski, którą wtedy kierowała. Uczestniczyłem, obok Marii Anny Lasockiej, Ignacego Barskiego i innych, w pracy tej komórki. Gdy 27 września 1942 powstał Komitet Pomocy Społecznej dla Ludności Żydowskiej (zwany w późniejszej dokumentacji historycznej Tym-

czasowym Komitetem Pomocy Żydom), byłem od początku czynny w tej grupie ludzi, w skład której wchodziły głównie osoby z kół katolickich i kilka pań ze Stronnictwa Demokratycznego. Komitetem kierowały na zlecenie Delegatury Rządu, która też udzieliła pierwszej pomocy materialnej, Zofia Kossak i Wanda Filipowicz.

Ten stan rzeczy zapewne utrwalił się w pamięci prof. Jana Karskiego, który opuścił okupowaną Polskę jako kurier w początkowym okresie działalności tego Komitetu. Do dziś pamiętam rozmowę z nim, odbyłą chyba na krótko przed wyjazdem przy ul. Słowackiego 35. Było to już po letniej akcji zagłady getta warszawskiego i obaj byliśmy pod jednakowym wrażeniem rozwoju wydarzeń i daleko idącej bezradności wobec ogromu problemów. Już po wyjeździe prof. Karskiego do Londynu powołano na miejsce Komitetu (który działał niewiele ponad dwa miesiące) Radę Pomocy Żydom przy Pełnomocniku Rządu RP w Kraju — tak brzmiała w dokumentach jej pierwotna nazwa. Instytucja ta, która przeszła do historii pod kryptonimem „Żegota”, oparta była na solidniejszych podstawach niż poprzedzający ją Komitet. Odegrałem pewną rolę przy jej tworzeniu, uczestnicząc w rozmowach prowadzonych przez działaczy Frontu Odrodzenia Polski z przybyłym wtedy z Krakowa do Warszawy Ferdynandem Arczyńskim (pseud. Marek) i z doświadczonym działaczem PPS Julianem Grobelnym z WRN. Zbiegło się to mniej więcej w czasie z moimi pierwszymi spotkaniami z dr. Leonem Feinerem z Bundu, jak też z Adolfem Bermanem z Poalej Syjon Lewicy, którego poznałem wkrótce po jego wyjściu z getta (w początku września 1942) przez Marię i Stanisława Ossowskich.

Rada Pomocy Żydom została utworzona ostatecznie 4 grudnia 1942 i w pierwszym jej składzie byli: Julian Grobelny z PPS-WRN, Ferdynand Arczyński ze Stronnictwa Demokratycznego, inż. Emilia Hiżowa z innego odłamu środowiska demokratycznego, syndykalista Stefan Szwedowski oraz Ignacy Barski, Witold Bieńkowski i ja (używałem w tej pracy pseud. „Ludwik”). Weszli też do Rady obaj wymienieni działacze żydowskiego podziemia. W składzie i formach działania Rady Pomocy Żydom zachodziło z biegiem czasu szereg zmian, dane o nich znaleźć można w książkach „Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939-1945” (oprac. Wł. Bartoszewski i Z. Lewinówna), wyd. 2, Kraków 1969, „Znak”, oraz T. Prekerowa, „Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie. 1942-1945”, Warszawa 1982, PIW. Prezesami Rady byli kolejno Julian Grobelny, Roman Jabłonowski (bezpartyjny socjalista) i Leon Feiner, dwoma wiceprezesami Tadeusz Rek (ze Stronnictwa Ludowego) i Leon Feiner (za prezesury Grobelnego i Jabłonowskiego), sekretarzem Adolf Berman, a pod koniec okupacji Szymon Gottesman, skarbnikiem cały czas Ferdynand Arczyński, członkami Ignacy Barski (w zimie 1942/1943), Władysław Bartoszewski (cały czas do lipca 1944) i Piotr Gajewski z lewicy socjalistycznej (od kwietnia do lipca 1944). Nadto szczególnie wielką rolę odgrywali w statych pracach Rady w Warszawie wspomniana już Emilia Hiżowa, Aleksandra Dargielowa, Irena Senderowa,

Stefan Sendłak, dr Ludwik Rostkowski. Biurem Rady kierowała ukrywająca się pod nazwiskiem Zofia Rudnicka — Lusja Hausman. Pomijam tu z konieczności nazwiska osób działających w zakresie pomocy Żydom w obrębie poszczególnych stronnictw, partii i grup reprezentowanych w Radzie. Wspomnieć jednak trzeba przynajmniej jeden zespół, a właściwie jednoosobową akcję pomocy, którą objęte były w samej Warszawie dziesiątki osób. Akcję tę prowadziła tzw. „Felicja”. Po wielu latach dopiero ujawniono, że pod tym żeńskim pseudonimem ukrywał się warszawski prawnik Maurycy Herling-Grudziński.

Poza Warszawą działały od 1943 roku dość autonomiczne, aczkolwiek finansowane z centrali: Rada Pomocy Żydom w Krakowie pod przewodnictwem Stanisława Wincentego Dobrowolskiego z PPS-WRN (kluczową rolę w jej działalności odgrywali: Władysław Wójcik z PPS-WRN, Anna Dobrowolska ze Stronnictwa Demokratycznego, Jerzy Matus z „Wici”, Tadeusz Seweryn, ludowiec, okręgowy kierownik Walki Cywilnej, Maria Hochberg-Mariańska z żydowskiego podziemia), oraz we Lwowie pod przewodnictwem Władysławy Chomsowej ze Stronnictwa Demokratycznego (przy współudziale min. Przemysława Ogrodzińskiego, Justyny Wolfowej, Adama Ostrowskiego). Działalność Rady Pomocy Żydom w południowych częściach Generalnego Gubernatorstwa przyczyniła się do uratowania wielu ludzi; do najbardziej z nich znanych należy Michał Borwicz, ocalony z obozu Janowskiego we Lwowie, literat i socjolog, żyjący obecnie w Paryżu.

W pierwszym kwartale 1943 powołano w departamencie spraw wewnętrznych Delegatury Rządu referat żydowski. Przyczynił się do tego Witold Bieńkowski, który pełnił na przełomie lat 1942/1943 z własnej inicjatywy rolę *sui generis* łącznika między znanymi sobie działaczami Rady Pomocy Żydom i niektórymi działaczami Delegatury Rządu. Bieńkowski został też kierownikiem nowoutworzonego referatu żydowskiego, ja zaś byłem jego zastępcą i tzw. referentem informacyjnym. Do moich obowiązków należało prowadzenie dokumentacji dotyczącej terroru i eksterminacji Żydów oraz część kontaktów z działaczami żydowskiego podziemia. Do końca lipca 1944 roku spotykałem się systematycznie co kilka dni z Feinerem i Bermanem, niekiedy też z Basią Berman, pełniącą rolę łączniczki Żydowskiego Komitetu Narodowego po stronie „aryjskiej”. Zaufaną sekretarką referatu żydowskiego departamentu spraw wewnętrznych była Bogna Domańska (pseud. „Bronisława”), żyjąca obecnie w Londynie. Moją działalność w Radzie Pomocy Żydom i w referacie żydowskim prowadziłem równoległe, obracałem się zresztą w obu przypadkach w podobnym kręgu ludzi.

Nie miejsce tu na szerszą charakterystykę działalności Rady czy referatu żydowskiego Delegatury Rządu. Ograniczę się tylko do przypomnienia, że referat żydowski pośredniczył w przekazywaniu pism RPŻ do Londynu i w łączności przedstawicieli podziemia żydowskiego w kraju z organizacjami żydowskimi w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że bezpośrednim odbiorcą naszych raportów w Lon-

dynie był prof. Olgierd Górka, kierownik Działu Narodowości w Ministerstwie Informacji i Dokumentacji, a następnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych rządu RP w Londynie. Olgierda Górkę poznałem wiosną 1946 w Warszawie, w trakcie wspólnej działalności w Lidze do Walki z Rasizmem. Ale to już do tematu nie należy.

Pod bezpośrednim wpływem sprawozdań i oświadczeń Jana Karskiego po jego przyjeździe do Londynu powstała nota ministra Spraw Zagranicznych rządu RP w Londynie z 10 grudnia 1942 do rządów Narodów Zjednoczonych, obrazująca w 21 punktach postępującą zagładę Żydów i zakończona konkluzją: „Rząd polski (...) uważa za swój obowiązek zwrócić się do rządów Narodów Zjednoczonych, ufając, że podzielią one jego opinie co do konieczności nie tylko potępienia zbrodni popełnianych przez Niemców i ukarania zbrodniarzy, ale także znalezienia skutecznych środków, po których można by się spodziewać, że powstrzymają Niemcy od dalszego stosowania metod masowej zagłady”. Niestety jedynym praktycznym skutkiem tej noty było tzw. wspólne oświadczenie rządów Belgii, Czechosłowacji, Grecji, Luksemburga, Holandii, Norwegii, Polski, USA, Wielkiej Brytanii, ZSSR, Jugosławii i Francuskiego Komitetu Narodowego w sprawie odpowiedzialności za zagładę Żydów, ogłoszone w Londynie 17 grudnia 1942 roku. Na tym się skończyło. Jedynym politykiem, który wyciągnął do końca wnioski z sytuacji przedstawionej przez Karskiego i zupełnej bierności świata był Szmul Zygielbojm, działacz Bundu i członek Rady Narodowej w Londynie, który w bezradnym proteście odebrał sobie życie w maju 1943 roku.

Zabiegi Jana Karskiego w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych i jego osobiste kontakty z przedstawicielami organizacji brytyjskich, amerykańskich i żydowskich, wreszcie z samym prezydentem USA Rooseveltem, nie przyniosły żadnego realnego wyniku.

My tymczasem w okupowanym kraju trwaliliśmy w daleko idących złudzeniach, przywiązując ogromne nadzieje do każdego przekazanego na Zachód dokumentu czy raportu.

Władysław BARTOSZEWSKI

Korespondencja z Rzymu

Historyczne spotkanie w rzymskiej synagodze

Uścisk pomiędzy Janem Pawłem II i naczelnym rabinem Elio Toaffem w czasie spotkania w rzymskiej synagodze stanowił symboliczny akt pojednania w trwających od niemal dwóch tysięcy lat burzliwych dziejach stosunków pomiędzy chrześcijaństwem i judaizmem. Przed dwudziestu laty, tj. od Drugiego Soboru Watykańskiego, rozpoczął się wprawdzie okres intensywnego dialogu katolicko-żydowskiego, ale dopiero gest Papieża wyjaśnił ostatecznie sens tego dialogu.

Uroczystość w dniu 13 kwietnia można rozpatrywać przynajmniej w trzech płaszczyznach: historyczno-religijnej, teologicznej i politycznej. W pierwszym wymiarze samo getto rzymskie stanowi jeden z licznych, wymownych symboli przechowujących pamięć historyczną o upokorzeniach, jakie dotknęły Żydów również w okresie Państwa Papieskiego. Tej zbiorowej pamięci obaj gospodarze witający Papieża — przewodniczący rzymskiej wspólnoty żydowskiej i naczelnny rabin — nie pominęli dyplomatycznym milczeniem. Jan Paweł II nie zawahał się wziąć na siebie i na cały Kościół winy za prześladowania i dyskryminacje, których ofiarą padli Żydzi w ciągu wieków. Papież mówił o Żydach jako o „umiłowanych, starszych braciach” i potwierdził solennie potępienie antysemityzmu, obojętnie z której strony pochodzi. Wypowiedź ta stała się przedmiotem szczególnego uznania ze strony żydowskiej. Naczelnny rabin podkreślił nazajutrz po spotkaniu wielki akt odwagi Papieża, a znany filozof Emanuel Levinas — dobrze znany papieżowi m.in. z seminarium w Castelgandolfo w 1983 roku — mówiąc o wizycie w synagodze, przypomniał: „Nie jest przypadkiem, że ten Papież jest Polakiem, przychodzącym z kraju, który bardziej niż jakikolwiek inny przeżywał zagładę ludu żydowskiego. Chrześcijanin dzisiejszy pobrał lekcję z Oświęcimia. Milczenie Kościoła trwało długo, ale Żydzi w okresie hitlerowskim poznali również miłosierdzie chrześcijańskie. Moja żona

i córka, na przykład, uratowały się, bo znalazły schronienie w klasztorze. Tego nie mogę zapomnieć”.

W płaszczyźnie teologicznej spotkanie w rzymskiej synagodze wykazało, że znajdujemy się dopiero na początku drogi właściwego dialogu pomiędzy katolicyzmem i judaizmem. Ze strony żydowskiej nie brak zastrzeżeń w tej materii, chociaż Papież uczynił wielki wysiłek, by oddalić wszelkie podejrzenia o prozelityzm. Postać Jezusa Chrystusa, uznawanego przez Żydów jedynie za proroka, pozostaje wciąż jeszcze elementem sprzeciwu i podziału. Papież z dużym umiarem podszedł do tej delikatnej sprawy i przypomniał, że uznanie boskości Chrystusa nie może być w żaden sposób narzucane. Ani też, z drugiej strony, odrzucenie jego boskiej natury nie może osłabić pamięci o wspólnych korzeniach judaizmu i chrześcijaństwa i przeszkodzić uznaniu Żydów za braci. Istniejące rozbieżności teologiczne nie powinny być zamazywane w toczącym się dialogu, należy bowiem uniknąć niebezpiecznego synkretyzmu i konfuzji wśród wiernych, zarówno katolików, jak i Żydów. Każda religia musi pozostać przy swoich zasadach i równej godności.

Dr Józef Lichten, nasz rodak, przedstawiciel żydowsko-amerykańskiej ligi przeciwności znieśławianiu przy Watykanie, stwierdza: „Jan Paweł II przedstawił wykładnię części czwartej deklaracji soborowej *Nostra Aetate* o wyznaniach niechrześcijańskich, dotyczącej Żydów. Powołał się również na rozdział 16-ty Konstytucji Dogmatycznej o Kościele, który często jest cytowany jako podstawa nauki Kościoła, kiedykolwiek są stawiane zarzuty niewłaściwej interpretacji judaizmu. Dokument ogłoszony w Watykanie w ubiegłym roku o właściwym przedstawianiu Żydów i judaizmu w kazaniach i katechezie podkreślił, że Jezus był i zawsze pozostanie Żydem. Papież jednak rozszerzył tę prawdę na Matkę Bożą i na apostołów. Stwierdzenie to, jak zresztą wiele innych podniesionych przez Papieża, miało swoją specjalną wymowę, bo przecież co innego, jeśli to stwierdza komisja watykańska dla stosunków religijnych z judaizmem, a co innego, jeśli głosi je głowa Kościoła Powszechnego”. Dziedzina teologii otwiera dla dialogu rozległą perspektywę. Naczelnny rabin dr Elio Toaff widzi ten dialog następująco: „Istnieją pola dialogu teologicznego i współpracy o charakterze kulturalnym bardzo użyteczne dla wzajemnego poznania. Jeden z naszych rabinów np. rozpoczął wykładanie języka hebrajskiego na papieskim uniwersytecie laterańskim. Ja sam często jestem zapraszany, by wygłaszać konferencje na temat mistyki hebrajskiej na papieskim uniwersytecie gregoriańskim... Jest rzeczą bardzo ważną to, co Jan Paweł II przypomniał w synagodze, a mianowicie, że judaizm nie jest religią znajdującą się na zewnątrz chrześcijaństwa, lecz wewnątrz niego”.

W wymiarze czysto politycznym spotkanie przyniosło pewien zawód tym — a było ich wielu — którzy oczekiwali, po jednej i drugiej stronie, choćby aluzji do prawnego uznania Izraela. Rzecz jednak w tym, że z uwagi na religijny program i nastrój tego spotkania Papież pominął milczeniem sprawę normalizacji stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stolicą Apostolską i Izra-

elem. Naczelny rabin liczy na to, że uznanie państwa Izrael nastąpi w niedługim czasie. Wypada zaznaczyć, że Papież bynajmniej nie zaprzecza prawu Żydów do posiadania własnej państwowości. *De facto* zresztą Stolica Apostolska uznaje to państwo, choć do formalnego uznania brak dotąd spełnienia pewnych warunków, jak rozwiązanie np. sprawy palestyńskiej i ustanowienie międzynarodowego statutu Jerozolimy, gwarantującego ochronę miejsc świętych i specjalnego charakteru tego miasta jako historycznej siedziby trzech wielkich religii monoteistycznych, judaizmu, chrześcijaństwa i islamu.

Obiektywizm każe jednak wskazać, że z punktu widzenia żydowskiego sprawa uznania Izraela ma charakter nie tylko dyplomatyczno-polityczny, ale również etyczno-teologiczny. Chodzi bowiem o uświęcone w Starym Testamencie prawo Żydów do powrotu do Ziemi Obiecanej, do ziemi przodków — ideę głęboko tkwiącą w tożsamości żydowskiej. W przeciwieństwie do Watykanu, który oddziela zbliżenie pomiędzy obiema religiami od aktu politycznego, Żydzi takiego rozróżnienia nie dokonują, fakty religijne nabierają bowiem automatycznie charakteru politycznego. Uznanie Izraela przez Stolicę Apostolską oznaczałoby w praktyce oficjalne przekreślenie przez Kościół, że Żydzi są w błędzie w sensie teologicznym — tak ocenia ten aspekt wzajemnych stosunków naczelny rabin Rzymu.

Watykan i Moskwa

Dotarło tu kilka sygnałów wskazujących na pewną zmianę stanowiska władz sowieckich nie tylko wobec Watykanu, ale być może również wobec religii jako takiej. Ten zwrot, a raczej taktyczny zabieg, nastąpił prawdopodobnie w związku z przygotowaniem do obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa na Rusi w 1988 roku, w czym jest bezpośrednio zainteresowany patriarchat rosyjski, nie bez cichego wsparcia władzy.

Zwróciło uwagę, że *attaché* prasowy ambasady sowieckiej w Rzymie uczestniczył w audiencji papieskiej dla dziennikarzy w dniu 28 lutego. Zdarzyło się to po raz pierwszy i miało na pewno określony wydźwięk polityczny. Większe znaczenie należy przywiązywać do specjalnej audiencji w dniu 19 kwietnia dla delegacji, złożonej z 9 czołowych dziennikarzy sowieckich, przybyłej do Rzymu z rewizytą na zaproszenie włoskiej federacji dziennikarskiej. Poprosili oni o spotkanie z Papieżem, które odbyło się w jego prywatnym gabinecie „w atmosferze nacechowanej wielką serdecznością” — jak oświadczył rzecznik prasowy Watykanu. Papież rozmawiał po rosyjsku i w zaimprovizowanej, krótkiej wypowiedzi, mówiąc o wielkiej literaturze rosyjskiej, cytował Tołstoja i Dostojewskiego. Powołując się na Końcowy Akt układu helsińskiego podkreślił znaczenie kultury i jej upowszechnienia jako czynnika umacniania pokoju. Po audiencji radio watykańskie przeprowadziło bezprecedensowy, krótki wywiad z przewod-

niczącym delegacji, który określił to spotkanie jako „nadzwyczajne” i oświadczył: „nie tak wyobrażaliśmy sobie Papieża”.

Do spotkania tego doszło oczywiście w związku z nadziejami, jakie wzbudziła „nowa era” Gorbaczowa oraz w szczególności po pewnych faktach. Najpierw wywiad udzielony w lutym przez dyrektora Instytutu Ateizmu przy sowieckiej Akademii Nauk popularnemu tygodnikowi katolickiemu *Famiglia Cristiana* (ponad milion egzemplarzy). Otwiera go następujące oświadczenie: „Jeśli Papież pragnie odwiedzić katolików w ZSSR, niech przyjedzie. Nie mamy nic przeciwko niemu, przeciwnie, cenimy jego wypowiedzi o pokoju”. Wizyta ta mogłaby — jego zdaniem — nastąpić nawet przed obchodami milenijnymi. Wiktor Iwanowicz Gorodasz (Gardża), dyrektor Instytutu Ateizmu Naukowego, przyznaje, że Papież ma „silną indywidualność” i chwali jego podróże po całym świecie, w których „dominują apele o pokój, sprawiedliwość i wolność ludów”. Ta działalność spotyka się w Moskwie z pozytywną oceną. Co innego natomiast sąd o drogach prowadzących do pokoju i sprawiedliwości: „nie podoba nam się w szczególności wniosek, jaki wysnuwa Papież, że ateizm stanowi największe zło nękające ludzkość”. Dyrektor Instytutu Ateizmu przyznaje — co brzmi dość zaskakująco — że po 70 latach od rewolucji wiara religijna nie zgasła, jak przewidywano. Do kościołów uczęszczają nie tylko ludzie starzy i ignoranci, „jak często czyta się w prasie”, ale również młodzież i osoby wykształcone. Nie można więc — jego zdaniem — ironizować na ten temat. Przeciwnie — „trzeba się nad tym poważnie zastanowić”. Uważa on, że zjawisko rozbudzenia religijnego wynika z niespełnionych obietnic, których nie dotrzymał. Powoduje to, że społeczeństwo wybiera „powrót do sfery duchowej”. Kościół prawosławny w przeszłości stanowił symbol „wielkiej ojczyzny rosyjskiej” i także dzisiaj „trudno sobie wyobrazić przyszłość bez obecności i funkcji Kościoła”. Nie powinien nas zaskakiwać ten nienowoty przecież akcent „wielkorusyjski”, który w różnych okresach ujawniał się nie tylko u przedstawicieli władzy, ale i w pewnym nurcie dysydenckim (Sołżenicyn), a który jest zbieżny z dowartościowaniem nacjonalistycznej funkcji prawosławia. Dziennik *L'Osservatore Romano* odnotował w marcu szereg ulg w obowiązującym ustawodawstwie na rzecz patriarchatu rosyjskiego. Istnieje nawet projekt uznania osobowości prawnej instytucji kościelnych i różnych ułatwień nie tylko w dziedzinie kultu, ale także działalności wychowawczej i charytatywnej.

Michał Heller, w wywiadzie dla katolickiego tygodnika *Il Sabato* (25 kwietnia br.), zapytany o ocenę wypowiedzi dyrektora Instytutu Ateizmu słusznie wiąże ten „zwrot” z aktualnymi wymogami politycznymi, które polegają na stosowaniu starych recept, od których system się nie zmieni. A zjawisko religijnego rozbudzenia z punktu widzenia władzy ma być wykorzystane „dla budowy socjalizmu w perspektywie obchodów tysiąclecia”.

Samokrytyka szefa sowieckiego resortu d/s ateizmu jest, w rzeczy samej, nieprzekonywująca. Nagłe dowartościowanie reli-

gii jest niewątpliwie instrumentalne, bo łączy się z nacjonalistyczną interpretacją prawosławia. Już Stalin zdał sobie z tego sprawę, kiedy w czasie wojny, czyniąc zadość tradycjom carskim, uciekł się do Cerkwi jako *instrumentum regni*, kiedy do mobilizacji mas przeciwko inwazji marksizm-leninizm okazał się jako bodziec niewystarczający. Prawdziwej liberalizacji — jak wiadomo — to nie przyniosło.

Tymczasem pojawił się miarodajny głos rosyjski niecałkiem zgodny z opiniami ateisty Gorodasza. Na łamach katolickiego miesięcznika *Jeżus* (kwiecień, wydawnictwo Ojców Paulinów) metropolita Filaret, kierujący departamentem zagranicznym patriarchatu rosyjskiego, wypowiada się również o dialogu ekumenicznym z Kościołem katolickim. Jego zdaniem trudności polegają na niedobrych reminiscencjach: „Polska była przedmurzem katolicyzmu zarówno w sensie obrony, jak i ofensywy przeciwko Wschodowi i to dziedzictwo historyczne tkwi zakorzenione w świadomości narodu polskiego i oddziałuje obecnie także na decyzje Kurii Rzymskiej. Płomienne wystąpienie Papieża na rzecz unitów ukraińskich było dla nas jak piorun z jasnego nieba. Ton, treść i forma tego wystąpienia były całkowicie przeciwstawne strategii dyplomatycznej kardynała Willebrandsa, szczególnie nam drogiego”. Nie ma co, powiedziane jasno i bez niedomowień. Filaret przypisuje Papieżowi odpowiedzialność za „oziębienie stosunków z Watykanem”. I aczkolwiek „w zasadzie uznaje jego rolę”, przeciwstawia ją przyjaznym stosunkom z katolikami francuskimi, niemieckimi i amerykańskimi. Jest ponadto rzeczą znamienne, że polemizuje on z tezą o przyjściu chrześcijaństwa do Rosji z Rzymu za pośrednictwem Bizancjum, a nie, jak jest święcie przekonany, wprost z Bizancjum.

Wypowiedzi metropolity Filareta są niewątpliwie bardziej szczerze niż jego rodaka, ateisty Gorodasza. I dlatego też obserwatorzy watykańscy rejestrują docierające pozytywne sygnały z Moskwy z dużą dozą sceptycyzmu. Nie wszyscy jednak, jak się wydaje, wystrzegają się złudzeń.

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 maja 1986 r.

Książki

Miłosz

Kiedy jesienią 1980 roku Czesław Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, paryskie grono wyznawców Oskara Miłosza przyjęło tę wiadomość z pewnym żalem. W ich mniemaniu wyróżniono nią *nie tego* Miłosza. Obu poetów łączy dużo więcej niż nazwisko, odległe pokrewieństwo, pochodzenie z mistycznej Litwy i doświadczenie wygnańca. W istocie Oskar Miłosz — wizjoner i mędrzec — wywarł na swego młodszego kuzyna ogromny i dobroczynny wpływ, a ich stosunek można w największym uproszczeniu i skrócie nazwać stosunkiem mistrz-uczeń.

We Francji Czesław Miłosz jest znany jako prozaik, co zniekształca jego obraz, jako autor rozprawy z totalitaryzmem „Zniewolony umysł”, powieści „Zdobycie władzy” i „Dolina Issy”, autobiografii intelektualnej „Rodzinna Europa”, wydanych w latach 1953-1964 przez Gallimarda. Niektóre z tych książek — przede wszystkim „Zdobycie władzy” — były pisane od razu z myślą o odbiorcy zachodnim, i na tym może polegała przede wszystkim słabość tej powieści — zbyt duży był rozróżnienie między wiedzą autora i jego doświadczeniem, a tym co w książce zawarł.

Natomiast jego *grande oeuvre*, poezja, była przez wiele lat niemal nieznaną we Francji, i zdecydowały o tym względy pozaartystyczne. Z trudnych do wyjaśnienia powodów wydawcy francuscy są nadzwyczaj niechętni poezji współczesnej, a już poezji tłumaczonej z obcych języków, tak obcych jak polski — w szczególności. Pełniejszej prezentacji poezji Czesława Miłosza dokonała dopiero grupa tłumaczy i poetów pod kierunkiem Konstantego A. Jeleńskiego, w tomie „Poèmes, 1934-1982” (Luneau Ascot, 1983), choć wypada też wspomnieć o pionierskiej pracy Jeleńskiego, który w swojej „Antologie de la poésie polonaise” umieścił kilkanaście wierszy Miłosza w swoim przekładzie. Niemniej jest to zaledwie część bogatego dorobku poety, a nadto wybór — z konieczności rozbijający wewnętrzną spójność jego kolejnych tomów poetyckich, które, choć z pozoru składają się z osobnych wierszy, są często zakamuflowanymi poematami. Dopiero pod ko-

niec bież. roku wydawnictwo Granit ma ogłosić nie wybór, lecz całą książkę poetycką Miłosza, jego ostatnie dzieło, „Nieobjęta ziemia”, w przekładzie Krzysztofa Jeżewskiego i François-Xavier Jaujarda. Dodam w tym miejscu, że „Nieobjęta ziemia”, pod tytułem „Unattainable Earth”, ukazała się w marcu bież. roku w przekładzie angielskim w Ameryce, nakładem Ecco Press. Co jeszcze raz dowodzi, że w rzekomo prozaicznej, nastawionej na *business* Ameryce chętniej sięga się po poezję, także obcą, niż we Francji, która chce nadawać ton kulturze światowej. Być może większy szacunek do poezji w USA bierze się stąd, że jest to nadal kraj Biblii.

Bez względu na powody, fakt, że Miłosz, jeden z najbardziej fascynujących umysłów współczesnych, jest nadal dość słabo obecny w świadomości francuskiej, zakrawa na paradoks, tym bardziej, że Francja w jego dziele jest tak bardzo obecna. Nie tylko jako teren medytacji nad historią, ale i jako zapis rzeczywistości, doświadczeń własnych. Nie jest przypadkiem, że pierwszy przekład na język obcy jego wiersza ukazał się właśnie tu, w 1937 roku w piśmie *Cahiers du Sud*. Była to „Pieśń”, napisana w 1934 roku. Przekładu dokonał Oskar Miłosz.

Dla Czesława Miłosza Francja była przez wiele lat „Chinami Europy”, jak to poeta sformułował w „Traktacie moralnym”. Francuski jest jego drugim językiem. Mieszkał tu blisko czterdzieści lat. Znał „mandarynów”, ale głosił prawdy niewygodne dla ówczesnych salonów. Wydanie „Doliny Issy” przez Gallimarda zawdzięcza m.in. bardzo pochlebnej opinii o niej Alberta Camusa. Ale istnieje i podszewka: Gallimard nie był łaskaw płacić honorariów autorskich. Dlatego teraz wydają Miłosza-noblistę inne francuskie oficyny wydawnicze, jak Albin Michel, który w ubiegłym roku ogłosił jego „Ziemie Ulro” w przekładzie Zofii Bobowicz, i przede wszystkim jak Fayard, który stopniowo chce wydać niemal całość jego dzieła. Jednakże znów z oporami wobec poezji, bo rzekomo nie ma tu na nią popytu.

Może to i lepiej, że twórczość Czesława Miłosza stopniowo zapuszcza korzenie we Francji, dociera teraz wespół z innymi głosami intelektualistów z tej „drugiej Europy”. Dzięki temu jego wizja nie wydaje się francuskiemu czytelnikowi wysoce indywidualistyczną formą widzenia świata, albo — może się nie wydawać, szczególnie teraz, w nieco innym klimacie politycznym, który zmusza do rewizji pewnych utartych poglądów.

Miłosz, podobnie jak bohater powieści Camusa, jest „obcy”, ale podczas gdy Mersault z powodu tego poczucia obcości zabija, poeta czyni z tej cechy główną kategorię poznawczą. W jego wypadku jest to obcość podniesiona do trzeciej potęgi: obcość wygnańca w rozumieniu historyczno-politycznym (pierwszym krajem, który musiał opuścić było Wielkie Xięstwo Litewskie, odtąd zaczęła się emigracja); obcość artysty wobec zbiorowości, czyli piętno w sensie mannowskim, wreszcie obcość metafizyczna człowieka na Ziemi, po wygnaniu z Raju. Pojęciem tym posługując się dzisiaj i psycholog, i politolog, i socjolog, i metafizyk. U Miłosza funkcjonuje ono na wszystkich piętrach poznania, we

wszystkich tych sferach jednocześnie. Ponieważ żyjemy w wieku wymuszonych, rzadziej dobrowolnych, wędrówek ludów, głos „obcego”, wygnańca, z tego choćby powodu zasługuje na uwagę.

Metodę poznawczą Czesława Miłosza czytelnik francuski może obecnie prześledzić w trzech książkach, które w kwietniu ukazały się nakładem Fayarda. Są to: „Widzenia nad Zatoką San Francisco” (przekład z polskiego Marie Bouvard), monumentalna „Historia literatury polskiej” (przekład z angielskiego André Kozimora) i „Miłosz par Miłosz” (przekład z polskiego Daniela Beauvois), który nie ma odpowiednika książkowego w języku polskim. W tym ostatnim wypadku poeta nie jest autorem, lecz rozmówcą dwojga badaczy jego twórczości, Ewy Czarneckiej i Aleksandra Fiuta. Tylko część tych rozmów wyszła drukiem, w tomach „Rozmowy z Miłoszem” Aleksandra Fiuta i „Podrózny świata” Ewy Czarneckiej. Znaczna ich część, szczególnie Fiuta z Miłoszem, nadal czeka na wydawcę po polsku.

W każdej z tych trzech książek Miłosz przemawia nieco innym głosem. Narrator pierwszej jest w istocie najbliższy „ja” poetyckiemu; te krótkie, niekiedy dwu-trzystronicowe medytacje nad związkiem człowieka z przestrzenią (także konkretnego człowieka z konkretną przestrzenią — Kalifornią, lub ogólniej — Ameryką) są zbliżone do poezji, ze względu na kondensację i krystalizację myśli. Uwagi odnotowane w nich prozą można znaleźć w późniejszej poezji Miłosza, w formie transponowanej.

W drugiej z omawianych książek do głosu dochodzi badacz literatury polskiej, wieloletni jej wykładowca Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, który książkę napisał po angielsku (jej przekład na polski nadal nie jest ukończony), a więc z myślą o obcojęzycznym odbiorcy. Jest to i siła, i słabością tego obszernego zarysu. Siła, bo z pozycji „obcego”, tym razem z uwagi na przestrzeń i czas dzielące Kalifornię od Polski, profesor Miłosz opowiada o przygodzie literatury polskiej z ogromnego dystansu. Jest w niej rewizjonista w tym sensie, że podważa uświęconą tradycją hierarchię, dokonuje niezbędnych przewartościowań. I choć „Historia literatury polskiej” jest podręcznikiem akademickim, jest także gawędą, nie mieszczącą się w kategoriach suchego, szkolarskiego zarysu. Miłosz nie ukrywa swoich preferencji i gustów, nie stara się być obiektywny za wszelką cenę. Rozszerza też gospodarstwo literatury polskiej: omawia w tej książce piśmiennictwo nie tylko w języku polskim, ale i w językach innych narodów lub grup etnicznych, które zamieszkiwały dawne obszary Rzeczypospolitej, przede wszystkim literaturę żydowską istniejącą w jidisz lub w hebrajskim. Nie zajmuje się też wyłącznie literaturą, ale kulturą w szerokim pojęciu. W ten sposób zamiast suchego wykładu czytelnik otrzymuje raczej opowiadanie, wzbogacone o niekiedy kapitalne, nowe odczytanie dzieł należących do kanonu literatury polskiej, której przeznaczeniem, jak zauważył autor w jednym ze swoich szkiców, jest być może wygnanie.

Ale książka ma również niedostatki, szczególnie dla polskiego odbiorcy. Głębokie odczytanie Mickiewicza, na przykład, do któ-

rego w swojej twórczości Miłosz tylekroć wraca, stanowi kontrast z omówieniem piśmiennictwa XX wieku, a szczególnie czasów najnowszych, co wiąże się zapewne z nieprzemyśleniem pewnych zagadnień do końca, a może z faktem pisania właśnie dla cudzoziemskiego odbiorcy. A najprawdopodobniej — ze zbyt małym dystansem do opisywanych zjawisk. I tak cenzurki wydane współczesnym nie zawsze się sprawdziły. Nadto w ostatnich partiach książki znać jakby pośpiech, albo znużenie ogromem tematu. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach czytelnika-Polaka, trzeba powiedzieć jasno: jest to księga, którą czyta się w niesłabnącym zainteresowaniu, a subiektywizm spojrzenia nadaje jej akcenty polemiczne.

Z trzech omawianych publikacji rozmowy z Miłoszem wyszły w największym nakładzie — ośmiu tysięcy. Natomiast dla mnie osobiście na największą uwagę odbiorcy francuskiego zasługują „Widzenia nad Zatoką San Francisco”, wydane już dobrych kilka lat temu w przekładzie angielskim w Ameryce. Te lapidarne reportaże metafizyczne, jakbym je nazwała, są dynamicznym zapisem pewnych doświadczeń i medytacji zmieniających się w czasie. Ta książka pokazuje proces poznawania Ameryki, a nie pisania o Ameryce z pozycji człowieka, który już wie, czym ona jest. Nieprzypadkowo pierwsze eseje są próbą określenia „ja” w tej zupełnie nowej dlań przestrzeni. Cały krajobraz zachodniej części tego kontynentu jest dla narratora (i nie tylko, dla każdego, kto się z nim zetknął) wręcz księżycowy; nie znajduje on w swoim słowniku nazw, którymi mógłby tę inność określić. Spotkanie z dziewiczą, pustą, nie zamieszkałą Ameryką jest równoznaczne z wyprawą w prehistorię. Dla Europejczyka z jego pojęciem historii materialnej, z silnie zakorzenionym antropocentryzmem, ze związkami z gęsto rozsianymi miasteczkami, na których układają się słoje pokoleń, takie doświadczenie jest zrazu szokiem, jakby wkroczeniem w obszar rozrzedzonego bytu. Spotkanie obcego z obcym powoli przekształca się w przyswajanie, wymagające niekiedy stoicyzmu. Wychodząc od konkretnych obserwacji fenomenów życia na Zachodnim Wybrzeżu, łącznie z jego odmienną przyrodą, od rozważań nad pojęciem wolności i indywidualności w tym kraju, poprzez lapidarną analizę dzieła poetów, pisarzy, myślicieli kalifornijskich — Robinsona Jeffersa, Henry Millera, Herberta Marcuse — Miłosz zaczyna stopniowo porządkować pierwotny chaos, aby dostrzec w nim wewnętrzną konstrukcję i jakąś jedność pod powierzchnią tej wielości.

Z początku nazywa Amerykę „nieprawym dzieckiem Europy”, ale proces jej poznawania każe mu zmienić tę definicję; zresztą od początku przeczuwa, że być może jej powołaniem „byłoby ułożyć parabolę o powszechnym znaczeniu”. Pod koniec książki uściśla tę zagadkową uwagę. Pisząc, że Ameryka jest „krajem wygnania *per se*”, gdzie każdy jest *Everyman*'em, a „samym rdzeniem literatury amerykańskiej jest pytanie kim jestem” — legitymizuje w konkluzjach tego rzekomego bastarda. Ameryka — kraj Biblii — staje się dlań „prawowitą dziedziczką tradycji judeo-chrześcijańskiej” i być może jej doświadczenie pozwoli nam po-

godzić kiedyś największą schizmę, która draży ludzkość od kilku stuleci — rozdarcie na światopogląd religijny i naukowy. Tym samym „Widzenia nad Zatoką San Francisco” są prefiguracją „Ziemi Ulro”.

Można by przypuścić, że ta książka jest samosprzeczną. W moim pojęciu ilustruje drogę poznania, od pierwotnego „nie rozumiem” do próby zdefiniowania czym to obce, nowe, jest, czym „ja” w tym obcym środowisku się staje. Od antynomii Europa-Ameryka prowadzi ona do wspólnoty, nie tylko z uwagi na tradycje kulturowe czy alianse polityczne. I jest także próbą wyjścia w przyszłość — odpowiedzią na pytanie, co może być celem powstania Ameryki, jak ta utopia może się zrealizować w rzeczywistości, co nie znaczy, że w *najbliższej* przyszłości. Jest to także próba wyciągnięcia budujących wniosków z doświadczenia „obcego” — bardzo ważna, jeśli porównamy ją z „Obcym” Camusa.

Tym medytacjom i próbie porządkowania chaosu na Ziemi towarzyszy próba odbudowania struktury trzypiętrowej, utrwalonej przez religię nawet w umyśle agnostyka. Człowiek jest istotą przestrzenną, jego wyobraźnia może funkcjonować tylko trójwymiarowo, a kategorie moralne związane są z pojęciami „góra” i „dół”, jak w słowach „wniosłość” i „podłość” — mówi nam Miłosz. Metafizyczna architektonika? Nie tylko. To pojęcie, wcale nie abstrakcyjne, czy tylko duchowe, zostało przełożone na język nauki, jeśli ktoś woli naukową interpretację, i to blisko sto lat temu. Brytyjski neurolog Charles Sherrington na podstawie obserwacji swoich pacjentów zauważył, że jesteśmy wyposażeni w coś, co nazwał szóstym zmysłem, który pozwala nam, podświadomie, stale wiedzieć, jaką pozycję względem siebie i względem przestrzeni zajmują wszystkie ruchome części ciała. Nazwał ten zmysł *proprioception*, ponieważ jest on niezbędny dla naszego poczucia tożsamości w przestrzeni. Zakończenia nerwowe we wszystkich ruchomych częściach ciała stale wysyłają sygnały do mózgu o zajmowanych przez nie pozycjach. Zmysł ten jest tak kluczowy dla naszego „ja”, że możemy wyobrazić sobie utratę wzroku lub smaku, ale nie utratę związku z własnym ciałem i jego relacji z przestrzenią. W wypadkach patologicznych — uszkodzenia tych nerwów — człowiek w sensie literalnym traci poczucie siebie jako całości, staje się „rozcłonkowany”. Związek „ja” z przestrzenią zostaje zerwany.

A zatem ciągła próba określania się w przestrzeni — pozornie tylko metafizyczna — jest może najbardziej fundamentalną potrzebą ciała. I o tym poznawaniu, sześcioma zmysłami, pisze Czesław Miłosz w „Widzeniach nad Zatoką San Francisco”, choć rozumie ów szósty zmysł — siebie wobec przestrzeni — jako zmysł duchowej architektury, i nie jest pewne, czy kiedykolwiek czytał o odkryciu doktora Sherringtona.

Renata GORCZYŃSKA

O Brychcie

Przeczytałem w styczniowym numerze *Twórczości* powieść Andrzeja Brychta pt. „Zmienna ogniskowa”. Bardzo sprawna, nie-naganna stylistycznie z prawie sensacyjną fabułą. Mnóstwo wykorzystanych obserwacji z życia krajowego. Z dawnych lat. Znanym mi doskonale. Portret pisarza, który zdobywa Wielką Zapłatę Zachodu. Elementy osobowości Jerzego Andrzejewskiego. Niegdyś z Andrzejewskim Brycht przyjaźnił się intensywnie. Redakcja w prowincjonalnym mieście. Odnajduję w tym opisie redakcje pism literackich, po których objaliśmy się razem z Brychtem. Węzeł dramaturgiczny powieści stanowi męczeństwo księdza Gerbera i uroczystości ku jego czci w stolicy kraju. Jak łatwo się domyślić, prototypem księdza Gerbera jest ojciec Kolbe, a Adam Gil, człowiek za którego poniósł śmierć, to Gajowniczek z obozu w Oświęcimiu. Na drugim planie zaznaczona została dewocyjna religijność mieszkańców opisywanego kraju, ich niechęć do władzy, mającą też intelektualiści będący dwuznacznym sumieniem moralnym narodu itp. Ta „krajowość” parszywa, karykaturalna, ludzki chłam, nędzne marne sprawy. Zarówno w skali wybitnego pisarza, czekającego na Wielką Zapłatę, jak kobiety z redakcji, zwanej cipą. I odnajduję jeszcze podstawowy motyw prozy Brychta — kreację konkwistadora, nienasyconego sławy, pieniędzy, wечно głodnego zdobywcy. Motyw pazerności młodego cwaniaka z Łodzi, który za wszelką cenę chce wspiąć się na wyżyny. Pragnie być bożyszczem, pięknością dnia, sławą. Stara się swój cel osiągnąć wypróbowanym repertuarem sposobów: skandalem, pogonią za sensacją, wpływową protekcją, dupodajstwem, czym się da. Relacje między ludźmi, sztuka, miłość, ideały, wszystko to jawi mu się jako brudna gra interesów. Nie widzi żadnej czystości intencji. Taki jest bohater „Zmiennej ogniskowej”. Liryczny brutal, na pewno bardzo utalentowany. Brycht nie omieszkał go również obdarzyć umiejętnościami bokserskimi. Narrator i bohater powieści zarazem bije fachowo w mordę, budząc uznanie widzów. Przede wszystkim jednak potwierdzając wysokie mniemanie o sobie. Stary chwyt. Stary stereotyp silnych, brutalnych mężczyzn, równocześnie tak bardzo wrażliwych, delikatnych w najgłębszej swej esencji. Spragnionych uznania, czułości, miłości. Małych, śmierzących egoistów. Czytałem „Zmienną ogniskową” z mieszanymi uczuciami dezaprobaty, lekkiego wstrętu, chwilami rozbawienia, rzadziej uznania dla celności literackiej jakiegoś fragmentu, obrazu, dialogu. Zapoznałem się z nowoczesną techniką pisania, co jest widoczną oznaką wpływu sztuki filmowej na pisarza. Rzecz podpisana światowo, z rozmachem: Buenos Aires, Rzym, lata takie i takie. Dokładnie: 1973-74.

Lepszy już był Brycht w dawnych, łódzkich opowiadaniach. Balbina, Blit, Mozart. Przy całej tandecie jego duszyczki tam cho-

ciaż było życie, bujne, prymitywne życie, opisane soczystym, dosadnym językiem.

Tu w „Zmiennej” natomiast wszystko wypracowane, fastrygowane, czuje się mozolne staranie o rozmach, głębię, wieloznaczność, filozoficzność, eschatologię. Bardzo dba pisarz o uniwersalizm, rzecz dzieje się w bliżej nieokreślonym miejscu, raczej jednak wschodnim. Tu chytry ukłon w stronę reżymowego wydawcy w postaci Wielkiej Zapłaty Zachodu. Pokazuje Brycht, jak niskie pobudki kierują piórem tzw. pisarzy opozycyjnych. Interpretacja tej nędznej postawy godna *Żołnierza Wolności*, gdzie ci pisarze to jurgieltnicy na żołdzie CIA. Rzecz tkana z rozległym przepychem i znawstwem rozmaitych nianusów. Tu trop realistyczny, tam metafora czy alegoria, świadomość i podświadomość. Pękaty worek. Nie ma w tym siły, autentyzmu artystycznego, świeżości. Wyduszone, wydumane. Pretensjonalne, niedobre. Niegdyś byłem z Brychtem bardzo blisko. Obaj rozpoczynaliśmy pisanie prawie jednocześnie. Lubiłem go za śmieszny, dobroduszno-przebiegłą żywiołowość i cynizm. Potem zaczął robić karierę. Polityczną. Napisał słynny „Raport z Monachium”. Chwalił się po wódce, jak kroił ten reportaż według tendencji obowiązującej w oficjalnej propagandzie tego czasu. Związał się z partyzantami Moczara. Był ich pupilkiem. Wydawany masowo, sławiony jako nowe zjawisko polskiej prozy. Wystąpił go do Wietnamu. I tak dalej. Aż uciekł na Zachód. Uciekł i ogłosił wyznanie w paryskiej *Kulturze*. Przedstawił się jako wróg reżymu komunistycznego, apostoł prawdy, który nie mógł wytrzymać ciśnienia totalitaryzmu. Potem zanikł. Dochodziły mgliste wieści, że przebywa w Kanadzie, pisze coś w prasie polonijnej, pracuje jako kierowca itp. W 1984 roku przysłał do *Twórczości* swą powieść pt. „Hubris”. Także list. Opowiadał się za ojczyzną. Tęsknił za krajowym rynkiem czytelników. W tym liście drukowanym w *Twórczości* jako komentarz do jego ponownego zaistnienia w kraju, informował o swoim życiu na obczyźnie. Samotny, wychowuje syna i nocami biega po stadionie, trenując do maratonu. Maraton jest jego walką ze słabością ciała, starością, śmiercią. Przebieganie więc na przekór wszystkim te 40 km i zwycięży siebie.

Nadmieniał o swoim losie pisarskim na Zachodzie. Ze sprzecznych stwierdzeń wynikało, że w tym zakresie doznał zawodu. Ganił tamtejszych wydawców za komercjalizację i tendencyjność.

Czytałem i jakbym znów widział Brychta: góra mięsa, czerwona, lekko krostowata twarz, okulary, za okularami piwne, żywe oczy, w rękę teczka ze świńskiej skóry; stoi obok swego samochodu przedniej, zachodniej marki. Taki był Brycht po „Raportcie”. W pełni sytości. Teraz druga powieść. Czy wraca tylko jako pisarz? Czy także fizycznie? Czy dalej prowadzi tę pazerną grę o sławę, pieniądze za wszelką cenę? Tam mu nie wyszło i tutaj szuka fartu. Liczy na Wielką Zapłatę Wschodu.

P.S.

Marek NOWAKOWSKI

Popelniałem nieściskość w opisie: po przyjeździe z RFN teczkę ze świńskiej skóry zastąpił walizką, tzw. „bondówką” z niklowymi okuciami.

M. N.

Eldorado - dolorado

Fascynacja Polaków Ameryką przechodziła różne fazy. Zawsze była ona wizją lepszego bytu. Dla wielu też, zależnie od zakrętów historii, wizją wolności. Towarzyszyła temu nasilająca się i opadająca wędrownica za ocean i dziwne jak opieszale zjawisko to odbijało się w „zwierciadle życia” zwanym literaturą piękną — i to nawet po ostatniej wojnie, gdy wśród emigrantów znalazł się większy niż dotychczas procent ludzi wykształconych, którzy (w teorii) powinni odczuwać większy głód książki niż reszta ludzkości. A jednak nie interesowali się sobą, bo jak inaczej wyjaśnić zdumiewające zjawisko, że książki o polskich emigrantach w USA, nawet tak wybitne jak Danuty Mostwin, nie znalazły wydawcy na miejscu i swój byt publiczny zawdzięczają Instytutowi Literackiemu w Paryżu i Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie?

Narastający kryzys w PRL przyniósł kolejne nasilenie wędrownik za morza. Tym razem literatura zaczęła reagować szybciej i, co więcej, być wydawana na miejscu. Oby to były pierwsze jaskółki zwiastujące wiosnę (i oby mniej opieszale docierały do Europy). Chodzi o *Wakacjuszkę* Zofii Mierzyńskiej (2 części; Z & L Song & Publishing Co., Chicago 1983-84) i *Dolorado* Edwarda Redlińskiego (Contemporary Images Int'l., Chicago 1984). Edward Redliński z krainy Konopielki nie potrzebuje rekomendacji. O Zofii Mierzyńskiej nie zdołałam niczego się dowiedzieć. Nie znam również polsko-amerykańskiej „specyfiki”, ale opisywane przez nią zjawiska, choć chyba mniej masowe, znane są również w Zachodniej Europie i ich zapis socjologiczny brzmi bezbłędnie. Zresztą trafność obserwacji poświadczają miejscowi czytelnicy: „Jedyna prawdziwa relacja z naszego podwórka”; „Proszę pozdrowić panią Mierzyńską, żeby Bozia dała jej zdrowie i żeby napisała znowu książkę. Ona napisała prawdę”.

Mierzyńska doskonale uchwyciła język i mentalność swej bohaterki. Książka jest zapisem monologu Anieli, wiejskiej kobiety z PRL z chatą pełną dzieci, gospodarką podupadającą „przez te nowoczesne reformy” i bez nadziei na poprawę, którą mąż wyprawia za ocean po dolary. „W mojej wsi to połowa ludzi do Ameryki wyjeżdża z musu. Ostatnio to nawet losowania robią, kto zapałkę ze złamanym łebkiem wyciągnie, ten musi jechać”. Po powrocie może za to rznąć pana, jak Pawlak, który sobie sprawił konia wyścigowego nie wiadomo po co, i Kwietnicha, co nawet w lipcu chodzi do kościoła w „karakonach”, aż baby zielenięją z zazdrości.

Zderzenie Anieli z Chicago jest gęste od dobrze skądinąd znanych realiów. A więc pierwsze kontakty z Polonią której, jak mnóstwo z przybyszów z kraju, bierze za złe pogoń za pieniądzem, jakby sama przyjechała po co innego. A więc oszołomie-

nie obfitością sklepów. Przyjęcie przez krewnych, którzy ze swe go zdumiewającego luksusem domu co prędzej wysiedlają ją do wynajętej piwnicy, oczywiście dla jej dobra. I pogoń za jaką bądź ponurą harową po 16 godzin na dobę, przy której niemowa z tej gorszej Europy, nie posiadający pozwolenia pracy, a więc wyjęty spod praw regulujących warunki pracy i płacy, pada ofiarą swych dobrodziei — oszustów i wyzyskiwaczy — w różnego rodzaju „firmach” i domach prywatnych. Zatrudnili go na dziko i jest wobec nich bezbronny, a przy tym drży, żeby miejscowe władze nie wywęszyły, że pracuje i nie zmusiły go do wyjazdu. Żyje gromadnie w zatłoczonych wakacjuszami ruderach, odzież nabywa w sklepach ze starzyzną, aby tylko oszczędzić każdego centa i jak najwięcej wysłać rodzinie. Rodzina zaś w miarę napływu dóbr robi się coraz żarłoczniejsza i Aniela, wysławszy do Polski traktor, nie może podążyć w ślad, bo dostaje zapotrzebowanie na nowy dom. Tak to się przeciąga, aż mąż w rodzinnych Mońkach wprowadzi do tego domu nową oblubienicę.

W międzyczasie zagonione Aniele też na swój sposób szukają odprężenia. Na „bale emigracji” ich nie stać, ale mogą popatrzeć z głębi szatni.

„Panowie w takie czarne fraki poubierane, gorsy jak śnieg białe. Jak pingwiny com ich w ZOO widział, wyglądają. A panie? Opowiedzieć trudno. Brylanty aż kipią, a blask taki od nich bije, że oczy trzeba mrużyć. Suknie z jakimiś ogonami, piórami. ... Bal zaczęli polonezem... nawet nie jeden już polskiej mowy nie zna, a ten taniec choć taki stary pamiętają... Ma w swoim sercu taki kącik dla Polski”.

Czyż nie wzruszające i dziwnie znajome? Albo:

„... a na tym bankiecie to same prezesy i prezesowe... A każdy z nich to najważniejszy, te prezesowe też jedna przed drugą się wysadza... Ale elegancko to było, najpierw te przemowy, potem wręczali sobie medale... Potem był bankiet”.

Za wysokie to progi dla wakacjuszy, nie znajdują dla siebie miejsca wśród Polonii-emigracji. Namiastki normalnego życia szukają w przygodnych związkach, gdzie bądź, jak bądź, młode żony i stare tercjarki, które raptem oszalały odkrywając seks *made in USA*. Próby znalezienia męża wśród Polonii też zawodzą — inni ludzie, inny świat. Tym bardziej nurtuje myśl o powrocie do domu, do męża porzuconego w międzyczasie przez nową żonę. I wreszcie powrót:

„Przyleciałam do Warszawy, wysiadam z samolotu i z daleka widzę mojego Frania i dzieci na mnie czekających. Ale zanim przeszedłam przez kontrolę celną, musiałam wyjść za swoją potrzebą. Weszłam do toalety, a tam taka babcia pilnująca mówi do mnie, żebym jej z góry zapłaciła za skorzystanie i jeszcze osobno za papier... Dałam dolara. Babcia uderła mi taki kawałek papieru, że mi palca by nim nie okręcił i widząc, że oczy jak głupia na nią wytrzeszczam, jak nie wrześnie:

— A co, może się coś paniusi nie podoba?! Luksusów się zachciewa? W główce się po tej Ameryce przewróciło?

...Przedostałam się przez barierkę do swoich... Rzuciłam się

witać z nimi, obejmować, płakać, całować... Nareszcie jestem z nimi, skończyła się moja tułaczka i poniewierka. To jest najważniejsze. Franuś na powitanie — jak już głos odzyskał, zwraca się do mnie:

— A pieniędzy ci w drodze nie ukradli? Lepiej daj mi je zaraz, bo baba jest zawsze babą i w tym zamieszaniu może ci kto je wyrwać... Dużo masz tych dolarów? — pyta Franio. — Było chociaż z czym przyjeżdżać? Musiałaś się to tak spieszyć? Nie mogłaś dłużej posiedzieć i zarobić więcej?...

— Mamo, a kurtki skórzane, takie co mają dużo zamków, przywozłaś? A Jaśkowi dasz dolarów na motocykl?...

Na szczęście był to tylko sen, który Anieli wyjaśnił sprawy dotąd ledwo przeczuwane. Podejmuje decyzję: dość wakacjuszki — zostanie Amerykanką. Odstąpiła od swoich, nie przystąpiła do obcych, których języka nie zna. Co ją czeka?

Prosimy Zofię Mierzyńską o dalszy ciąg.

Wakacjuszka ogląda Amerykę oczami prostego człowieka. Michał z Dolorado jest (jak sam autor) warszawskim pisarzem o wiejskim rodowodzie, wywodzi się z Taplar nad Narwią. Do Nowego Jorku przybył nie po dolary, tylko żeby Amerykę „samemu zobaczyć — dotknąć — spróbować”, nie wierzył bowiem ani opowieściom wracających, ani „Głosowi Ameryki” i *Trybunie Ludu*.

Dolorado jest monologiem Michała Redlińskiego, opowiadającego o zetknięciu z Ameryką. „Odważyłem się napisać 'Dolorado', bo jest w Nowym Jorku pewne miejsce i była pewna sprawa, na których nikt — żaden amerykański historyk, socjolog, psycholog ani pisarz — nie zna się tak dobrze jak ja.

Co to za miejsce? Co za sprawa? Moja głowa i to, co się w niej działo, kiedy zważył się na nią Manhattan. Moje trzęsienie ziemi, trzęsienie głowy opisałem”.

W Michale Wieloistnym wędrującym po Manhattanie i Piątej Ulicy Światowiec pasuje się ze Wsiokiem. „Zbaraniały Michały. I wioskowy, i światowy. A w uszach jedno, w kółko: bogactwo! Pycha! Potynga!”. Po demoludowej biedzie i szarzyźnie poraża go różnorodność życia, obfitość, kolor, ruch.

„Nogi! Tytki! Piersi! Włosa! Zęby! Szminka! Bransolety! Zieleń! Bordo! Żółto! Modro! Czarno! Auta! Krzyki! Gwizdy! Oczy! Zęby! Jubileria! Sklepy! Piętra! Nogi! Buty! Ręce! Usta! Ananasy!”. I naturalnie sklepy, „i wszystkiego dużo razy za dużo. Jak magnetofony — to aż magnetomania... Jak kawa — pół hektara szafek, półek z kawą. Jak chleby — to kwadrans wybierania i aż męka decydowania się... A tu szampon dla kotów, dla psów, och furda te nasze sklepy... Sklepy bezmięsne. Magazyny antyhandlowe. Domy beztowarowe. Stacje bezbenzynowe. Jezu”.

Światowiec-Wsiok całymi dniami pożera oczyma miasto, a wcześniej przybyli znajomkowie z PRL przypominają mu, że pora

zarobić dolary. Najprędzej przy sprzątaniu, zmywaniu czy rozbiorce domów, można też zostać płaczkim w domu pogrzebowym. Żyją stadnie a nędznie i tyrają po 70 godzin tygodniowo. „Trzeba tu zapomnieć, kim się w kraju było. Zapominają lekarze. Inżynierowie. Ja z dyrektorem maluję... Wiktor z jakimś profesorem zmywa”. Jak ten Lotomski, co to w kraju „pół telewizji było jego”, a teraz tak zmywa, że od opierania się o zlew rowy mu się na udach porobiły. A jak zabraknie pracy, to zdarza się jeść ze śmietnika.

Michał stara się dociec źródeł skwapliwej akceptacji tych upokorzeń, najgorszej pracy, niewolniczych godzin i stawek:

„... kto nas tak poniżył? Ameryka? Czy ludowa Polska? ... Czym nas uwodzisz, Ameryko, że wolimy być pariasami u Ciebie niż Polakami w Polsce? Czym? Dolarami? Że cudotwórcze one, wszystkodajne? Tak. Ale nie tylko. Czym jeszcze? Tym, że można tu żyć naprawdę? Że kto leń, może żyć leniwie, kto łakomy — łakomie, kto bujny — bujnie, kto genialny — genialnie”.

I to jeszcze, że tutaj są jasne reguły współżycia i zachowując je, można żyć swobodnie. A:

„... tam tysiące przepisów. Do przepisów przypisy. Nadpisy. Spisy. Wypisy. Podpisy. Zapisy. Labirynt. Nie wiadomo, co wolno, czego nie wolno — przestępcą czujesz się nawet, gdy śpisz. Wszecobecność państwa. Chorobliwa wścibskość państwa... Wszyscy gramy głupszych, niż jesteśmy. Mrugamy więc do siebie. Aluzjami gadamy. Cenzorzy do pisarzy. Pisarze do nas. My do pisarzy...”.

Światowiec spiera się z Wsiokiem: wrócić, zostać? Perspektywa przyłączenia się do emigracji politycznej czy Polonii nie jest zachęcająca. Mówi o tym Polka, która Polskę opuściła w 1968 roku i już zdążyła znaleźć sobie miejsce w świecie amerykańskim:

„Wyjechałam odetchnąć od... Polski. Trafłam do Londynu. A tam — Jezu! Ojczyzna — starzyzna. Ojczyzna — muzeum. Przyjechałam do Nowego Jorku — to samo. Skleroza patriotyczna! ... Strupieszale problemy, archeologiczne hymny. Zabawa w polityków... w zdalne, zza Oceanu, sterowanie Polską”. Ostatnia emigracja też nie lepsza: „... zdolarowani! Spoceni, zziązani pościgiem za Yankesami... przepychanka o dotacje — kásanie się w biegu... Ani oni, ani ci starzy nie mają żadnego programu. Prócz antysowietyzmu. Niechby Rosja wyparowała, zgłupieliby. Jak byk na pustej arenie...”.

Przewędrowawszy przez wszystkie kręgi tego nieba, sentymentalny Wsiok bierze górę i Michał wraca do kraju — bez dolarów. Z miejsca osaczają go znane udręki i zwykłe rodaków rozmowy:

„... co, za ile, ile czekania, ile w łapę... Ile na kartce mięsnej gatunku pierwszego... Czy smalec już bez kartek? O, cytryna! Jakim cudem? I ananas... w puszcze — skąd to? Z Pewexu?”.

A do tego TV i gazety, irytujące przemówienia, pokrętne komentarze, ogólna bezradność i beznadzieja. Całodzienne polowanie po Warszawie na skarpety wśród polującego, rozdrażnionego tłumu. Wściekłe baby w kolejce i obietnica przydziału mieszkania po roku 1991. Duchowo też nie ma gdzie się schronić

— ani z komunistami, ani z klerykałami: „albo fałsz czerwony, albo fałsz purpurowy”. W Taplarach też normalka: stryj — rolnik smażący niezliczone podania „o byle gównu” i tkający pod ślepia Władzy medal wojenny, by wybrać sznur do snopowiażki. Wiocha i zasiedziałość, parafiańszczyzna.

„Tę nabożność majową, ckliwość wigilijną, ideologię maryjną. Nie tylko we mnie — Michale Wieloistnym. W całym narodzie widzieć! I w przywódcach. W purpurowych. Ale i w czerwonych. Tak! W podziemnych i nadziemnych. Wiocha, wiocha, wiocha, wiocha!”

I rodzinna chata w Taplarach — symbol, „świętynia plemienna, śniąca się mnie, moim braciom, moim siostram — raz jak raj utracony, raz jak wyrzut sumienia”.

Światowiec-Wędрус podpała tę chatę.

I co dalej?

Hanna ŚWIDERSKA

Kaszuby i inne utopie

Günter Grass odwołuje się we wszystkich swych powieściach do dziedzictwa kultury europejskiej. Podchodzi doń jednak nie z delikatną miotłką archeologa i pedantycznym notesem etnografa, a z szorstkością proletariusza, który nie boi się salonu pełnego cacek, nie dlatego że umie się w nim poruszać, lecz dlatego że mało go obchodzą cacka, które nieopatrznie zniszczy. Toteż z dziewiętnastowiecznego salonu narodowych tradycji ostają się tylko wartości najtrwalsze, na tyle silne, że mają przystawać do współczesności — stanowić dla niej wyzwanie.

W „Błaszonym bębenku” po raz pierwszy dokonał Grass prze wartościowania bajki. Oskar Matzerath — podobnie jak Nils-Liliput z powieści Selmy Lagerlöf — żyje w świecie dorosłych pod postacią małego chłopca. Ale gdy Nils był ofiarą moralizatorskich wymogów bajki, to Oskar jest jej władcą. Sam podjął decyzję przemiany w chłopca — rzecz w klasycznej baśni nie do pomyślenia. „Błaszany bębenek” mało jest też bajkowy, a jego precyzyjny realizm niejako przełamuje się metafizycznie w kierunku transcendencji dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom Oskara — umiejętności rozbijania szkła przenikliwym krzykiem. W twórczości Grassa „Błaszany bębenek” spełnia wyraźną funkcję mitotwórczą. Jest w nim z jednej strony realistycznie pokazany świat Gdańska, Kaszub, teatr niemieckiej wojny i wreszcie Hamburg powojenny, ale jednocześnie tworzy się tu prywatna, grassowska legenda Gdańska. I dlatego to co w pierwszej słynnej powieści niemieckiego pisarza jest historią, w następnych — stało się historyczną legendą, materiałem do dziesiątków przeróbek, zaskakujących połączeń, nieuświadomianych ana-

logii. Legendą, którą pogłębiły dalsze części trylogii gdańskiej — „Psie lata” i „Kot i mysz”. Rozrósł się też prywatny pisarski zespół symboli: dziecinne piosenki, ryby, kaszubskie gęsi...

„Turbot” jest już wyraźnym odejściem od — powierzchownej choćby — formy realizmu. Jest to moralna przypowieść o moralności historii. Grass czerpie pełnymi garściami z dziewiętnastowiecznego lamusa mitów, z tradycji i dziedzictwa; używa historii jak odskoczni aby udowodnić karkołomną — a przecież wcale nie odkrywczą tezę — że mężczyźni stworzyli cywilizację i historię, a kobietom przypadła rola kucharek. „Turbot” jest przetworzeniem baśni o rybaku i złotej rybce, sięgnięciem do okresu, gdy światem rządziły kobiety, niewoląc w sennej stagnacji cywilizację i postęp, i sobie rezerwując władzę i bogactwo. W grassowskiej przypowieści matriarchat upadł, gdy zbuntowani przez męską rybę — turbota, mężczyźni odważyli się wreszcie sięgnąć po władzę.

„Turbot” to bajka rodem z XX wieku użyta przeciw mitom wieku XIX. Siedem (a może dziewięć, żeby zachować i w recenzji grassowską niepewność i grassowską grę ze świętymi liczbami) etapów historii widzianej z perspektywy jej kucharek opowiada o losach kolejnych buntów: przeciw matriarchatowi, przeciw religijnym dogmatom, przeciw strukturze społecznej, czy jak w przypadku kucharki Leny, która w 1970 gotowała „posiłki regeneracyjne” dla robotników gdańskiej stoczni Lenina — przeciw reżimowi totalitarnemu. Zawsze były to bunty mężczyzn, bo dla Grassa każdy bunt w historii jest tylko powieleniem i przetworzeniem tego pierwszego buntu przeciw bogini — matce neolitu. Każda ciemniejąca władza jest dla mężczyzn obiektem walki, a dla kobiet formą rzeczywistości, w której dalej można gotować zupę. I aby z góry uprzedzić nieuniknioną krytykę czytelniczek, Grass pozornie rozprawia się z gorzką i jadowitą wymową tak skonstruowanej historiozofii. Zbuntowany mężczyzna i poduszczająca go przez wieki ryba stają przed sądem feministek, które robią na drutach. Nic nie może zmienić rybiej wizji historii.

O „Szczurzyca”*, ostatniej książce Grassa, można by powiedzieć, że nie ma w niej niczego nowego. Ani od strony formalnej (tyle że męską rybę zmieniającą świat zastąpiła szczurzyca, przedstawicielka najbardziej odrażającego dla ludzi zwierzęcego gatunku, która ten świat krytykuje i ocenia), ani od strony treści — zabawa z historią, przemieszczenie bajki i rzeczywistości, ubarwienie jeszcze chwytem przetrwania teraźniejszości w nieodległą przyszłość (rzecz dzieje się w 1999 roku), po to tylko, by ukazać beznadziejność tego co jest dziś, a co w gorszej postaci ujawni się jutro. Jednocześnie dla Grassa książka jest swoistą sumą, próbą zawarcia w jednej powieści tego wszystkiego, co było ważne w poprzednich. Pojawiają się ci sami bohaterowie: Oskar Matzerath, właściciel znakomicie prosperującej wytwórni filmów

* Günter Grass, *Die Rättin*, Luchterhand Verlag, Darmstadt & Neuwied 1986.

video, jego babka, Anna Koljaczkowa, obchodząca w kaszubskiej wsi Matarnia 107-me urodziny; w nowej postaci wracają symboliczne imiona: Ilsebil z bajki o rybaku i złotej rybce; Damroka z pomorskiej legendy. Bajki rozrastają się, i w sposób wyraźny, realny, a nie tylko metaforyczny, wkraczają w rzeczywistość. Jaś i Małgosia, zbuntowane dzieci kanclerza Bundesrepublik, które uciekają z filmu video, odkrywają, że filmowy las to kłamstwo skrywające las martwy i przystają do punków. Niemiecka legenda o szczurołapie, który uratował miasto od szczurów zrasta się z interpretacją, rodem z również niemieckiego „Dziadka do orzechów”, o zemście króla myszy. Rybaczka Ilsebil i turbot — złota rybka zmieniają swoje funkcje — jednoczą się w poszukiwaniu słowiańsko-pomorskiej Atlantydy: Wenedy. Miasta zatopionego gniewem boskim, karzącym niełitościwość i skąpstwo. Jak wiele innych zaginionych miast, tak i Weneda wyrusza się z topieli w nadprzyrodzonych okolicznościach, raz na jakiś ściśle określony czas. Można ją wtedy uratować symbolicznym gestem oddania grosza biednemu. W takiej sytuacji zjawia się w niej Nils Liliput, któremu nie udaje się jednak uratować miasta, bo nie ma przy sobie nawet grosza. Legenda wychyla się na chwilę ku rzeczywistości i natychmiast z powrotem znika. Logika legendy nie polega bowiem na odwróceniu fatalistycznie zapisanego losu, a tylko na ukazaniu możliwości ratunku, co pełni jedynie funkcję dydaktyczną, taką samą jaką odnaleźć można w bajce i baśni. Winięte-Wenedę łączono (etymologicznie i etnologicznie) z Wenecją. Wenecja zaś należy już do współczesnego zestawu apokaliptycznych, katastroficznych mitów. Grass włącza je wszystkie w materię swej powieści. Umarłe lasy i zatrute morza współczesnej Europy są taką samą przestrożą, jak los zatopionej Wenedy.

Przysłowie o szczurach uciekających z tonącego okrętu nabiera globalnego wymiaru w obrazie ogromnej demonstracji szczurów, które przestały wierzyć, że przeżyją przy człowieku, i tworzą własne podziemne państwo. Przewodzi im tytułowa Szczurzyca — wielka matka szczurzego rodu. Feminizm — potępiony przez Grassa w swych neolitycznych początkach i ośmieszony we współczesnym bezradnym rozmoworze — nabiera znaczenia pozytywnego symbolu w świecie... szczurów. Szczury demonstracyjnie opuszczają tonący okręt Ziemi. Ironiczny historiograf, Grass, tworzy tym razem nową wizję dziejów ludzkości. Nasze dzieje jako gatunku biologicznego i symbolicznego zależą tylko od szczurów. To szczury zniszczyły ziemskie panowanie dinozaurów, tworząc w ten sposób miejsce dla naczelnych. Kreatywna funkcja szczurów przekształca się następnie w funkcję ochronną. Turbot buntował, szczury prowadzą, czuwają i chronią. Są jak daenike-nowscy przybysze z Kosmosu, którzy tworzą, kształtują, przyspieszają postęp, ale jednocześnie sądzą i oceniają. A gdy ród ludzki sprzeniewierza się swej ludzkiej, a wyznaczonej przez szczury misji — to go karzą wywołując — (przypadkiem?) — atomowy koniec świata. Powtarza się i potop, i zagłada Sodomy i Gomory — Bóg odwrócił twarz od Ziemi, szczury uciekają w

podziemie — ludziom zostaje to tylko, co sami potrafili osiągnąć: góry śmieci, tajemnicze przekształcone w mity i chmury wybuchów atomowych. Świat przestaje istnieć, mimo że pozornie jeszcze trwa i ludzie bezskutecznie starają się udowodnić swoje istnienie. „Jeszcze nie zginęliśmy, Szczurzyco — protestuje narrator — jeszcze mamy terminy u dentysty wyznaczone na przyszłe tysiąclecie”.

Wyobraźnia Grassa przekształca w mit całą współczesność. Nie istnieje już różnica między utopią Platona, Atlantyda, a punktami o zielonych i niebieskich włosach. Wszystko albo urasta do symbolu klęski, rodem z Biblii, albo nabiera wymiaru przestrogi, rodem z bajek.

Najważniejsze jest jednak co innego. Oto Grass, typowy pisarz niemiecki, zarażony i filozofią, i moralizatorskim posłannictwem twórczości, poszedł w „Szczurzyco” inną drogą. Fabuła, tak istotna jeszcze i tak uważnie konstruowana w trylogii gdańskiej oraz w „Turbotcie”, przestała się dla niego liczyć, zastąpiły ją szkicowo zaznaczone wątki fabularne, zaczerpnięte zarówno z poprzednich książek, jak i nowe (współczesna bajka o Jasiu i Małgosi; kobieca wyprawa naukowa w poszukiwaniu Wenedy; bunt punków; protest szczurów i wiele, wiele innych). Wątki te są zaledwie naskicowane i przypominają, że literatura fabularna jest tylko tworzeniem fikcji, a ponieważ i autor, i czytelnik znakomicie to wiedzą, nie ma najmniejszej potrzeby ubierania tejże fikcji w garnitur dziewiętnastowiecznej prozy lub przyoblekania jej w chwytne znakomicie znane zawodowym twórcom dzisiejszych *bestseller'ów*.

Metodą tą zbliżył się Grass do prądów sztuki alternatywnej, w której sam zamysł istotniejszy jest od jego realizacji, zarówno w duchowym, jak i materialnym wyrazie. Pomysł bowiem jest wolny zarówno od niedoskonałości wykonania, jak i od komercyjnych uwarunkowań funkcjonowania dzieła sztuki w społeczeństwie. Jeżeli Grass wytrwa przy swych obecnych deklaracjach, że „Szczurzyca” jest jego dziełem ostatnim, będzie to oznaczało, że alternatywna idea twórczości literackiej weszła w swoje apogeum.

W „Szczurzyco” na pierwszy plan wysuwa się morał. A nawet cały ich zestaw. I wbrew pozorom chaosu, grassowski moralitet zdaje się dążyć do pełni, do objęcia całości problemów świata współczesnego. Jego różnorodność i bałaganiarstwo (co jednomyślnie zarzucają dziś Grassowi krytycy), jego rozchwianie i wątpliwa spójność są odzwierciedleniem paroksyzmów groteskowego świata, zawieszzonego między przerażającym „dzisiaj”, a niepewnym „jutrem”. Natłok problemów, ich niejednorodna waga, pozorny brak logiki w ich formułowaniu i klasyfikowaniu, brak związku przyczynowo-skutkowego między poszczególnymi elementami rozsypanej famigłówki współczesności, łączą się w „Szczurzyco” z lekko ironicznym stosunkiem do rzeczywistości. Wszystko jest jednocześnie i ważne, i zupełnie nieistotne. Jako że jest ważne — wydaje się powołaniem i zadaniem pisarza głosić

z mocą ich wagę. Ale zarazem wszystko jest niezbyt istotne. Gdyż kataklizmy przyrodnicze, wojny, zniszczenie natury, załamanie wizji społecznego społeczeństwa, groźba zagłady atomowej, upadek docierają do nas przez system najróżniejszych kanałów, od raportów uczonych przez piosenkę rockową do komiksu, tracąc przez to jakąkolwiek wagę. Oswojone przerażenie traci swój patos — odebrana zostaje waga zarówno faktom, jak i wartościom.

I właśnie to zerwanie zależności między ciężarem zagrażającej tragedii a lekkością codziennego istnienia, tak charakterystyczne dla „globalnej wioski”, jest głównym tematem nowej powieści Grassa. Wszystko się rozpada, tragedia zdarzy się już zaraz w roku 1999, ale też już się zdarzyła, bo Grass pisze o niej używając czasu przeszłego, a ludzkość nie zwróciła na nią uwagi, bo o tylu już tragediach słyszała, czytała i rozmawiała. Ludzkość została więc na dobre wypędzona z raju... i przegapiła ten fakt, bo nawet archanioł z mieczem ognistym czy masowe pochody szczurów nie robią już na niej wrażenia.

Grass jednak jest świadomy, że tworząc nową bajkę o końcu XX wieku nie może udawać Kasandry. Epoka patetycznych wieszczów minęła — dzisiaj mogą oni zostać jedynie wyśmiani. Stąd dystans autora do opowiadanej fabuły i jej przesłania, podkreślony — jak to zwykle u Grassa — groteską, ludyczną rubasznością i odrealnieniem rzeczywistości. Odrzucając szaty szalonej prorokini, Grass przebiera się w błazeńską czapkę z dzwonekami, plasując się tym samym w długim szeregu słynnych trefnisiów królewskich, o co najmniej szekspirowskim rodowodzie. Zadaniem błaznów było mówić wszystko, a jednocześnie poprzez komizm odejmować mówionym prawdom ciężar decyzji i odpowiedzialności.

Czy tak skonstruowane „komiczne” proroctwo ma szansę przebicia się przez szum informacyjny masowej kultury? Należy wątpić, aczkolwiek Grass zrobił — jak się zdaje — wszystko, co możliwe, by tak się stało. Napisał powieść w stadium rozpadu, o pozorach bezładu i w pełni świadomie rzucił ją na żer krytyki, wiedząc przecież znakomicie, że jej totalny bałagan zostanie oceniony negatywnie. Wydaje się wręcz, że na to właśnie liczył, przeczując, że skrytykowana książka słynnego przecież pisarza stanie się swoistym literackim skandalem. A więc *eo ipso* będzie czytana. Czytana uważniej niż gdyby ją chwalono. Grass zdaje się wykorzystywać znaną prawidłowość rynku, na którym liczy się nie artystyczna perfekcja, lecz skandal, szok — jedyne elementy przyciągające choć na chwilę uwagę *Homo commercialis*. I — aby sprostać moralizatorskim funkcjom bajki i wieszczemu posłannictwu twórcy — Grass oddał na pastwę skandalu nie tylko swą nową powieść, ale i swą sławę oraz tzw. „dobre imię”. Znaczenie jego powieści wzmocnione zostało jej funkcją jako towaru na rynku, co dodatkowo wzmacnia odautorskie przesłanie.

Czy jednak pisarz zostawił czytelnikom tylko poczucie chaosu świata? O dziwo — nie. Jest bowiem w każdym z licznych powieściowych wątków „Szczurzyca” to samo przesłanie, na poły

optymistyczne — w podróży Oskara do Polski, w wyprawie Damroki do zatopionej Wenedy, czy poprzez obraz podziemnego państwa szczurów — poszukiwanie utopii i możliwość jej odnalezienia. Zarazem Grass zbyt wiele wie o świecie, by dać się ponieść idei utopii zbiorowej. O niej mówią w powieści tylko szczury. Grass odwołuje się natomiast do utopii prywatnej, bo tylko w tej formie ostanie się ona przed naporem bezduszości, totalitaryzmu i terroru. I to niezależnie od tego czy ma to być obrona przed totalitaryzmem przemocy, czy komercjalizmem. Poprzez swych bohaterów szuka Grass coraz to nowych form utopii. Wyspy Szczęśliwe nie istnieją, istnieje tylko nieustanne do nich dążenie. Kaszuby realne są mizernym zakątkiem zdeprawowanej cywilizacji w jej najgorszym bo totalitarnym wydaniu. Ale Kaszuby Grassa i Gdańsk Grassa, choć utopijne, jawią się jako jedyne możliwe ratunek ludzkości. Nieważne czego dotyczą prywatne marzenia — skarbów, szczurów, kartoflisk kaszubskich czy ratowania lasów — ważne jest (i to chyba najdobitniej usiłuje podkreślić Grass) by o tym myśleć. Trzeba zatem potrafić żyć z utopią, podtrzymywać marzenia, usadowione w psychice i intelekcie.

Rozpadowi świata zewnętrznego przeciwstawia więc Grass budowanie świata wewnętrznego. To typowe podejście indywidualisty, który dawno przestał liczyć na to, że uzyska cokolwiek od kultury, cywilizacji i społeczeństwa, bo po dokonaniu rachunku stwierdził, że jest sam. Pocięchą jest dla niego tylko fakt, że tych samotnych marzycieli obudowanych szklanymi kulami prywatnych utopii jest więcej. Że — być może — rozczłonkowane, rozbite, zatimizowane społeczeństwo budują nosiciele utopii. I w tym przesłaniu pokazuje się czytelnikowi zupełnie nowy Grass. Wszystkie bowiem poprzednie jego książki były wprowadzie historiami ludzi zbuntowanych przeciw społeczeństwu; dzwonek i odmienców świadomych wszelkich wad społeczeństwa, ale też umiejętnie je wykorzystujących. Okrutne przesłanie poprzednich powieści Grassa, zwłaszcza trylogii gdańskiej, było apologią konformizmu czy nawet pasożytnictwa w jego najbardziej groteskowej postaci. Nie akceptować nic, gdyż światu należy okazać najbardziej ohydny grymas wstępu i odrzy, wykorzystując jednocześnie maksimum wad cywilizacji dla siebie.

„Turbot” był natomiast — wbrew pozorom — książką o ogromnych, nieograniczonych możliwościach wpływania na społeczeństwo i przekształcania go. Zmiany wprowadzanie nie przynosiły w efekcie żadnych wymiernych korzyści, nowe formy, podobnie jak poprzednie, wciąż trzeba było zmieniać, ale zarówno same zmiany jak przede wszystkim możliwość ich dokonania, mieściły się w zasięgu ludzkiej aktywności. Jednostka postawiona wobec struktur, których nie akceptuje, mogła nie tylko wyrazić swój sprzeciw, ale i dokonać zmian.

Tej pocięchy „Szczurzyca” nie przynosi. Nie da się — wzorem Oskara — wybudować własnego życia, karmionego ułomnościami otoczenia. Nie da się też — z pomocą turbota czy też bez — zmienić społeczeństwa i cywilizacji. Antyhumanitarna, totalitarna machina współczesnego świata dąży ku samozagładzie

bez względu na to, co myślą lub robią wplątane w nią jednostki. Nie można też od niej uciec w żadnym realnym wymiarze. Wyspy Szczęśliwe nie istnieją. Jedyną formą ucieczki pozostaje więc własne „ja” i jego prywatne utopie. Grass nie udziela żadnej złudnej pociechy. Nie obiecuje „właścicielom” prywatnych utopii, że tworząc je obronią chociażby siebie. Utopie nie ratują od zagłady, podobnie jak nie ratuje od kłębki przemilczenia lub niezauważenia jej. Zagłada jest na trwałe wpisana w świat XX wieku. Utopie nie są więc ani tarczą, ani mieczem, a jedyne czego można się po nich spodziewać, to tego, by pomogły trwać, zanim przyjdzie koniec.

Ewa Maria ŚLASKA

Berlin, 15 marca 1986

Sułtan-Galijew wczoraj i dziś

Paryskie wydawnictwo Fayard wydało w serii „Zapomniani przez historię” książkę Alexandra Bennigsen i Chantal Lemercier-Quelquejaya zatytułowaną „Sułtan-Galijew, ojciec rewolucji w Trzecim Świecie”¹. Znani francuscy orientolodzy, badacze sowieckich republik muzułmańskich, napisali biografię tatarskiego nacjonalisty, który w 1917 roku przeszedł na stronę bolszewików, „powodowany — jak piszą autorzy — miłością do swego narodu”.

Mir Said Sułtan-Galijew, urodzony ok. 1880 roku (dokładna data urodzin nie jest znana) w tatarskiej wiosce na przedgórzu Uralu, zamordowany w sowieckim łagrze najprawdopodobniej pod koniec lat trzydziestych, byłby jeszcze jednym rewolucjonistą pożartym przez rewolucję, jedną z niezliczonych ofiar Stalina, gdyby nie proroczy charakter niektórych jego idei. Sułtan-Galijew został niewątpliwie „zapomniany przez historię” w tym sensie, że nic o nim nie wiadomo. Mimo ważnej roli, jaką odegrał w latach wojny domowej, nazwisko jego nie widnieje ani w historii ZSSR, ani w encyklopediach sowieckich, choć nie brak „demaskatorskich” artykułów, poświęconych sułtan-galijewszczyźnie. Tym niemniej sowiecki obywatel może — jeśli zechce — dowiedzieć się, kim był Sułtan-Galijew. W tym celu musi sięgnąć do dzieł zebranych towarzysza Stalina: w tomie piątym znajdzie długą wypowiedź generalnego sekretarza z czerwca 1923 roku na temat „sprawy Sułtan-Galijewa”.

Książka o Sułtan-Galijewie kończy się, zgodnie z przyjętymi zasadami, krytyczną analizą bibliografii. Przegląd źródeł zaś kończy się zdaniem: „Zauważmy na koniec jako *curiosum* pracę wy-

1. Alexandre Bennigsen, Chantal Lemercier-Quelquejaya, *Sultan Galiev, le père de la révolution tiers-mondiste*, Fayard, Paryż 1986.

daną w Polsce, z którą nie udało nam się zapoznać: Adam Krucek, „Sułtan Galijew po pięćdziesięciu latach”, *Kultura* nr 9/1973”. Francuskim znawcom islamu wydało się dziwne, że w Polsce ukazał się artykuł o Sułtan-Galijewie, a nie wiedzieć czemu nie wpadło im na myśl, że *Kultura* wydawana jest we Francji. Artykuł w *Kulturze* ukazał się na pięćdziesięciolecie osądzenia Sułtan-Galijewa przez Stalina i podkreślał aktualność wielu idei muzułmańskiego komunisty.

Wydarzenia ostatnich piętnastu lat — obalenie szacha i wybuch integrizmu w Iranie, wtargnięcie ZSSR do Afganistanu, obejmująca cały świat działalność Khadafiego, przekształcenie się Syrii w bliskowschodnie mocarstwo, wzrost rozrodczości w muzułmańskich republikach sowieckich — obejmowane ogólnym mianem „problem islamu”, wciąż na nowo kierują uwagę ku rewolucjonistom, który siedemdziesiąt lat temu odkrył, że komunizm może pomóc muzułmańskim narodom w zdobyciu niezależności.

W pierwszych miesiącach po rewolucji październikowej znaczna część muzułmańskiej inteligencji poparła bolszewików. Mieli po temu podstawy: 24 listopada 1917 Rada Komisarzy Ludowych uchwaliła „Apel do pracujących muzułmanów Rosji i Wschodu”, w którym obiecywała pełną wolność religii oraz możliwość „swobodnego, nieograniczonego organizowania życia narodowego”. Sułtan-Galijew został bliskim współpracownikiem Stalina w Ludowym Komisariacie d/s Narodowości. W Centralnym Muzułmańskim Komisariacie w Rosji, pełniącym funkcje rządu muzułmańskiego, stał na czele kolegium wojskowego. W lipcu 1918 roku muzułmańskie oddziały wojskowe liczyły ponad 50 tysięcy bagnetów i szabel i odegrały ważną rolę przy rozgromieniu Kołczaka. Dekretem Ludowego Komisariatu d/s Narodowości utworzono Sowiecką Republikę Tatarsko-Baszkirską, która obejmowała ogromne połacie Południowego Uralu i środkowego dorzecza Wołgi z 5-oma do 6-ciu milionów ludności. Równocześnie utworzono muzułmańską partię komunistyczną, niezależną organizacyjnie od partii rosyjskiej.

W połowie 1918 roku Sułtan-Galijew uznał, że urzeczywistnił pierwszą część swego planu, tj., że stworzył bazę terytorialną dla socjalistycznej rewolucji na Wschodzie: jest terytorium, jest partia, jest armia. Ale ledwie zniknęło bezpośrednie zagrożenie władzy Lenina, jak bolszewicy zaczęli wycofywać się ze swych obietnic: na pierwszym zjeździe muzułmańskich komunistów w listopadzie 1918 roku przyjęto (w obecności Stalina) uchwałę o rozwiązaniu muzułmańskiej partii komunistycznej i wchłonięciu jej przez rosyjską partię komunistyczną. Sprzeciw rosyjskich komunistów i różnice zdań między Tatarami i Baszkircami wykopowały grób Republice Tatarsko-Baszkirskiej (zamiast niej utworzono dwie małe republiki autonomiczne, baszkirską i tatarską).

W latach wojny domowej Sułtan-Galijew wytyczył główne linie programu wyzwolenia ludów muzułmańskich spod ucisku narodowego i społecznego. Część swych poglądów wypowiedział w

artykułach, ogłaszanych w gazecie *Żiżń nacjonalnostiej*, i w rozmowach z przyjaciółmi. W kwietniu 1923 roku Sułtan-Galijewa aresztowano. Było to pierwsze aresztowanie znanego bolszewika, co więcej przedstawiciela mniejszości narodowej. Po raz pierwszy też wielkiego działacza partii i rządu oskarżono o zdradę (w związku z basmaczami). Zwolniony i oddany pod nadzór OGPU Sułtan-Galijew został ponownie aresztowany w 1928 roku. Tym razem skazano go na 10 lat i posłano do obozu koncentracyjnego na Sołowkach. Nie wiadomo, czy zginął w łaźrze, czy został rozstrzelany.

Program Sułtana-Galijewa wychodził z założenia, że rewolucja proletariacka nie rozwiązuje kwestii narodowościowej. „Uważamy — pisał Sułtan-Galijew — że program zmiany światowej dyktatury jednej klasy społeczeństwa europejskiego (burżuazji) na wszechświatową dyktaturę jej przeciwnika (proletariatu), czyli innej klasy tego samego społeczeństwa europejskiego, nie zmieni zasadniczo losów uciskanej części ludzkości (ludów kolonialnych)”. Odrzucając rosyjski model rewolucji i twierdząc, że rosyjska partia komunistyczna jest „sztabem generalnym czerwonego imperializmu”, Sułtan-Galijew proponował zastąpienie komunizmu „niemieckiego” azjatycką różnorodnością. Filarem jego programu było ustanowienie dyktatury ludów kolonialnych i półkolonialnych nad monopolami przemysłowymi. Walką uciskanych narodów miała kierować Międzynarodówka Kolonialna, niezależna od Kominternu. „Związek Sowiecki — stwierdzał Sułtan-Galijew — to mocarstwo komunistyczne, ale przemysłowe, winien zatem być wykluczony z Międzynarodówki Kolonialnej, natomiast winny do niej wejść muzułmańskie terytoria Rosji”.

Pierwszym etapem na drodze do stworzenia Międzynarodówki Kolonialnej miała być republika turańska, złożona z Tatarii, Baszkirii, pięciu środkowoazjatyckich republik sowieckich (Kazachstan, Kirgizja, Uzbekistan, Turkmenia i Tadżykistan) i Azerbejdżanu. Sułtan-Galijew wyobrażał sobie suwerenny, niezależny Turan jako federacyjną, demokratyczną, ludową i socjalistyczną republikę, a jej gospodarkę jako formę kapitalizmu państwowego. Kierownictwo polityczne miało spocząć w rękach jednej, autorytarnej i scentralizowanej partii muzułmańskiej, wzorowanej na rozwiązanej w 1918 roku muzułmańskiej partii komunistycznej.

Republika Turańska i Międzynarodówka Kolonialna miały przynieść wyzwolenie wszystkim uciskanym narodom — przede wszystkim muzułmańskim — Turkom, Arabom, Afganom, Irańczykom i znieść w ZSSR dominację Rosjan nad muzułmanami.

Ostatni rozdział książki o Sułtan-Galijewie nosi tytuł „Prorok”. Autorzy wyliczają myśli, idee i plany tatarskiego rewolucjonisty, które czas obalił, ale główny nacisk kładą na te idee, które po dziś dzień pozostały żywe i niezwykle aktualne. Cytują np. słynny artykuł Lin Piao, w którym ten w 1965 roku niemal dosłownie powtórzył formułę Sułtan-Galijewa z 1920 roku: „Rewolucja światowa wygląda dziś na okrażenie miast przez wieś... Amerykę

Północną i Europę można by nazwać 'miastami świata', a Azję, Afrykę i Amerykę Łacińską uważać za 'wieś świata'. Ben Bella wielokrotnie wspominał, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim myśli Sułtan-Galijewa. Wpływ Sułtan-Galijewa wyczuwa się w teorii i praktyce wszystkich państw, budujących 'muzułmański socjalizm'”. Przede wszystkim widać w nich odbicie teorii państwa Sułtan-Galijewa: jego następcy budują państwa, w których władzę sprawuje jedna partia, opierająca się na wojsku, i w których wielką rolę odgrywa kapitalizm państwowy.

Historia pozwoliła sobie na kiepski żart. Program Sułtan-Galijewa opierał się na założeniu, że należy walczyć z hegemonią Rosjan w ZSSR i hegemonią rosyjskiej partii komunistycznej w walce o rewolucję światową. Wszystkie kraje „socjalizmu muzułmańskiego” blisko współpracują ze Związkiem Sowieckim, są przezeń wspierane i pomagają mu w realizowaniu jego polityki zagranicznej. Członek uzbekiej Akademii Nauk, Erkin Jusupow, podkreśla w obszernym artykule, opublikowanym równocześnie z książką o Sułtan-Galijewie, że „współczesny ruch islamu, ogarniający ogromne obszary od Mauretanii po Filipiny i od Pakistanu po Afrykę Tropikalną, zrodził się przede wszystkim z antyimperialistycznych nastrojów muzułmańskiego świata” (*Literaturnaja gazeta* z 16 kwietnia 1986). Akademik Jusupow formułuje zasadę sowieckiej polityki wobec islamu: „wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi”.

Sułtan-Galijew był prorokiem: to on wymyślił koncepcję „islamizacji marksizmu”. Bennigsen i Lemercier-Quelquejay dowodzą w ostatnim rozdziale książki, że po rozbiciu imperiów kolonialnych, po wywołaniu narodów skolonizowanych i zwycięstwie w licznych krajach „muzułmańskiego socjalizmu” idea Sułtan-Galijewa została zmodyfikowana. Zachodzące obecnie procesy francuscy orientolodzy uważają za „islamizację marksizmu”.

— Jak mawiał Hamlet, oto jest pytanie. Lenin, który orientował się w polityce lepiej od księcia Danii, formułował to pytanie jeszcze prościej: „kto kogo?”. W połowie XX wieku zaczęła się współpraca i współzawodnictwo dwóch najaktywniejszych sił politycznych naszych czasów, komunizmu i islamu. Autorzy „Sułtan-Galijewa” dokonują wstępnego podsumowania. Koncepcja tatarskiego rewolucjonisty, który marzył o połączeniu społecznych i politycznych zasad religii muzułmańskiej z komunistyczną techniką zdobywania i utrzymywania władzy, zrodziła „socjalizm muzułmański”, którego przykłady można obserwować w Libii, Syrii, Południowym Jemenie itd. Na drugą szalę wagi należy położyć sukcesy sowieckiej polityki zagranicznej, która umiejętnie wykorzystuje „muzułmański socjalizm” dla okrażenia głównego wroga, jakim jest świat demokratyczny.

Pytanie „kto kogo?” jest szczególnie aktualne w Związku Sowieckim, piątym pod względem liczby ludności mocarstwie muzułmańskim w świecie (po Indonezji, Indiach, Pakistanie i Bangladeszu). Autorzy „Sułtan-Galijewa” są przekonani, że zwycięży

islam, a marksizm zostanie „zislamizowany”. Przekonanie to opierają przede wszystkim na założeniu, że „muzułmanin jest nadal, tak jak i przed rewolucją, Turańczykiem i muzułmaninem” (str. 262). Ponieważ zaś — uważają — Azja Środkowa będzie pod koniec XX wieku liczyła 60-65 milionów ludzi (wobec 40-tu milionów dziś), muzułmańska ludność stanie się decydującym czynnikiem w walce o niezawisłość”. Cytowany powyżej akademik Jusupow, muzułmanin i Turańczyk, uważa inaczej. Na prognozy demografów, twierdzących, że w roku 2000 co drugi noworodek w ZSSR będzie muzułmaninem, akademik odpowiada: „Dlaczego? Będzie sowieckim człowiekiem narodowości rosyjskiej, uzbekiej, tadżyckiej, kazachskiej lub innej”.

Że teza o „islamizacji marksizmu” jest wątpliwa, widać szczególnie wyraźnie na przykładzie Afganistanu. „Nie wiemy — piszą autorzy „Sułtan-Galijewa” — jak muzułmańska elita Azji Środkowej odniosła się do dramatu afgańskiego. Można przyjąć, że niektórzy przyjęli to awanturnicze przedsięwzięcie z zadowoleniem”. Powodem zadowolenia mogło być: dla jednych uwolnienie od „feudalnego jarzma” braci Uzbeków i Tadżyków, dla innych nadzieja na uzyskanie od Moskwy w zapłatę za pomoc w Afganistanie dodatkowych przywilejów, dla jeszcze innych nadzieja na zwiększenie — po przekształceniu Afganistanu w 16-tą republikę sowiecką — liczby ludności muzułmańskiej w ZSSR do 15-tu milionów (str. 270). Wynika z tego w sposób oczywisty, że niemiejsze zadowolenie wzbudziłoby u sowieckich muzułmanów np. wkroczenie sowieckich wojsk do Pakistanu, Iranu itp.

Uświadamiając sobie być może braki argumentacji na rzecz „współistnienia Lenina z Tamerlanem”, francuscy orientolodzy kończą książkę stwierdzeniem, że „teorie Sułtan-Galijewa” są dziś przyjmowane dwojako. W świecie muzułmańskim (Dar-ul-Islam) przeciwnicy islamskiego fundamentalizmu jako jedynej podstawy organizacji społeczeństwa upatrują wyjście w „autoritarnym socjalizmie bez Rosjan” i pokładają nadzieje w „islamizacji komunizmu”. Sowieccy muzułmanie — zdaniem autorów książki — albo się rusyfikują i przestają być muzułmanami, albo odwracają się od marksizmu i zwracają ku religii. Jednak, jak powiedział mufti muzułmanów Azji Środkowej i Kazachstanu, Zijautdin ibn Babachan, „ludzie sowieccy, nawet wierzący, biorą aktywny udział w budownictwie socjalistycznym i komunistycznym, nie rezygnują z prawa do praktyk religijnych”.

Pytanie „kto kogo?” jeszcze długo nie będzie rozstrzygnięte. Książka „Sułtan-Galijew, ojciec rewolucji w Trzecim Świecie”, pełna niezmiernie interesujących informacji o decydującej bitwie naszych czasów, nie daje odpowiedzi na „główne pytanie”. Ale rolę historyka nie jest dawanie odpowiedzi. Wystarczy, by stawił prawidłowe pytania.

Adam KRUCZEK

Nadesłane nowości wydawnicze

- LAMMICH (Siegfried). *Proces przeciwko zabójcom ks. Jerzego Popiełuszki. Relacja obserwatora i dokumenty*. Str. 103 i 7 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1986).
- SZEJNERT (Małgorzata), ZALEWSKI (Tomasz). *Szczecin. Grudzień, sierpień, grudzień*. Str. 382 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1986).
- Między sierpem a młotem. ZSSR i świat*. Wybór artykułów pod red. I. Lasoty. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1985).
- Pod czerwoną gwiazdą. Komunizm w różnych krajach*. Wybór artykułów pod red. I. Lasoty. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1985).
- Emeryk Hutten-Czapki, 1897-1979. *Szkic biograficzny i wspomnienia współczesnych*. Str. 111 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- DRZYŻGA (Bernard). *Zagra-Lin. Odwet-sabotaż-dywersonja*. Str. 136. (Wyd. PFK, Londyn 1986).
- JENNE (Beniamin Józef). *Jantaro- wy flet*. Wiersze. Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- STAHL (Zdzisław). *Generał Anders i 2-gi Korpus*. Str. 40. (Wyd. PFK, Londyn 1985).
- WYRWA (Tadeusz). *Historyk na obczyźnie a najnowsze dzieje Polski*. Str. 31 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- DĄBROWSKA (Jadwiga). *Zaułek pełen ptaków*. Wiersze. Str. 70 i 8 nlb. (Wyd. Polski Ośrodek Wydawniczy, Paryż 1986).
- MAREK (Zdzisław). *Wyspa Orfeusza*. Wiersze. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- PERLIK (Natalia). *Po co żyje, kim jestem?* Str. 204 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- WAZACZ (Mieczysława). *Czwarty wymiar*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- POLANOWSKI (Tadeusz). *Pi razy oko. Wiersze i fraszki*. Str. 128. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).
- Polityka Polska nr 4*. Str. 148. (Przedruk krajowego pisma podziemnego, wyd. Wydawnictwo Inicyjatywa, Londyn, kwiecień 1986).
- Komunikat nr 98/99 Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie* (lutego 1986). Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. jak wyżej, Londyn 1986).
- KOZŁOWSKI (Maciej). *Krajobrazy przed bitwą*. Str. 195 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 200).
- Le SAUX (Henri), MONCHANIN (Jules). *Benedyktynski Aśram*. Str. 155 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 200).
- ŁOJEK (Jerzy). *Geneza i obalenie Konstytucji 3. Maja*. *Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej 1787-1792*. Str. 558 i 2 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1986, cena zł 700).
- BORKOWSKA (Anna). *Bożek templariuszy*. Str. 145 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1986, cena zł 200).
- MIŁOSZ (Czesław). *Visions de la baie de San Francisco*. Przeł. z polskiego Marie Bouvard. Str. 233 i 7 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1986, cena F. 89).
- Milosz par Milosz. Entretiens de Czesław Milosz avec Ewa Czarnecka et Aleksander Fiut*. Przeł. z polskiego Daniel Beauvois. Str. 338 i 6 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1986, cena F. 98).
- MIŁOSZ (Czesław). *Histoire de la littérature polonaise*. Przeł. z angielskiego André Kozimor. Str. 794 i 8 nlb. (Wyd. Fayard, Paryż 1986, cena F. 350).
- MAMLEIEV (Iouri). *Chatouny*. Przeł. z rosyjskiego Pierre Grazi- mis i Anne Coldefy-Faucard. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Robert Laf- font, Paryż 1986, cena F. 90).

L'autre Europe nr 9. Str. 138 i 6 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozanna 1986).

Le XXVII^e Congrès du Parti Communiste de l'Union Soviétique, fascicules 1-3. W: *Bulletin d'information*, seria *Documents des partis communistes et ouvriers, articles et interventions*. (Wyd. Editions Internationales „Paix et socialisme”, Praga 1986).

MAREK (Edmond). *La fête nationale du 3 mai ou „La prise de la Bastille” des Polonais*. Str. 22 i 2 nlb. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1986).

To Die in Afghanistan (A Supplement to „Tears, Blood and Cries”, Human Rights in Afghanistan Since the Invasion 1979 to 1984). *A Helsinki Watch and Asia Watch Report*. Str. 105 i 1 nlb. (Wyd. Helsinki Watch i Asia Watch, Nowy Jork - Waszyngton 1985).

OUDENAREN (van, John). *Soviet Policy Toward Western Europe. Objectives, Instruments, Results*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, 1986).

OUDENAREN (van, John). *The Soviet Union and the Socialist and Social Democratic Parties in Western Europe*. Str. 49 i 1 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica, USA, 1986).

Polen. Geistesgeschichtliche Entwicklungslinien. Geschichte — Initiativen — Zukunftsteime. W: „Beiträge zur Dreigliederung des sozialen Organismus”, zeszyt nr 38/39, wiosna 1986. (Zebrał i opracował A. Wagner, wyd. Reinhard Giese, Rabel, RFN, cena DM 10). *Solidarnost' ot istokow do wojenno-go položenija*. Opr. Irena Lasota. Przekł. z polskiego Natalia Gorbaniowska. Str. 215 i 1 nlb. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, Nowy Jork 1986).

PEKAR (Josef). *Bila Hora*. Str. 159 i 7 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986).

REYNEK (Bohuslav). *Basnicke dilo II*. Str. 354 i 2 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1986, cena tomów I-II £ 15).

UGGLA (Andrzej Nils). *Den svenska polenbilden och polsk prosa i Sverige 1939-1960. Tva studier i reception (with summaries in English)*. Str. 194 i 2 nlb. (Wyd. Uppsala University w serii „Uppsala Slavic Papers”, Uppsala 1986). *Slovo* nr 29/1985. Str. 17 i 1 nlb. (Wyd. Uppsala Universitet, Slaviska Institutionen).

Slovo nr 31/1986. (Wyd. Uppsala Universitet, Slaviska Institutionen).

MAZUREK (C.). *Em Busca da Terra Prometida*. Str. 190 i 2 nlb. (Wyd. Editorad o Escritor, Sao Paulo).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

6-4-86

Został określony wkład Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i wynosi on 76 mln dolarów. Z kwoty tej około 22 % byłoby płatne w walutach wymiennalnych, a reszta w złotych. ■ W roku 1985 na kontraktach zbiorowych i indywidualnych pracowało za granicą około 90 tys. obywateli PRL (w krajach RWPG — 50 tys., w Afryce — 8 tys., na Bliskim Wschodzie — 7,5 tys. i w Europie zachodniej — 6 tys.). 72 % stanowią robotnicy, 15 % — inżynierowie i technicy. ■ Utworzono polsko-sowiecką radę dyrektorów jednostek naukowo-badawczych. Ze strony polskiej należy do rady 46 jednostek przemysłowych i naukowo-badawczych. ■ Przydzielano paliw (głównie oleju napędowego) na I kwartał bież. roku dla jednostek gospodarczych Kółek Rolniczych były niższe o 20 % od przydziałów w 1985 roku. — (*Tygodnik Powszechny*).

14-4-86

Zmarł w Polsce w wieku 95 lat Stanisław Helsztyński, anglista, pisarz i publicysta.

20-4-86

W ubiegłym roku przebywało w Czechosłowacji 150 tys. polskich turystów, a tylko 15 tys. Czechów i Słowaków w Polsce (w 1980 roku PRL gościła 1,7 mln obywateli Czechosłowacji). Polska jest jedynym krajem socjalistycznym, z którym Czechosłowacja nie ma umowy turystycznej. ■ Tylko w ub. roku książki w Polsce średnio podróżowały o 65 %. Ceny miejsc kempingowych wzrosły w tym roku o 30 %. Podniesiono ceny węgla, gazu, energii elektrycznej, centralnego ogrzewania i ciepłej wody. Najbardziej zdrożał węgiel (z 2.400 zł do 3.300 zł z tonę). ■ Wszystkie wstrzymane inwestycje w Polsce, które nie zostały ani wznowione ani zagospodarowane do końca 1985 roku w trybie uchwały Rady Ministrów zostały uznane za zakończone. — (*Tygodnik Powszechny* z 20 kwietnia 1986).

21-4-86

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat adwokat Witold Lis-Olszewski, oficer AK, wieloletni nieustraszony obrońca w procesach politycznych.

4-5-86

W związku ze spadkiem cen ropy naftowej na świecie, ZSSR sprzedaje ropę na Zachodzie w cenie \$ 15,00 za baryłkę, natomiast Polsce po \$ 25,00 za baryłkę.

6-5-86

W Muzeum Archidiecezji Warszawskiej została otwarta wystawa obrazów i rysunków Józefa Czapskiego, wypożyczonych ze zbiorów Muzeum Narodowego oraz z kolekcji prywatnych. Wystawa została otwarta przez ks. Janusza Pasierba. Trwać będzie do 28 czerwca br.

9-5-86

Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat Józef Rybicki („Andrzej”) — naukowiec i pedagog, uczestnik wojny 1920 roku, oficer AK — szef Kedywu okręgu warszawskiego, uczestnik Powstania Warszawskiego; później pracował w delegaturze Sił Zbrojnych i w WiN-ie; po wojnie został skazany przez

sądy PRL na 6 lat więzienia. W 1976 roku był jednym z założycieli KOR-u i jego czynnym działaczem.

12-5-86

Zmarła w Warszawie w wieku 65 lat Anna Kamieńska, wybitna poetka i esecistka.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-3-86

W Karlstadt w Szwecji zostało otwarte biuro zagraniczne Konfederacji Polski Niepodległej. Kierownikiem biura jest p. Paweł Wielechowski. Adres: KPN, Box 7004.650 07 Karlstad. Posgiro: 4609420-7.

31-3-86

Premier Hiszpanii Felipe Gonzalez przyjął przedstawiciela NSZZ „Solidarność” Jerzego Milewskiego. W czasie audyencji zostały omówione formy pomocy politycznej dla „Solidarności” na forum międzynarodowym.

16-4-86

Michał Giedroyc został wybrany członkiem Senior Common Room w Oriel College w Oxfordzie.

28-4 - 2-5-86

Od 28 kwietnia do 2 maja br. na University of Canterbury w Christchurch w Nowej Zelandii miała miejsce wystawa „Solidarność” — Poland in the 1980. M.in. wyświetlano film „Kalendarz wojenny” oraz zebrano 137 podpisów pod petycją o uwolnienie więźniów politycznych w Polsce.

2-5-86

Zmarł w Londynie w wieku 71 lat Witold Ryser-Szymański, dziennikarz i polityk, żołnierz Brygady Karpackiej, b. współpracownik Reutera i United Press, b. dyrektor biura paryskiego Radia Swoboda, członek Komitetu Centralnego PPS w Londynie. ■ Norweski PEN-Club wybrał Czesława Bieleckiego na członka honorowego. Jednocześnie Zjazd krajowy architektów norweskich wystąpił do władz PRL petycją, domagając się jego zwolnienia.

3-5-86

Kiermasz Książki Polskiej S.P.K. w Zurychu obchodzi 36-lecie swego istnienia. Założycielem Kiermaszu był Kazimierz Vincenz, a po jego śmierci prowadzi go z dużym poświęceniem jego żona, Halszka Vincenz-Poniatowska. Kiermasz Książki Polskiej obsługuje wszystkie polskie ośrodki w Szwajcarii i bierze udział we wszystkich imprezach polskich w Szwajcarii.

10-5-86

Jury nagrody *Wiadomości* w Londynie przyznało Adamowi Michnikowi nagrodę za jego pracę „Dzieje honoru w Polsce”, która ukazała się w „Bibliotece Kultury”.

24-5-86

Miroslaw Chojecki, członek brukselskiego Biura Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” i redaktor miesięcznika *Kontakt* oraz Adam Winkler (który przez pół roku przebywał wśród partyzantów w Afganistanie) odbędą turę odczytów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, zorganizowaną przez Północno-

amerykańskie Studium Spraw Polskich. M. Chojecki zaprezentuje m.in. dwa filmy o podziemiu w Polsce, A. Winkler będzie mówił o swoim pobycie w Afganistanie oraz komentował film na temat historii wojny afgańskiej.

25-5-86

W 50-tą rocznicę zamordowania Simona Petlury w Paryżu odbył się szereg uroczystości, zorganizowanych przez organizacje ukraińskie, koordynowane przez Bibliotekę im. Simona Petlury w Paryżu. Redakcja *Kultury* złożyła wieńiec na grobie Petlury na cmentarzu Montparnasse.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Zaraz po ataku USA na Libię przeprowadzono sondaż opinii publicznej w dwóch sprawach: czy Amerykanie pochwalają amerykańską akcję militarną i czy wierzą w kontratak terrorystów. W drugim dniu po operacji floty i lotnictwa amerykańskiego 77 % zapytanych akceptowało akcję Reagana, a tylko 14 % potępiało ją. Na drugie pytanie, postawione w tygodniu po operacji antylibijskiej (ponieważ w międzyczasie zamordowano co najmniej dwóch zakładników porwanych już dawniej w Libanie) — zapytani odpowiedzieli twierdząco. Libijscy terroryści oświadczyli zresztą, że zakładników zabito w odwet za atak na Libię. Następnie bardzo wielu Amerykanów zmieniło swe plany wakacyjne i zamiast planowanej podróży do Europy Zachodniej, postanowiło jechać do Europy Wschodniej, gdzie jak wiadomo sprawne władze bezpieczeństwa chronią turystów przed terrorem. Amerykańskie biura podróży przyjęły wówczas wiele zamówień na wyjazdy do Polski, Rumunii, Węgier i Czechosłowacji. Tak było do chwili katastrofy w Czernobylu. Po niej wielu Amerykanów jeszcze raz zmieniło plany. Z małymi wyjątkami nie dotyczy to Amerykanów wschodnioeuropejskiego pochodzenia, którzy utrzymują więzy rodzinne ze swymi krewnymi w tych krajach. Ci uznali, że krytyczna sytuacja wymaga tym bardziej ich obecności. Natomiast Amerykanie „etnicznie obojętni”, którzy zamierzali lecieć do Europy Wschodniej ze względu na bezpieczeństwo, szybko swoje zamówienia wycofali. W rezultacie zostaną chyba w Stanach Zjednoczonych. ■ Jeszcze nie tak dawno, bo cztery lata temu, baryłka ropy naftowej kosztowała 37 do 39 dolarów. Obecnie, gdy piszę tę kronikę, kosztuje ona 13-14 dolarów. Tego nagłego spadku cen ropy nie przewidział żaden ze znanych ekonomistów. Dopiero teraz, *ex post*, tłumaczą, że tak musiało być. Żeby zapobiec dalszemu spadkowi cen, odbyły się liczne spotkania i konferencje przedstawicieli państw OPEC, które nie dały jednak żadnego rezultatu. Szejk Yamani, minister energetyki Arabii Saudyjskiej, usiłował nakłonić inne kraje ropodajne do zmniejszenia wydobycia. Arabia Saudyjska, która jest największym dostawcą ropy spośród państw arabskich i Iranu, może sobie na to pozwolić, ale inne kraje, których dochody ze sprzedaży ropy znacznie zmalały, usiłowały utrzymać ich poziom poprzez zwiększone wydobycie. W ten sposób powodowały jednak dalszy spadek cen. W niektórych stanach amerykańskich — głównie w Teksasie, Kalifornii i Oklahomie — znalazło się dużo drobnych przedsiębiorców, którym przy wysokiej cenie ropy opłacało się wydobywać ten surowiec z miniatury pól naftowych. Zwiększało to dostawę ropy na rynki wtedy, gdy cena jej dochodziła do 39 dolarów za baryłkę. Obecnie, gdy cena spadła, przestaje się im to opłacać. Jeśli ci drobni producenci przestaną wydobywać ropę, wpłynie to naturalnie na zmniejszenie podaży. Ponadto wielec dostawcy ropy sądzą, że na poprawę koniunktury naftowej wpłynie katastrofa w Czernobylu, która wyeliminuje centrale nuklearne. Nadzieje są, jak przypuszczam, zwoźnicze. ■ W kilka dni po katastrofie atomowej w Czernobylu na ekranie telewizyjnym ABC ukazał się radca ambasady

sowieckiej w Ottawie, Pozdniakow. Zapytany przez komentatora TV, Teda Koppela, dlaczego kierownictwo sowieckie nie zawiadomiło od razu reszty świata o wypadku, Pozdniakow oświadczył, że wypadek miał miejsce w czasie *weekend'u*, kiedy to przedstawiciele zainteresowanych państw udają się na wypoczynek. Dlatego właśnie rząd ZSSR opóźnił swą informację. Należałoby podziwiać takt i delikatność władz sowieckich, które nie chciały psuć imperialistom zasłużonego wypoczynku, ale Ted Koppel, który na ogół ma zrozumienie dla sowieckich ludzi, tym razem napadł ostro na Pozdniakowa. Odpowiedź sowieckiego dyplomaty uznał za bezsensowną. Zresztą można wątpić, czy sowieccy zwierzchnicy byli zadowoleni z wyjaśnienia Pozdniakowa. Dwa dni później komisja kongresowa zaprosiła Witalego Czurkina, 2-go sekretarza ambasady sowieckiej w Waszyngtonie. Jego odpowiedzi były o tyle sensowniejsze, że stwierdził od razu, iż to co od niego usłyszą będzie oparte wyłącznie na oficjalnych komunikatach. Można było więc wywnioskować, że dane, które ma do swojej dyspozycji nie wyczerpują problemu. Choć Czurkin zachował się bez porównania zręcznie niż Pozdniakow, kongresmani nie dowiedzieli się od niego więcej niż to, co podały komunikaty TASS'a. ■ Nie tyle sama katastrofa w Czernobylu, co zachowanie Sovietów, którzy starali się przez kilka dni ukryć ją przed światem, wywołało wielkie oburzenie na całym świecie. Jednocześnie zaś zaktywizowało się amerykańskie antynuklearne *lobby*. Tutejsi obrońcy środowiska naturalnego wszczęli natychmiast akcję żądającą zamknięcia istniejących central, ponieważ „to co zdarzyło się w Sowietach, zdarzyć się może i u nas”. Oczywiście nikt nie może zagwarantować na 100 %, że podobny wypadek nie może mieć miejsca w Ameryce. Różnica polega na tym, że elektrownie atomowe w Stanach posiadają zasobniki, które, w wypadku awarii reaktora, zatrzymują skażone powietrze, nie dopuszczając do zradioaktywizowania atmosfery. Tak właśnie było w elektrowni zbudowanej na Three Miles Island, w której zdarzył się wypadek w późnych latach siedemdziesiątych, kiedy to przeciwnicy energii nuklearnej czekali choćby na jedną śmiertelną ofiarę. Stanowiłoby to kolosalny atut w ich antynuklearnej kampanii. Na szczęście nie zginął ani nie zachorował nikt. ■ Wyrzeland rakieta amerykańska typu Delta miała umieścić na orbicie meteorologicznego satelitę. Już po kilkunastu sekundach zauważono w niej poważne defekty, w rezultacie których kierujący lotem inżynierowie NASA spowodowali jej eksplozję. W przeciwnym razie rakieta, która zmieniła tor swego lotu mogłaby spaść na tereny zamieszkałe przez ludzi. Jest to trzecia z kolei katastrofa rakiet konstruowanych i kierowanych przez NASA. ■ W drugiej połowie kwietnia FBI wykryło i zapobiegło chyba największej w historii Ameryki aferze przemytu najnowocześniejszej broni do Iranu. Wartość przemycanego sprzętu wynosiła ponad 2 miliardy dolarów. Wśród aresztowanych przez FBI przemytników było kilku Amerykanów oraz jeden emerytowany generał izraelski. Rząd Izraela zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z całą sprawą. ■ Po śmierci prof. Ludwika Krzyżanowskiego redaktorem *The Polish Review* ma zostać prof. Stanisław Barańczak.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 4 maja 1986

KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELANDZKA

Około 60 młodych działaczy, reprezentujących ośrodki polonijne z całej Australii, wzięło udział w Drugim Zjeździe Polskiej Młodzieży, który odbył się w Ośrodku Wypoczynkowym „Podhale” na Tasmanii, należącym do Związku Polaków w Hobart. Zjazd organizowany był przez Radę Naczelną

Polskich Organizacji w Australii, przy ścisłej współpracy Związku Polaków w Hobart. Na uroczystości otwarcia zjazdu przybyli m.in. federalny minister imigracji i spraw etnicznych C. Hurford i arcybiskup Hobart G. Young. W oficjalnym powitaniu zjazdu minister Hurford podkreślił, że „polsko-australijska młodzież musi przechowywać i rozwijać na obczyźnie zachodnią kulturę i wartości Polski. Młodzież ta musi dowiedzieć się, że mogą one być kulturowane pomimo odchodzenia pokolenia, które pamięta Polskę niepodległą i pomimo ciągłego ucisku, któremu poddana jest dzisiaj Polska. W Australii, kraju wielu kultur, polsko-australijska młodzież może liczyć w tym względzie na wszelką pomoc ze strony rządu australijskiego”. Minister Hurford zakończył swoje przemówienie słowami „Polska nie zginie, póki wy żyjecie”. ■ Z okazji 75-lecia istnienia Związku Harcerstwa Polskiego odbył się w stanie Victoria zlot harcerstwa polskiego z Australii oraz z szeregu zachodnich krajów. ■ W Melbourne odbył się doroczny zjazd Komitetu Doradczego Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. W zjeździe uczestniczyli przedstawiciele organizacji polonijnych ze wszystkich stanów Australii. W obradach dominowały sprawy młodzieżowe oraz rozpoczynającego w federalnej stolicy Canberra swoją działalność Biura Informacyjnego Polonii Australijskiej, będącego oficjalną agendą Rady Naczelnej. ■ Australijski Uniwersytet Narodowy w Canberra wydał książkę pt. „Polish People and Culture” pod redakcją profesorów Jerzego Zubrzyckiego i Rolanda Sussexa. Książka zawiera osiem esejów autorstwa polskich i australijskich naukowców, m.in. Jana Pakulskiego, Lecha Paszkowskiego, Jerzego Smolicza i Anny Wierzbickiej. ■ Działające w Australii Biuro Informacyjne NSZZ Solidarność (z siedzibą w Sydney) informuje australijskie środowiska polityczne i związkowe o bieżącej sytuacji w Polsce, organizuje akcje w obrobie represjonowanych działaczy w kraju oraz organizuje pomoc materialną i wsparcie polityczne dla podziemnej „Solidarności” i demokratycznej opozycji w Polsce. Biuro Informacyjne rozsyła m.in. dwutygodnik *Uncensored Poland News Bulletin* do ponad osiemdziesięciu czołowych polityków, publicystów i związków zawodowych. Koordynatorem Biura Informacyjnego jest b. członek zarządu Regionu Śląsko-Dąbrowskiego NSZZ „Solidarność”, Henryk Sikora. ■ W Sydney zmarł jeden z najbardziej cenionych i znanych artystów australijskich, malarz polskiego pochodzenia, Maksymilian Feuerling, były profesor Akademii Sztuk pięknych we Lwowie i Warszawie. Artysta przybył do Australii w 1950 roku; prowadził wydział sztuki na uniwersytecie sydneyjskim i zdobył w Australii 14 ważnych nagród. ■ Walcząc w oddziałach afganistańskich poległ Lech Zondek, student i reporter z najnowszej polskiej emigracji w Australii. O śmierci Zondka ukazały się w prasie i telewizji australijskiej obszerne informacje i zdjęcia z walk w Afganistanie. ■ Od pięciu lat przebywa w Australii znany polski aktor Jerzy Felczyński. Stworzył on Teatr Jednego Aktora i objędzą z występami wiele polskich ośrodków. ■ Z okazji Dnia Australii otrzymało Medal of the Order of Australia za działalność na rzecz polskiej społeczności dwóch znanych działaczy polonijnych, prezes Stowarzyszenia Polaków w Queensland Franciszek Rutyna oraz wiceprezes Federacji Polskich Organizacji w Południowej Australii, Aleksander Ćmielewski. ■ Nowym kierownikiem Studiów Polskich na Uniwersytecie Macquarie w Sydney — po ustąpieniu dr. Johna Besemera — został dr Edward Ronowicz. ■ Ambasadorem australijskim w Wietnamie jest Richard Broinowski, potomek polskiego emigranta Gracjana Józefa Broinowskiego (autora „Birds of Australia” — Ptaki Australii, wspaniałego dzieła w sześciu tomach). ■ Wydawane w Sydney od ponad 90 lat pismo w języku francuskim *Le Courier Australien* założone zostało przez Polaka Karola Wróblewskiego, urodzonego w 1855 roku w Grodnie. ■ W Melbourne wydany został drugi z kolei tom wierszy Józefa Lemiesza-Wawrzynkiewicza pt. „Ból skrzydeł”, str. 128, z licznymi rycinami, wykonanymi przez żonę autora, Australijkę Eileen. „Ból skrzydeł” jest przekrojem twórczości

poetyckiej autora od 1942 do 1982 roku. ■ Jedną z polskich organizacji w Australii, prawie już całkowicie przejętą przez najnowszą emigrację, jest Stowarzyszenie Techników i Inżynierów w Melbourne, liczące około 170 członków. ■ Australijski Uniwersytet Narodowy (Canberra) ustanowił roczną nagrodę im. Jerzego Zubrzyckiego, profesora-założyciela katedry socjologii na tym uniwersytecie. Nagroda będzie nadawana za najlepsze wyniki studentowi czwartego roku socjologii, począwszy od roku 1986. ■ Prezesem Stowarzyszenia Polaków w stanie Queensland został ponownie Franciszek Rutyna, wieloletni działacz społeczny. Stowarzyszenie ma ponad 400 członków, wydaje miesięczny *Biuletyn* z obszernym działem z życia organizacyjnego, jest właścicielem Domu Polskiego „Polonia” w Brisbane. ■ Tadeusz Kempa, zamieszkały w Hobart, jest autorem drugiej z kolei książki o Polakach w Australii. Pierwszą była „Polacy w Tasmanii (1947-1972)”. Druga to „Zapiski emigranta”, w której marginesowo pisze o całości australijskiej Polonii, koncentrując się głównie na historii i działalności Polonii w stanie Tasmania. ■ W Sydney w Opera Broadwalk Studio wystawiona została sztuka Witolda Gombrowicza „Słub”, w tłumaczeniu na język angielski, w reżyserii polskiego aktora Bogdana Koca, zamieszkałego w Sydney.

Jerzy GROT-KWAŚNIEWSKI

Melbourne, 6 maja 1986

KRONIKA FRANCUSKA

Z okazji wydania po polsku książki Władysława Bartoszewskiego „Warto być przyzwoitym” (wyd. „Spotkania”) paryska Księgarnia Polska wraz z wydawcą zorganizowali w końcu kwietnia w Księgarni Polskiej w Paryżu spotkanie, w którym uczestniczył autor. ■ Z inicjatywy paryskiego komitetu Solidarności w pierwszych dniach maja przebywała w Polsce delegacja lekarzy francuskich — członków Medycznego Stowarzyszenia Pomocy Polsce. Ich zabiegi u władz PRL o umożliwienie więźniom politycznym korzystania z prawdziwej opieki lekarskiej były bezskuteczne. W liście otwartym, skierowanym do Ministerstwa Sprawiedliwości PRL, lekarze francuscy wyrazili zaniepokojenie sytuacją więźniów prowadzących głodówki. ■ 9 maja Czesław Miłosz wziął udział w znanym programie Bernarda Pivot „Apostrophes”. Został on zaproszony do telewizji francuskiej w związku z ukazaniem się w paryskim domu wydawniczym Fayard jednocześnie trzech jego książek: „Widzenia nad Zatoką San Francisco”, „Historia literatury polskiej” oraz „Miłosz par Miłosz”. Ta ostatnia książka składa się z rozmów przeprowadzonych z Miłoszem przez Ewę Czarnecką i Aleksandra Fiuta. W prawie całej prasie francuskiej ukazały się artykuły o Miłoszu lub wywiady z nim. 10 maja Czesław Miłosz podpisywał swoje książki, polskie i francuskie, w księgarni Libella. ■ Ponad sto osób przybyło 8 maja na otwarcie nowego lokalu miesięcznika *Kontakt* i wytwórni filmów „Video-Kontakt” (42, rue Raymond Marcheron, 92170 Vanves, tel.: 46 45 87 16). Pokazem filmu o Józefie Czapskim zainaugurowano działalność „Klubu Kontaktu”. W tydzień po otwarciu nowego klubu odbył się wieczór autorski Julii Hartwig i Artura Międzyrzeckiego, znanych poetów i tłumaczy z Warszawy. W najbliższych tygodniach w „Klubie Kontaktu” zobaczycy będzie można kilka ciekawych filmów, m.in. „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego, „Wielki Bieg” Jerzego Domaradzkiego, „Kobietę samotną” Agnieszki Holland oraz szereg filmów „Video-Kontakt”. ■ Centre du Dialogue w Paryżu zorganizował 28 maja o godz. 20.30 w sali przy Kościele Saint Pierre du Gros Caillou wieczór autorski Zbigniewa Herberta.

Wojciech SIKORA

KRONIKA KANADYJSKA

Grupa 52 lekarzy polskich, przybyłych do Kanady jako uchodźcy w ostatnich kilku latach, wniosła do sądu skargę przeciwko rządowi prowincji Ontario. Lekarze ci mieszkają w Ontario, zdali wstępne egzaminy kwalifikacyjne, obowiązujące wszystkich lekarzy-cudzoziemców, ale nie otrzymali prawa wykonywania praktyki, która jest uzależniona od dwuletniej praktyki szpitalnej. Żaden z tych lekarzy nie może dostać się do szpitala, gdyż miejsca dla praktykantów są ograniczone, a obowiązujące przepisy i zarządzenia nakazują przyjmowanie przede wszystkim absolwentów uniwersytetów kanadyjskich. Lekarze skarżą rząd prowincji Ontario o dyskryminację. Na zwołanej konferencji prasowej oświadczyli, że gotowi są przyjąć pracę w każdej miejscowości, w której odczuwa się brak lekarzy, i że jedynym ich pragnieniem jest wykonywanie swojego zawodu. Rząd prowincji Ontario obarcza odpowiedzialnością za ten stan rzeczy Zrzeszenie Lekarzy w Ontario i Rząd Federalny. Zrzeszenie jest instytucją uprawnioną do wydawania licencji zawodowych, kontroluje i reguluje ilość lekarzy, m.in. poprzez przydzielanie miejsc na obowiązującą praktykę w szpitalach. Ilość miejsc jest w pewnym sensie uzależniona od Rządu Federalnego — praktycznie od większych dotacji budżetowych na szpitalnictwo. Sprawa wzbudziła duże zainteresowanie prasy i innych środków masowego przekazu, nie ogranicza się ona bowiem tylko do wspomnianych 52 lekarzy. Według niektórych danych szacunkowych w Kanadzie jest około 570 lekarzy i dentystów, którzy zdali egzaminy kwalifikacyjne, lecz nie otrzymali dotychczas prawa wykonywania zawodu. ■ Staraniem Fundacji im. Władysława Reymonta odbył się 17 kwietnia w Toronto wieczór autorski poetów Wacława Iwaniuka i Floriana Śmieji. Twórczość Iwaniuka omówiła dr Jadwiga Jurkszus-Tomaszewska, a Śmieji red. Edward Zyman. Wiersze recytowały panie: I. Habrowska-Jellaczyc, E. Wolska i H. Krajewska. ■ Fundusz Wieczysty Millenium w okresie sprawozdawczym 1 listopad 1984 - 31 październik 1985 roku wzrósł o sumę \$ 64.237 i wynosił \$ 1.313.426. W okresie sprawozdawczym z odsetek kapitału wpłynęło \$ 124.208, wydatki administracyjne wyniosły \$ 6.765. Do rozdziału pozostała suma \$ 119.904 oraz pozostałość z ubiegłego roku w wysokości \$ 5.543, a więc razem \$ 125.447. Z sumy tej wydatkowano na szkolnictwo \$ 29.800: po \$ 5.000 otrzymały wydziały slawistyczne University of Toronto i University of Manitoba (Winnipeg), \$ 12.800 — 30 szkół i kursów i \$ 18.500 organizacje młodzieżowe, w tym harcerstwo na szkolenie i wyjazd dzieci do Rzymu — \$ 11.000. — Organizacjom społecznym oraz na cele kulturalno-oświatowe przyznano ogółem \$ 31.700, z tego: Instytutowi Badawczemu w Toronto — \$ 13.750, Instytutowi Naukowemu w Montrealu — \$ 5.000, Ośrodkowi Pomocy Społecznej i Komisji Opieki Społecznej w Toronto — \$ 7.500. Na stypendia przyznano ogółem \$ 31.850, w tym 38 indywidualnych (w sumie \$ 21.350), dla KUL-u — \$ 5.500 oraz 20 harcerskich — \$ 5.000. — Ogółem rozdzielono więc w okresie sprawozdawczym \$ 111.850, a na rok następny pozostała suma — \$ 13.597. ■ Ministerstwo Zatrudnienia i Imigracji opublikowało tom tablic statystycznych dotyczących imigracji do Kanady w 1983 roku. Brak szczegółowych danych z lat poprzednich, toteż trzeba będzie powrócić do tego tematu i porównać dane z lat szczególnie nas interesujących, tj. 1980, 1981, 1982, w których nasiliła się polityczna emigracja z Polski. Rząd kanadyjski w tych latach z jednej strony powiększył kwotę imigracyjną dla państw europejskich pod rządami komunistycznymi, z drugiej zrewidował określenie „uchodźca”, umożliwiając uzyskanie tego statusu praktycznie każdemu imigrantowi z Polski, który z jakiegokolwiek powodu opuścił kraj.

Rok 1983 wykazał znaczny spadek imigracji w porównaniu z trzema poprzedzającymi latami: 1982 r. — 121.147 osób; 1981 r. — 128.617; 1980 r. — 143.117. W 1983 r. przybyło ogółem z wszystkich krajów 89.157 imigrantów, z tego z Europy — 23.664, z Afryki — 3.913, z Azji — 38.183, z Ameryki Południowej — 6.136, z Wysp Karaibskich — 7.258. Od kilku lat emigracja pozaeuropejska, głównie z krajów azjatyckich, afrykańskich i Morza Karaibskiego, gwałtownie i systematycznie wzrasta.

Na ogólną ilość 23.664 imigrantów z Europy przybyło z Polski 5.374 (2.663 mężczyzn, 2.711 kobiet). Polska była ostatnim miejscem stałego pobytu 5.094 imigrantów, z tego urodziło się w Polsce 4.971, a pozostali w różnych krajach, w tym 43 w Wielkiej Brytanii, 38 w Republice Federalnej Niemiec, 34 we Francji, 30 w Izraelu, 22 w Belgii.

Przyjrzyjmy się bliżej zespołowi 5.094, którego miejscem stałego pobytu była Polska. Według ich własnych danych władze imigracyjne określiły 2.956 osób jako czynne zawodowo, a 2.138 jako członków rodzin. W tej drugiej grupie było 637 małżonków, 587 dzieci, 737 uczniów-studentów w wieku 18 lat i wyżej oraz 177 osób niepracujących, których stanu nie określono.

O strukturze zawodowej nowych przybyszów z Polski świadczą podane przez nich zawody i kwalifikacje. Deklarując je oczekiwali uzyskania odpowiednich miejsc pracy w nowym kraju.

Roľnictwo — specjalność pierwszych imigrantów polskich, zresztą z konieczności i późniejszych, jak i poważnej części imigracji  olnierskiej — w ostatniej fali zadeklarowały 52 osoby. Stanowiska kierownicze — 21, naukowe: matematycy, specjaliści techniczni — 453, medycyna — 120, oświata — 89, duchowni — 15, aktorzy, artyści, muzycy itp. — 80, urz dnicy — 230, usługi — 201, mechanicy i maszyniści — 449.

Obraz demograficzny jest zmienny —  wiadczy o ubytku z Polski na korzyść Kanady najlepszych roczników. Ponadto imigranci przyjeżdżają z dziećmi w wieku do 4 lat — 273, od 5 do 9 lat — 630, od 10 do 14 lat — 340 oraz od 15 do 19 lat — 182. Znowu więc cenny nabytek dla Kanady.

Wizy na czasowy pobyt, a więc nie imigracyjne, posiadało w 1983 roku w Kanadzie — 139.623 osób, z których 130.711 posiadało prawo pracy, ponadto 95.362 osób znajdowało się na czasowym pobycie (przybyli w 1983 r.).

Z Europy na pobyt czasowy przybyło 39.036 osób, w tym z Polski 2.664. Zezwolenie na pracę otrzymało 23.970 Europejczyków, w tym 1.075 Polaków. Na studia i prace naukowe z Europy przybyło 9.402 osób, w tym z Polski 238. Polacy skierowali się do 4 prowincji: Ontario — 110, Quebec — 55, Alberta — 34, Brytyjska Kolumbia — 13.

W latach 1984 i 1985 zmniejszyła się liczba polskich imigrantów uchodźców, lecz szczegółowych danych brak. Największe nasilenie przypada na okres 1980-1983, ale dla pełnego obrazu ostatniej fali emigracji z Polski trzeba zestawzić i omówić dane od 1979 do 1985 roku włącznie. ■

Fundacja im. Adama Mickiewicza — najstarsza polonijna instytucja kulturalna — obchodzi 30-lecie działalności. Powstała w 1966 roku z inicjatywy Andrzeja Janickiego, ówczesnego prezesa Kongresu Polonii Kanadyjskiej, okręg Toronto, z kapitałem zakładowym w wysokości \$12.474 pozostałym z wpływów z imprez dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Wieszcza. Majątek Fundacji wynosi obecnie \$364.484, a wydatki w okresie 30-lecia wyniosły \$125.072, w tym na stypendia dla studentów wyższych uczelni — \$44.940, na konkursy szkolne — \$14.650, na doroczny wykład na Carlton University w Ottawie (Adam Mickiewicz Memorial Lecture) — \$11.100, subwencje kulturalne — \$1.700. ■

Polityka wielokulturowości rządu federalnego przechodzi na nowy tor. Program został szczegółowo przedstawiony i uzasadniony przez ministra Otto Jelinka i premiera Briana Mulroney'a na konferencji w dniach 11 i 12 kwietnia w Toronto. Ogólne założenia nowej polityki ujawnił już minister Jelinek na konferencji prasowej.

Zmiany podyktowane są nie tylko zmniejszeniem budżetu, ale — jak to zdefiniował — „poszukiwaniem dróg równych szans w gospodarce”. Zapowiedział, iż skreślone zostaną dotacje dla różnych grup etnicznych, co jednak nie znaczy, iż nie będzie pomocy dla „zachowania wartości kulturowych”. Dotacje — wywoźił — „mają być dla Kanady inwestycją”. Sugerował przejęcie przez Canada Council podać na dotację dla celów wielokulturowości (Canada Council jest instytucją państwową, wyłonioną dla popierania prac naukowych i artystycznych: udziela stypendiów na badania, podróże, wystawy, imprezy itp.). Celem nowej polityki ministra Jelinka jest skierowanie „etników” do życia gospodarczego: wyzyskanie ich dla rozwoju handlu zagranicznego, turystyki, hotelarstwa itp. ■ Kanadyjska Grupa Helsińska oskarża rząd Kanady o pogwałcenie postanowień tego układu przez wprowadzenie opłat w wysokości \$150 za wizę dla imigrantów w ramach łączenia rodzin. Chodzi o podania imigrantów z państw rządzonych przez komunistów. Rzecznik MSZ oświadczył, iż opłata wizowa stanowi ułamek wydatków, który musi ponieść rodzina pragnąca sprowadzić imigranta i nie jest naruszeniem układu z Helsinek. Dodał, iż w ostatnim roku na 100 podań o wizę dla obywateli ZSSR załatwiono pozytywnie tylko 5. Stan ten, jak podkreślił, jest wynikiem stanowiska ZSSR, a nie Kanady, a zarzucanie Kanadzie pogwałcenia układu ma na celu odwrócenie uwagi od praktyki władz sowieckich w dziedzinie łączenia rodzin.

B. H.

Toronto, 15 marca 1986 r.

CZESŁAW MIŁOSZ WE FRANCJI

W paryskim wydawnictwie FAYARD ukazały się w kwietniu trzy książki Czesława Miłosza:

MIŁOSZ par MIŁOSZ (Entretiens de Czeslaw Milosz avec Ewa Czarnecka et Aleksander Fiut). Przekład Daniela Beauvois. Str. 340. Cena F. 98.

VISION DE LA BAIE DE SAN FRANCISCO. Przekład Marie Bouvard. Str. 234. Cena F. 89.

HISTOIRE DE LA LITTERATURE POLONAISE. Przekład Andr  Kozimora. Str. 794. Cena F. 350.

Wolna trybuna

Prawica - lewica

Każde słowo upraszcza, ale są różnice. Słowa „prawica” i „lewica” upraszczają bardzo znacznie. Rzeczywistość społeczno-polityczna to ludzie (rozmaici), ich rozmaite myśli i dążenia. I nagle ktoś chce tę rzeczywistość opisać, posługując się dwoma słowami: „lewica” i „prawica”. Trudno, by wystarczały i w dodatku wydają się bardziej niejednoznaczne niż inne, bo sugerują, że istnieje jeden wymiar porządkowania spraw społecznych, jakiś wymiar naczelny, pierwotny lub syntetyczny. Taką jednowymiarowość można byłoby zrozumieć, gdyby poglądy w poszczególnych sprawach były tak ściśle związane z innymi, że znając poglądy w jednej ze spraw szczegółowych można by było odtworzyć inne poglądy danej osoby. Tak jednak nie jest i może nie byłoby dobrze, gdyby tak było. Są różne lewice i prawice. Co prawda, niektórym organizacjom politycznym udaje się w znacznym stopniu ujednolicić poglądy członków organizacji. Ale co bywa dobre w polityce organizacji totalitarnych, nie jest dobre w życiu społecznym w ogóle, zwłaszcza zaś w takich dziedzinach jak kultura, w której próby ujednolicenia i standaryzacji poglądów nie dają dobrych rezultatów.

Mówiąc o „prawicy” i „lewicy” czuje się więc niedosyt i potrzebę ograniczenia przedmiotu rozważań, sprecyzowania słów. Oczywiście, nie każdy taką potrzebę odczuwa. W praktyce politycznej posługiwanie się pojęciami upraszczającymi może przynosić korzyści, pomagać w znajdowaniu zwolenników i zwalczaniu przeciwników, choćby ktoś miał powiedzieć, że uproszczenia nie są intelektualnie zadowalające.

* Artykuł ten jest odpowiedzią na ankietę *Polityki Polskiej* (por. *Polityka Polska*, 1984, nr 6), a ściślej na pytanie „Jaka prawica jest Polsce potrzebna?”, które było tytułem artykułu Józefa Wiernego.

Jeśli w ogóle posługuję się słowami „lewica” i „prawica”, to w ten sposób, że komunistów zaliczam do lewicy. Oni sami zresztą uważają, że należą do lewicy i tam, gdzie istnieją parlamenty, komunistów sadza się po lewej stronie. Taki jest zwyczaj terminologiczny i praktyczny. Komuniści nazywają się lewicą radykalną lub konsekwentną, sugerując, że istnieje też lewica nieradykalna lub mniej konsekwentna. Istnieje zresztą także lewica niekomunistyczna lub antykomunistyczna, i to różnych rodzajów. Co najmniej w niektórych krajach można znaleźć lewicowców bardziej niespokojnych i gwałtowniejszych niż komuniści (zresztą terroryści belgijscy nazywają się komunistami, zaś w kilku krajach terroryści wybrali sobie nazwę Armii Czerwonej). Można także znaleźć lewicowców spokojniejszych niż komuniści i mniej skłonnych do gwałtu, a więc socjalistów i socjaldemokratów, popierających niektóre akcje komunistyczne, a przeciwstawiających się innym.

Można, oczywiście, tak określić słowo „lewica”, by nazywać „lewicą” wyłącznie antykomunistów. Robi się to stosując w następujący sposób logikę uczuć. Mówi się: nie lubię komunistów, natomiast lubię lewicę, i wnioskuje się, że komuniści nie są lewicą. Tym, którzy lubią lewicę, trudno jakoś przychodzi powiedzieć, że lubią ją nie w całości. Wyłączanie komunistów z lewicy wydaje się jednak nienaturalne i nieuzasadnione — z tej racji, że jest sprzeczne z dość powszechną praktyką językową, zgodnie z którą komuniści są przedstawicielami lewicy i to takimi, którzy przekonania lewicowe wyznają często w sposób bardziej konsekwentny niż inni, w formie ostrzejszej, bardziej zbliżonej do wzorca.

Spośród różnych składników lewicowości — i odpowiednio prawicowości — wybieram tu do rozważań jeden, by łatwiej się tymi pojęciami posługiwać. We współczesnych krajach Zachodu ważną sprawą różnicującą ludzi politycznie jest stosunek do państwa. Lewica popiera państwo rozbudowane, opiekuńcze, takie, które zajmuje się znaczną ilością spraw. Przeciwstawia się temu prawica.

W tym rozumieniu *sowchozy* (państwowe gospodarstwa rolne) są bardziej lewicowe niż *kolchozy* (gospodarstwa kolektywne), zaś *kolchozy* — bardziej lewicowe niż gospodarstwa indywidualne. Jednopartyjny system polityczny jest bliższy lewicy niż system wielopartyjny. Sądy realizujące politykę państwa (i partii) są bardziej lewicowe niż sądy niezawisłe, zlikwidowanie religii — bardziej lewicowe niż jej tolerowanie, jednolite szkolnictwo podległe administracji państwowej — bardziej lewicowe niż szkolnictwo zróżnicowane. W świecie współczesnym te bardziej lewicowe formy życia społecznego są zwykle nazywane *postępowymi, ludowymi, socjalistycznymi*.

Wielu ludzi chciałoby przez socjalizm rozumieć nacjonalizację

„nie za daleko posuniętą”. Kiedy mówią o lewicy, mają właśnie na myśli „socjalizm nie za daleko idący”, taki, który potrafiłby w porę się powstrzymać. Można stwierdzić, że ustrój w Polsce ma kłopoty z podobną wstrzemięźliwością.

Będę tu tak posługiwał się słowem „prawica”, by prawicowe było przeciwstawianie się rozbudowie państwa, zwalczanie jego wszechwładzy, dążenie do zmniejszenia jednolitości organizacji społecznej, do ograniczenia centralizmu i totalizmu. Uważam, że Polsce rządzonej przez komunistów tak rozumiana prawica jest potrzebna, a wydaje się, że będzie również potrzebna w Polsce niekomunistycznej.

Lewica zachodnia (socjaliści w Europie, częściowo także „liberałowie” w Ameryce) chce zwiększać budżet państwa, nacjonalizuje banki i przemysł, rozbudowuje funkcje opiekuńcze państwa, scentralizowany i zależny od państwa system oświaty i służby zdrowia. Ale lewica chce jednocześnie zmniejszać wydatki na obronę, w związku z tym nie chce polityki zagranicznej opartej o siłę, stosuje też bardziej tolerancyjną niż prawica politykę w dziedzinie walki z przestępczością i w działaniu wymiaru sprawiedliwości. Prawica widzi w państwie narzędzie obrony obywateli przed zagrożeniem zewnętrznym i wewnętrznym, lewica — narzędzie opieki społecznej, przejmujące rozmaite inicjatywy prywatne. Prawica chce państwa ograniczonego, dbającego jednak o obronę, nie chce więc, by państwo zniknęło zupełnie (to autorzy lewicowi — tacy jak Lenin — pisali, że państwo ma zniknąć).

Komuniści, którzy nie są przy władzy, chcieliby często państwo (w jego funkcjach obronnych) osłabić; komuniści przy władzy rozbudowują funkcje obronne państwa: armię i policję polityczną, które ponadto stosują zwykle zasadę, że najlepszą obroną jest atak.

Co najmniej niektóre odłamy lewicy, co najmniej niekiedy sprzyjają komunistom. Przyciąga ich do komunizmu program reform społecznych — hasła równości i sprawiedliwości. Lewica zgadza się czasem, że praktyka komunistyczna nie jest najlepsza, ale trafia jej do przekonania pojęcie „wypaczeń”. Uważa się, że komunizm, w swej istocie szlachetny, wypaczono w praktyce. Lewica często więc zwalcza antykomunizm i popiera „fronty ludowe”, w których komuniści odgrywają „kierowniczą rolę” (choćby okazywało się, tak jak w Polsce po drugiej wojnie światowej, że takie fronty były pierwszym etapem władzy komunistycznej).

Wydaje się jednak, że dla prawicy, rozumianej tak jak w tym tekście, komunizm musi być głównym przeciwnikiem. Nie było bowiem dotychczas na świecie tendencji społeczno-politycznej bardziej niż komunizm totalitarnej, bardziej skłonnej do nadzorowania i kontrolowania wszystkiego. Choćby więc komuniści odwo-

ływali się do niektórych haseł tradycyjnie prawicowych i posługiwali się pojęciami charakterystycznymi dla prawicy — takimi jak naród, jedność moralno-polityczna, ład i porządek — totalitaryzm komunistów sprawia, że są wrogiem prawicy, rozumianej jako tendencja do ograniczenia wszechwładzy państwa.

Prawica, która chciałaby zmniejszyć zakres władzy państwa, powinna mieć program gospodarczy. Program gospodarczy lewicy brzmi na ogół: upaństwowić co się da (a nawet więcej), a potem zobaczymy. Programem gospodarczym prawicy, zwłaszcza w kraju znacjonalizowanym, jest przede wszystkim denacjonalizacja, usamodzielnienie przedsiębiorstw, zmiana własności państwowej na komunalną lub akcyjną, dbanie o to, by pobudzać i umożliwiać finansowanie inicjatyw niepaństwowych, nie tylko zresztą w gospodarce. Prawica ceni suwerenność konsumenta i dba o to, by producenci mogli produkować, by państwo nie szkodziło produkcji, która ma docierać do konsumenta.

Prawica chciałaby wzbogacić życie społeczne, sprawić, by ożyła prowincja, by rozwijały się małe przedsiębiorstwa, spółdzielnie, stowarzyszenia, by działały się rzeczy na miarę wsi, miast i regionów, a nie tylko na miarę państwa. Wymaga to zmian prawnych, walki o własność prywatną, grupową, komunalną.

Próbując ograniczać państwo komunistyczne, należy troszczyć się o to, jakie jest prawo oraz przygotowywać prawo postkomunistyczne. Bliższa lewicy — takiej, o jakiej tu mowa — jest koncepcja prawa jako sposobu socjotechnicznego, jako narzędzia inżynierii społecznej, którym władza posługuje się realizując swoje cele. Bliższa prawicy — tej, o której tu mowa — jest koncepcja prawa jako umowy szanującej wartości moralne i krępującej władzę państwową. Prawo jest w społeczeństwie polskim zakorzenione jako poczucie sprawiedliwości, ale potrzebne jest też prawo stanowione. Nawet w państwie komunistycznym zdarza się, że można w pewnej mierze wpływać na treść prawa. Z tego wpływu prawica nie powinna rezygnować, tak samo jak nie powinna rezygnować z wpływania na sposób, w jaki prawo jest wykonywane. Komunistyczne prawo stanowione stosuje się w instytucjach, ale robią to ludzie, którzy w mniejszym lub większym stopniu dbają o swoją karierę i (co często jest tym samym) o interesy komunistycznego państwa i partii.

W warunkach polskich prawicę, która chce zmniejszyć wszechwładzę państwa, trudno nazywać konserwatywną. Nie jest konserwatywna, bo chce wiele zmienić, mianowicie komunistyczny system polityczno-społeczno-gospodarczy, którego zmiana wcale nie jest łatwa, bo w podtrzymywaniu tego systemu zainteresowane jest nie tylko mocarstwo ościenne, ale także rzesze ludzi na miejscu. Tego systemu strzegą organizacje, mające broń i gotowe jej użyć. Przekonanie, że wszyscy Polacy mają podobne dążenia

społeczno-polityczne, jest fałszywe. Denacjonalizacja może nastąpić tylko wbrew oporowi warstw społecznych zainteresowanych w rozbudowie i centralizacji państwa. Wymaga ona twórczości społecznej, budowy i odbudowy, a nie tylko utrwalania tego, co już jest. Denacjonalizacja w umocnionym już państwie komunistycznym może być procesem ewolucyjnym lub rewolucyjnym. Ale trudno powiedzieć, by był to program konserwatywny.

Tak się składa, że w skali masowej można pobudzać ludzi, by robili coś w imię niepodległości kraju lub w imię sprawiedliwości społecznej. To pierwsze hasło zwraca się przeciw obcym ciemnościom i nie jest ani lewicowe, ani prawicowe. Drugie hasło jest na ogół lewicowe i może zwracać się przeciw ciemnościom rodzimym. Do sprawiedliwości społecznej dąży się zwykle w ten sposób, że innym odbiera się (lub chce się odebrać) to, co, jak się sądzi, posiadają niesprawiedliwie, powołuje się aparat przemocy odbierający dobra niesprawiedliwie posiadane i utrudniający ich uzyskiwanie, rozbudowuje się aparat państwowy zajmujący się organizacją produkcji, dostarczaniem usług i podziałem dóbr (chce się bowiem, by podział był sprawiedliwy).

Postulat ograniczania władzy państwa nie jest hasłem tak chwytliwym jak niepodległość i sprawiedliwość. Władzę państwa chcą ograniczać ci, dla których wartością jest wielość niezależnych działań społecznych. Mówią oni o wolności, podmiotowości, twórczości, inicjatywie. I choćby nie precyzowali kierunku, w którym wolność ma być wykorzystywana, zgodziliby się zapewne, że ma być ograniczana przez porozumienia między korzystającymi z wolności. Z takich porozumień powstaje prawo.

Można być prawicowcem z przyczyn etycznych, estetycznych, filozoficznych, z tej racji na przykład, że woli się różnorodność niż uniformizację. Ale mogą tu też wchodzić w grę interesy.

W polityce zwykle kogoś się reprezentuje. Prawica w Polsce reprezentuje (lub reprezentowałaby) interesy warstw mniej związanych z państwem komunistycznym, dokładniej zaś — interesy ludzi w tych rolach społecznych, w których następuje przeciwstawienie: człowiek — państwo komunistyczne. Należy tu rola konsumenta, producenta, rola przedmiotu norm prawnych lub oddziaływań wychowawczo-propagandowych. Interesy ludzi występujących w tych rolach społecznych mogą przyczyniać się do podejmowania przez nich niezależnie podobnych działań (działań mających podobne cele), ale może to też być podstawa działań zorganizowanych — o pewnym stopniu specjalizacji i koordynacji.

Prawicowość nie jest tożsama z dążeniem do demokracji, a więc do tego, by wola większości mogła być znana i by ją uwzględniano w decyzjach władz. Większość może domagać się szerokich

uprawnień państwa w życiu społecznym, a więc być lewicowa (w sensie, w którym w tym tekście mówi się o lewicy). Prawica może wchodzić w konflikt z większością lub ze znaczną częścią społeczeństwa, nie muszą jej wszyscy przyznawać racji i może ona głosić i starać się realizować hasła niepopularne. Nie wydaje się, by prawica musiała koniecznie iść za większością, gdyby większość chciała jakąś mniejszość pozbawić praw, na przykład deportować ją (w imię jedności narodowej) lub pozbawić majątku (w imię równości i sprawiedliwości społecznej). Ruchy nazywane prawicowymi bywały populistyczne, mobilizowały lud i szły za głosem ludu. Ale tak być nie musi.

Prawica, o której mowa, nie stroniłaby od formułowania celów społecznych i od poszukiwania ich choćby częściowej realizacji. Na szczęście istnieją jeszcze w Polsce dziedziny życia społeczno-politycznego nie poddane komunistycznemu państwu lub poddane mu w mniejszym stopniu niż inne; prawica starałaby się umocnić niezależność tych dziedzin i rozszerzać ich znaczenie. Dotyczy to gospodarki, wychowania, oświaty i kultury, nawet sądownictwa i administracji. Ciągłe, jak wiadomo, istnieje w Polsce rolnictwo prywatne, Kościół, rodzina, na ogół nie podporządkowana państwu, kultura i tradycja, przekazywane przez Kościół i rodzinę (rozmaicie przez różne rodziny). Istnieje niezależna twórczość kulturalna i opozycja zwalczana przez państwo komunistyczne. Choćby opozycja deklarowała lewicowość, ogranicza ona swym istnieniem władzę państwa, co jest celem uznanym tu za wyróżnik prawicy. Ciągłe także działają w Polsce nauczyciele, a nawet sędziowie i urzędnicy, którym partia komunistyczna nie wszystko może nakazać. Ich niezależność od partii i państwa to część programu prawicy (w sensie przyjętym w tym tekście).

Prawicę, która, jak się zdaje, jest potrzebna, rozumiem jako ruch bardziej praktyczny niż ideologiczny, w tym znaczeniu, że nastawiony raczej na rezultaty w ograniczaniu wstecz władzy państwa niż na przykład na upowszechnianie jakiegokolwiek światopoglądu. Prawica nie musiałaby być dogmatyczna: denacjonalizacja, na której by jej zależało, mogłaby być przedmiotem prób i eksperymentów. Nastawienie praktyczne, niedogmatyczne i aideologiczne różniłoby prawicę tu omawianą od innych tendencji prawicowych.

Myślę, że Polsce jest właśnie potrzebna inna prawica niż ta, która była kiedyś, jest potrzebna prawica, którą utworzyć lub skrzyknąć nie jest łatwo, prawica nie najprawdopodobniejsza. W XX wieku w Polsce istniały ruchy prawicowe deklarujące ścisły związek z katolicyzmem oraz obawiające się i zwalczające współobywateli innej narodowości i innego wyznania. Uważam, że jest potrzebna też (lub przede wszystkim) prawica areligijna, nienacjonalistyczna, tolerancyjna.

Jest naturalne, że naruszanie wszechwładzy państwa następuje w Polsce i będzie następować w oparciu o instytucję, która od poleceń państwowo-partyjnych nie jest uzależniona. Tą instytucją (w pewnym aspekcie swych działań) jest Kościół katolicki.

Prawica w Polsce często mówi o Kościele katolickim (a nie w ogóle o religii) i o rodzinie jako o instytucjach, które trzeba umacniać. W Polsce komunistycznej tym instytucjom się powiodło: nie zostały podporządkowane i w dużej mierze im zawdzięczamy obecną polską niezależność. Są to instytucje przekazujące wartości, tradycje, nadające barwę kulturze. Ale wydaje się, że dla przyszłej Polski potrzebne są też instytucje polityczne, prawne i gospodarcze, a także ludzie, którzy umieliby te instytucje tworzyć i w nich działać, potrzebna jest więc prawica, która politykę traktuje jako sferę godzenia sprzecznych interesów i wartości, umie wyjść poza krąg rodzinny i budować nie tylko instytucje religijne i związane z Kościołem.

Być może wielu zwolenników zyska prawica, która od lewicy zapożyczy zadanie organizowania raju na ziemi i program przepełnienia świętością życia społecznego. Wydaje się jednak, że potrzebna jest także prawica, która szanuje podział funkcji i różnorodność w życiu społecznym. Według której polityka podlega ocenom moralnym, ale nie jest tożsama z religią. Administrowanie państwem lub organizacja gospodarki to są dziedziny, których nie ma powodu powierzać organizacjom parafialnym, przyklasztornym lub diecezjalnym. Wydaje się, że potrzebna jest w Polsce prawica, która przygotowywałaby się do działania w państwie i dla której ateusze, niedowiarki i innowiercy nie byłiby głównymi przeciwnikami, bo prawica ta umiałaby odróżnić zajmowanie się administracją, organizowaniem wytwórczości i sprzedaży, sądownictwem — od zajmowania się ewangelizacją.

Taka prawica potrafiłaby poświęcić znaczną część swych sił organizacjom większym od rodziny a mniejszym od narodu. Organizacjom, które tworzy się i do nich się przystępuje, a nie konieczne należy się do nich od urodzenia. Do tej strefy życia społecznego należą organizacje produkcyjne, zajmujące się wymianą dóbr i dostarczaniem usług, różne dziedziny administracji, instytucje w dziedzinie oświaty lub wymiaru sprawiedliwości; to wszystko, co we współczesnym społeczeństwie polskim jest albo zniszczone, albo jest częścią systemu organizacji scentralizowanych i podporządkowanych partii komunistycznej.

Takie organizacje próbowano w Polsce odbudowywać w latach 1980-1981. Stworzono jedną wielką organizację — „Solidarność”, którą stan wojenny rozbił i zmusił, by się przekształciła. Może byłoby lepiej, gdyby legalnie działającej „Solidarności” towarzyszyło więcej organizacji niezależnych od państwa. Dziś w mniej lub bardziej zaczątkowej formie, takie organizacje istnieją.

Prawica, która by zajmowała się narodem w całości, jest zapewne w Polsce potrzebna. Istnienie narodu to istnienie kultury. Jej podtrzymywanie jest zarówno wartością, jak i ochroną przed komunizmem. Ale w skład kultury narodu wchodzi też jego sposób zorganizowania, wchodzi sposób działania państwa, prawa, gospodarki. Wydaje się, że dość łatwo o prawicę, która mówi i pisze o narodzie, chwali naród i jest dumna z narodu. Trudniej o taką, która zajmowałaby się mnożeniem dóbr (a nie, jak lewica, przede wszystkim ich podziałem), i o prawicę, która (w przypadku konfliktu) wybierze raczej dobro państwa i obywateli niż narodu i współplemieńców. Wydaje się, że potrzebna jest prawica, która na tyle pewnie czułaby się w państwie, że mniejszości narodowe i wyznaniowe raczej brałaby w opiekę i obronę niż zajmowałaby się utrudnianiem im życia.

W pierwszej połowie XIX wieku naród wzięły sobie na sztandary ruchy polityczne uznawane raczej za lewicowe. Następnie naród dostał się na sztandary prawicy. Ale możliwa jest też prawica dbająca o państwo (choć nie w ten sposób, by miało ono decydować o wszystkim), rozumiejąca państwo jako własność współobywateli, a nie tylko narodu stanowiącego większość, i troszcząca się o współpracę z narodami sąsiednimi. Wydaje się, że szczególnie w Polsce taka prawica jest potrzebna.

Ruchy społeczne i polityczne zwykle na czymś się koncentrują, czynią niektóre sprawy jakby warunkiem przynależności, inne zaś pozostawiają decyzjom prywatnym. Ten tekst mówi o prawicy jako o ruchu społecznym i politycznym, i wydaje się, że jest istotne, jak szeroka jest strefa, w którą państwo i polityka już nie sięgają. Nastawienie na totalność władzy, pełność światopoglądu, pełność programu — jest charakterystyczne dla ruchów lewicowych (dla sporej ich części). Zresztą narodowy socjalizm — ze względu na totalność zainteresowań, radykalizm polityczny i ujęcie roli władzy — uważam za tendencję bliższą lewicy niż prawicy. Sądzę, że Polsce jest potrzebna taka prawica, która nie we wszystkich sprawach ma poglądy. Jej aideologiczność mogłaby zwłaszcza polegać na tym, że nie miałaby ona poglądów organizacyjnych w takich sprawach jak wyższość kultury polskiej nad wszelkimi innymi lub jak przynależność Krzyżaków do kultury bizantyjskiej. Prawica, której — jak mi się zdaje — w Polsce potrzeba, ma szukać rozstrzygnięć gospodarczych, politycznych i prawnych, umacniać społeczeństwo obywatelskie i być w polityce niedogmatyczną, to znaczy nie wiedzieć zbyt dużo z góry, na przykład tego, czy Polska powinna mieć lepsze stosunki z Rosją, z Niemcami, czy z Ukrainą. Byłaby to prawica, która bada sytuację i uważa, że wybory sojuszników i przeciwników w polityce międzynarodowej nie są określone raz na zawsze i zależą od sytuacji.

Polityka zagraniczna, kształtowana w Polsce, jest jednak sprawa

wą przyszłości. Dziś można ją przygotowywać przez upowszechnianie informacji o sprawach międzynarodowych, o problemach innych krajów, a zwłaszcza narodów sąsiednich. Nie byłoby źle, gdyby prawica interesowała się światem współczesnym (a nie tylko tym z początku XX wieku), gdyby na przykład interesowały ją angielskie, amerykańskie, niemieckie i francuskie rozwiązania praktyczne i tamtejsze spory na temat gospodarki państwowej, sposobów opodatkowania, państwowej i prywatnej służby zdrowia lub oświaty, nacjonalizacji i denacjonalizacji w rozmaitych dziedzinach.

Krótko mówiąc, prawica jest potrzebna i — co więcej — Polska powinna zmniejszać lewicowość swego ustroju (wszechwładzę państwa), a więc zmierzać w kierunku bliskim współczesnej prawicy w krajach Zachodu. Są w Polsce potrzebne wartości kultury wiązane tradycyjnie z prawicą. Ale wydaje się, że Polsce potrzebna jest także prawica społeczno-polityczna, organizująca życie społeczne, przygotowująca i kształtująca życie polityczne. Prawica nie najłatwiejsza, nie będąca kontynuacją głównych kierunków prawicowych znanych z historii Polski.

Jakub KAPIŃSKI

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris,
Telefon: 43-26-04-42.

JANUSZ RAKOWSKI

„Z PIÓREM W MUNDURZE”
Francja-Szwajcaria 1940-1946.

Dzieje 2 Dywizji Strzelców Pieszych.

Autentyczny pamiętnik pisany w miejscach postoju
w czasie wojny i na internowaniu.

Stron 240. — Liczne fotografie. — Cena 70 FF.

Listy do Redakcji

Uppsala, 6 maja 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Będę wdzięczny za opublikowanie niniejszego uzupełnienia do „Kroniki szwedzkiej” z nr 4/463 *Kultury*:

Dr J. Holzer przemawiał nie w Seminarium Historycznym Uniwersytetu — takie nie istnieje — lecz wygłosił wykład w seminarium historii Polski Uniwersytetu w Uppsali. Jest to jeden z nielicznych poza granicami kraju zespołów, zajmujących się współczesnymi problemami Polski i grupuje zarówno szwedzkich jak i polskich badaczy.

Udział w pracach seminarium w ostatnim półroczu obok wcześniej wymienionego Jerzego Holzera brali również następujący uczeni z kraju: Jan Walc, Zbigniew Landau, Aleksander Gieysztor a ostatnio Rafał Krawczyk.

Z ramienia seminarium

Józef LEWANDOWSKI

Kenton, Middx., 24 kwietnia 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. J. Szretta pt. „Program Oświecenia Narodowego (II)” (*Kultura* nr 4/1986), pozwolę sobie na przytoczenie jeszcze „jednego słowa” do sympatycznej wzmianki o pośle Osmańczyku, z którym miałem możliwość krótkiego i przelotnego spotkania w maju ub. roku.

Polaków którzy w ciągu ostatnich lat wygłaszali swe odczyty w prestiżowym „Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych” w Londynie można by policzyć na palcach jednej ręki, toteż występ E. Osmańczyka z prelekcją o aktualnej sytuacji w Polsce wzbudził wielkie zainteresowanie. Osmańczyk przedstawił sytuację w Polsce taką jaka ona naprawdę jest, nie owijając niczego w bawełnę, nazywając rzeczy po imieniu. W tonie umiarkowanej, lecz zarazem stanowczej i ze znanstwem wypowiedzianej krytyki ujawnił on prawdziwe oblicze tzw. PRON-u, demaskując m.in. fałszywe kulisy zabiegów ekipy Jaruzelskiego w kierunku tzw. „odnowy”. W ciepłych słowach uznania i z dużą dozą optymizmu zreferował również ruch „Solidarności” podziemnej. Wielkie wrażenie wywarł na zebranych jego gorący apel o zrozumienie i wsparcie polskich aspiracji do wolności i samostanowienia — jako jednego z niezaprzeczalnych i naturalnych praw każdego narodu w dzisiejszym rzekomo cywilizowanym świecie.

Występ E. Osmańczyka w londyńskim Chatham House jest więc kolej-

nym świadectwem jego „niezwichniętej godności” osobistej, o jakiej wspomina autor. Jest również przykładem wysokiego stopnia odwagi cywilnej — zważywszy iż było to w okresie gdy ciągle jeszcze zabiegał o odzyskanie mandatu poselskiego, oraz iż każde jego słowo było skrupulatnie odnotowywane przez znajdującą się na sali znaną „ekspertkę” od spraw polskich jednego znanego dziennika brytyjskiego, z „dobrymi stosunkami” w kołach rządowych w Warszawie.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Janusz MONDRY

Rzym, 7 maja 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wdzięczny będę Panu, za podanie do wiadomości Czytelników, że z wielką radością wziąłem do ręki tom poezji Osipa Mandelsztama, który wreszcie ukazał się w polskiej wersji nakładem Wydawnictwa Literackiego z Krakowa i po licznych perypetiach pojawił się w księgarniach, ale radość ta mocno zmalała, gdy przekonałem się, że teksty nielicznych wierszy, tłumaczonych przeze mnie, uległy licznym zniekształceniom. Zmiany, wprowadzone przez redakcję temu bez zgody tłumacza, kaleczą tkanę wiersza i ubożą słownictwo przekładu w sposób, który każe myśleć o zamierzonej kompromitacji.

Praktyka arbitralnych zmian, uprawiana w kraju tak, jakby nie starczało ingerencji cenzury, godzi nie tylko w jednolitość stylistyczną tłumaczeń, lecz także w zasady prawa autorskiego. Szkoda, że trzeba o tym pisać na marginesie niepowszedniej publikacji, na której ukazanie się trzeba było czekać przez czas na pewno wystarczający dla wszelkich uzgodnień, a także dla opracowania not, jakich tu bardzo brak.

Najdotkliwszym zniekształceniom uległ przekład wiersza, zamieszczonego na str. 298-299 rzeczonego tomu. Szczególne znaczenie i miejsce tego wiersza w twórczości rosyjskiego poety — urodzonego w Warszawie, a zmarłego w łagrze pod Władystokiem — każe mi prosić o przypomnienie tutaj poprawnego tekstu polskiej wersji:

*Tak, za chwałę tych dni, co nadejdą tu w końcu
I za ludzkiej godności sprawę
Oto zbyłem się miejsca przy stole mych ojców
I radości, i czci mojej nawet.*

*Wiek, jak brytan wilkowi do gardła mi skacze,
Lecz ja wilkiem nie jestem, nie jestem.
Jak się czapkę pcha w rękaw, tak pchnij mnie już raczej
W duszny kożuch Syberii leśnej.*

*Byle tchórze nie widzieć i brudu nie widzieć,
Ani kołem łamanych kości,
Niech z dna nocy polarnej błękitny lis wyjdzie,
Niech mi załśni w mroźnej piękności.*

*Prowadź w noc, gdzie Jenisej przetacza się milcząc,
Tam, gdzie sosna do gwiazdy się wspina,
Bo nie jestem ja wilkiem i krew mam nie wilczą
I niech z ręki równego mi zginę.*

Jerzy POMIANOWSKI

PODZIĘKOWANIE

W imieniu p. Ewy Nowackiej serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przekazali pomoc finansową na pokrycie kosztów adwokata w sprawie o pozabawienie jej praw rodzicielskich nad córką Kasią.

Zbiórka przyniosła 19.415 koron szwedzkich. Koszty adwokata wyniosły 19.111 koron. Pozostałą sumę 304 koron przekazano matce na potrzeby jej córki.

Aczkolwiek sprawa ta nie jest jeszcze zakończona, to dzięki zaangażowaniu życzliwych ludzi trzyletnia Kasia może mieszkać razem z matką. Nadal jednak nie ma wyroku sądu w tej sprawie.

Raz jeszcze serdecznie dziękuję za okazaną pomoc.

Andrzej KORASZEWSKI

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD.

**NAJSTARSZA
KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE**

66 Kenway Road, London SW5 ORD

Telefon: 01-370 2210

Książki polskie — wydawnictwa emigracyjne i krajowe — oraz w języku angielskim (również wydawnictwa amerykańskie) dotyczące spraw polskich i Europy Wschodniej. Wydawnictwa zachodnie w języku czeskim, rosyjskim i ukraińskim.

Prowadzimy dział antykwaryczny książek polskich — wydania przedwojenne i emigracyjne. Wykazy wysyłamy na żądanie. Prosimy o nadsyłanie dezzyderatów.

Słowniki — książki dla dzieci — płyty i kasety.

Wykonujemy zamówienia pocztowe. Przyjmujemy karty kredytowe ACCESS, VISA, AMERICAN EXPRESS, EUROCARD, MASTERCARD.

Nasz biuletyn informacyjny *NOWE KSIĄŻKI* ukazuje się 3 razy do roku.

Prenumerata roczna: £ 3.00; \$ 5.00 — dla stałych klientów bezpłatna.

Dokumenty

LIST CZESŁAWA BIELECKIEGO DO ARCYBp. BRONISŁAWA DĄBROWSKIEGO (Sekretarza Generalnego Konferencji Episkopatu Polski)

Czesław Bielecki s. Franciszka
Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów
ul. Rakowiecka 37
02-521 Warszawa

Jego Eminencja
Arcybiskup Bronisław Dąbrowski
Sekretarz Generalny
Konferencji Episkopatu Polski

Wasza Eminencjo,

List, który otrzymałem, głęboko mnie poruszył i napełnił nadzieją. Po wsparciu, jakim były życzenia od wielu nieznanym mi ludzi, życzenia siły i wytrwałości, które przebiły mur tutejszej cenzury i wraz z opłatkiem dotarły na Święta Bożego Narodzenia — nadeszły słowa o braterskich uczuciach Waszej Eminencji i o głębokiej trosce Ojca Świętego. Upewnia mnie to, że nie jestem na dnie Józefowej studni próbując — sam na sam ze swoimi dylematami — odwrócić los niegodny nas wszystkich. Nie myliłem się zatem, przywołując sędziom Sądu Najwyższego biblijne prawdy z powieści wielkiego niemieckiego pisarza: za późno już, aby to, co dzieje się w naszym kraju, zdusić i zamordować milczeniem, którym się przywala jak głazem, bo społeczeństwo wie, że „bez tchnienia słowa nic się nie utrzyma”.

Było i jest mi dane doświadczać troski Prymasowskiego Komitetu Pomocy Uwięzionym i Ich Rodzinom. Z radością przyjmuję jasne i zdecydowane słowa Waszej Eminencji o tym, że „Episkopat zwraca też uwagę na konieczność usunięcia przyczyn rodzących problem więźniów politycznych” i konkluzję komunikatu z 210 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski z listopada '85: „rozwiązania tych spraw należy szukać w tworzeniu takich możliwości i form dla społecznej aktywności, które pozwolą na konstruktywne zaangażowanie wszystkich obywateli w działania

dla dobra wspólnego”. Wcielenie owych słów w życie, gotowość służby idei narodowej solidarności ciąży na nas wszystkich, także na mnie tu i teraz. Potrzeba roztropności nakazuje, aby programem politycznym obwarowanym chrześcijańskimi zasadami moralności nie obarczać wyłącznie Kościoła. Nieść go musi i trwać przy nim również społeczeństwo świeckie. Tę potrzebę roztropności miałem na myśli, gdy pisałem w przeszłości, że musimy iść ku niepodległości narodowej i społecznej równoległe z Kościołem, ale nie razem.

Jeśli postanowiłem mimo apelu Waszej Eminencji kontynuować głodówkę, to w przekonaniu, że słowa, same słowa nie wystarczą, szczególnie że postulaty głodówki wykraczają poza protest przeciw metodom prowadzenia śledztwa i warunkom pobytu w areszcie. Myślę, że przytoczony poniżej *in extenso* list otwarty do Ministra Sprawiedliwości* tłumaczy, jak dalece jest mi bliska głoszona przez Kościół idea konstruktywnej współpracy społecznej i dlaczego słowom muszę jeszcze dać świadectwo. Fakt, że na ten wysłany przed półtora miesiącem list nie otrzymałem odpowiedzi, dowodzi, że samo słowo traktowane jest przez władzę arogancko, dopóki nie ucieleśni się w czynie — czynie solidarności. I jeśli trwam przy decyzji kontynuowania protestu głodowego, to właśnie w imię jedyne dialogu, jaki okazał się możliwy: dialogu faktów politycznych budowanych wolą i determinacją, dialogu mimo wszystko, choć nie — za każdą cenę. Tak jak miałbym za przyzwoleniem Waszej Eminencji podać do wiadomości publicznej skierowany do mnie apel jako motyw przerwania głodówki, tak ze swej strony proszę o udostępnienie tego listu tym wszystkim, którzy solidaryzują się z nami i niepokojąc się o nasz los, nie zawsze w pełni znają nasze postulaty i przyczyny moich trudnych wyborów.

List otwarty, który pozwoliłem sobie w całości tu przytoczyć, wyjaśnia, jak sądzę, cele głodujących więźniów sumienia i to, dlaczego trwam przy decyzji podjętej 13 października 1985 roku. Ale nie stanowi on jeszcze odpowiedzi na tę istotną wątpliwość, jaką Wasza Eminencja kieruje do mnie, odwołując się do nauki chrześcijańskiej, pisząc o obowiązku ochrony życia i zdrowia, podkreślając, że „także z doczesnego punktu widzenia obowiązkiem naszym — ludzkim i patriotycznym — jest zachowanie sił niezbędnych dla urzeczywistnienia wyznawanych ideałów”. Te wywiedzione z Dekalogu prawdy są mi tym bliższe, że zarówno na wolności, jak dziś w więzieniu walczę właśnie z Antydekalogiem moich prześladowców. Jeśli śmiem podjąć ten trudny problem, to dlatego, że słowa braterstwa Waszej Eminencji upewniają mnie, że humanizmu, którym kieruję się broniąc głodówką elementarnych praw człowieka i obywatela, nie można — jak chciałaby tego władza — zredukować do kolejnej „kwestii humanitarnej” samych protestujących więźniów. Płynąca z siły moralnej i niezależności Kościoła inicjatywa Waszej Eminencji pozwala mi ufać, że tego, co jest wyrazem szczerzej troski, władze nie

* Patrz *Kultura* nr 5/464, 1986.

okroją do właściwego im fałszywego samarytanizmu. Jeśli kładę na szalę własne zdrowie, a być może życie, to dlatego, że chcę — jak wielu przed nami i po nas — świadczyć prawdzie, a nie sposób tego czynić bez wiary i determinacji.

Pozostaje problem ceny, jaką trzeba płacić za wyrażanie swoich poglądów. Problem niełatwego wyboru: jak walczyć z Antydekalogiem nie zaprzeczając przykazaniom. Dyskursywność mojej postawy nie jest pochodną stosunku do religii. Pozostając agnostykiem, nie potrafię określić się tym jednym słowem: niewierzący. Łaska nie jest mi dana, nie jest mi jednak zabrana wiara, że zło trzeba i można dobrem zwyciężać, nienawiść — miłością, niesprawiedliwość — służbą wolności, własną i bliźnich słabość — budowaniem duchowej niezależności. Jestem podejrzany między innymi o założenie i kierowanie wydawnictwem CDN, tym samym, które wydało zbiór „Kazań wojennych”, wręczony Ojcu Świętemu w czasie pielgrzymki do kraju w '83 roku, przedwojenną pracę dr. Stefana Wyszyńskiego, późniejszego prymasa, „Kultura bolszewizmu a inteligencja polska”, pośmiertnie opublikowane „Homilie” ks. Jerzego Popiełuszki. Już te trzy książki powodują, że nie cięży mi ten zarzut. Siła skromności i pokory ich autorów powoduje, że z nadzieją, iż będę dobrze zrozumiany, i z wdzięcznością za skierowane do mnie słowa Waszej Eminencji — odpowiadam: nie przerwę głódówki, bo ktoś zawsze trwać musi; tym razem po prostu na mnie przypadła kolej. Mogę i tak być szczęśliwy, że groźby, szykany i szantaże towarzyszące mi w tej drodze mają miejsce w biały dzień i na oczach świata, że nie jest to ciemna noc na tamie pod Włocławkiem.

Na liście do Waszej Eminencji piszę adres: skwer Księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego, w prasie czytam, że przy Wzytkach ma stanąć Jego pomnik. Przychodzi nieuchronnie skojarzenie. Można stawiać pomniki i głosić chwałę Prymasa Tysiąclecia, ale jednocześnie skazuje się na więzienie ludzi drukujących w Polsce Jego „Zapiski więzienne” będące reprintem z paryskiego wydania, *nomen-omen*: Editions du Dialogue. Słowo Kardynała Wyszyńskiego jest zakazane. A przecież to z „Zapisków więziennych” nauczyliśmy się tak wiele. Także tego najważniejszego, że przychodzą chwile, gdy w imię celów transcendentnych, niezależnie od ceny, którą przychodzi płacić, mówimy jak z moim więziennym towarzyszem: *non possumus*.

Proszę Waszą Eminencję o przyjęcie wyrazów mojego oddania, wdzięczności i najgłębszego zaufania

Czesław BIELECKI

Warszawa-Mokotów,
14-22 marca 1986 r.

Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada) — na apel Wałęsy — \$ 50,00	F. 350,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Koło Nr 13 w Winnipegu, Man. (Kanada) — przekazuje \$ c. 300,00, z czego:	
— na prasę podziemną „Solidarności” w Polsce — \$ c. 150,00	F. 757,50
— na pomoc rodzinom aresztowanych członków „Solidarności” — \$ c. 150,00	F. 757,50
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, Man. (Kanada) — na „Solidarność” w Kraju (nadesłała p. Anna Howiecka) — \$ c. 300,00	F. 1.515,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” „Friends of Solidarity” w Winnipegu, Man. (Kanada) — sumę zebraną podczas mszy św. za Ojczyznę w kościele św. Andrzeja Boboli. (Nadesłana Anna Howiecka) — \$ c. 206,00	F. 1.070,00
Stowarzyszenie „Solidarność” w Seattle, WA (USA) — sumę uzyskaną ze sprzedaży biletów na film Ryszarda Bugajskiego „Prześluchanie” (wyswietlenie filmu i spotkanie z reżyserem zorganizowano wspólnie z „Pomostem” i dzięki uprzejmości „Solidarności” w Calgary) — na „Solidarność” Podziemną. (Nadesłana Elżbieta Choszcz) — \$ 502,00	F. 3.614,00
Winyłowcy z Toronto — \$ c. 75,00	F. 378,75

◆
Bezimiennie z Jackson Heights, N.Y. (USA) — na pomoc dla więźniów politycznych w ZSSR — \$ 302,00

◆
Barbara Spinelli, Paryż — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego

Wojciech Szczygielski, Zurych — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — Fr.szwajc. 30,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Bożena Kucińska, Zurych — zamiast kwiatów na grób Ojca w rocznicę Jego śmierci

Kazimierz J. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA) — na pomoc rodzinom aresztowanych w Kraju — \$ 70,00

Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm — K.S. 200,00

◆
W majowym numerze *Kultury* odnotowaliśmy, że p. Tadeusz A. Walendowski z USA przekazał na rzecz Fundacji POL-CUL sumę \$ 100,00. Przez

niedopatrzenie nie zamieściliśmy noty dotyczącej tej wpłaty, co obecnie prostujemy, przepraszając ofiarodawców.

„Rodziny Erdmanów i Walendowskich z USA — zamiast kwiatów na grób śp. Jerzego Mycielskiego, profesora fizyki Uniwersytetu Warszawskiego, zmarłego w Warszawie, przekazują na Fundację POL-CUL sumę \$ 100,00”. (Nadesłał T. A. Walendowski). — (Redakcja).

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 413 — PIOTR WANDYCZ

POLSKA A ZAGRANICA

Opracowania, dokumenty, polemiki, eseje pisane na przestrzeni ostatnich dwudziestu pięciu lat, dotyczące najnowszej historii Polski.

Str. 296.

Cena F. 100,00.

TOM 414 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Zawiera m.in. opracowania: K. Pomian: *Przestrzeń i czas historii*; A. Sulima Kamiński: *Ludzie „zniewolonego umysłu” a emigracja*; M. Budny: *Jak to było z Zaolziem*; M. Heller: *Wczoraj i dziś w „Czerwonym kole” Solżenicyna*; Zb. Brzeziński: *Cztery lata w Białym Domu*; B. Krzyżanowski „Bałtruk”: *Wileński Matecznik, cz. II*; A. M. Cienciála: *Polska w polityce brytyjskiej i francuskiej w 1939 roku: wola walki czy próba uniknięcia wojny?* oraz obszernie działają: **DOKUMENTY, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII, KRONIKA.**

Str. 240.

Cena F. 70,00.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7804.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1986			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 7,50	\$ A. 40,00	\$ A. 77,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wierlingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »), 1638 Bloor St. West. Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00	\$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00	\$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	K.S. 41,00	K.S. 230,00	K.S. 440,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.			
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 6,00	\$ US 30,00	\$ US 58,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 41,00	F. 230,00	F. 440,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.

Str. 432.

Cena F. 180,00.



TOM 416 — LEOPOLD UNGER

ORZEŁ I RESZTA

(Widziane z Brukseli)

Zawsze aktualny wybór esejów naszego stałego współpracownika BRUKSELCZYKA, w 8-miu częściach: *Na Zachodzie bez zmian, Dziury w przedmurzu, Spadek po Jałcie, Krótki kurs ZSSR, A jednak się kręci (Europa), Wieniec bez laurów, Sciana płaczu, Epilog.*

Str. 388.

Cena F. 150,00.



TOM 417 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SZEŚCÍDZIESIĄTY SZÓSTY

Zawiera m.in. opracowania: Marszałek Józef Piłsudski: *Strzeżcie się agentur*; Eugeniusz Kwiatkowski: *Józef Beck*; D. Rogoyski: *Pięć inicjatyw wydobycia Józefa Becka z pułapki rumuńskiej*; M. Piłka: *Publicystyka Konwentu Organizacji Niepodległościowych*; J. O. Iłakowicz o *Narodowych Siłach Zbrojnych*; St. Borowicz: *Kluby Inteligencji Katolickiej po sierpniu 1980*; M. Kołodziej: *Wiarygodność informacji prasy podziemnej*; M. Poleski: *Sto dni*; H. Kaden: *Wspomnienia solidarnościowe* oraz obszernie działają: OKRUCHY HISTORII, RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 70,00.